



JONAS WINNER

# CELA

T H R I L L E R



JONAS WINNER

# CELA

Przełożyła  
Agnieszka Hofmann



KRAKÓW 2017

## Prolog

*Zima 2016*

Berlin. Czarne migotanie nocnego wspomnienia. Ciemność. Wilgoć. Chłód. Błede poranne słońce. Mętne światło popołudnia. Niekończące się noce.

Kiedy wracam myślami do Berlina, widzę przed sobą betonową pustynię, ściany ogniowe, ślepe uliczki, wykopy budowlane – zamarłe w czerni. Połyskujący wilgocią bruk, fasady domów, wznoszące się na tle szarego nieba. Widzę liście, ciemne i mokre, czuję zapach butwiejącego listowia. Widzę latarnie gazowe, których światło rozmywa się we mgle. Widzę twarze, blade i ostre, słyszę odgłos stóp, szelest palt, szepty. Kiedy wracam myślami do Berlina, mam w ustach smak zjełczałego tłuszczu, a w nozdrzach zapach kapusty i węgla. Kiedy wracam myślami do Berlina, moje dłonie wilgotnieją od zimnego potu, a nogi ogarnia niepokój. Słyszę wrzask, ale nie widzę, kto krzyczy. Słyszę głucho dudnienie elektronicznej muzyki i przemierzam podziemne bunkry. Kiedy wracam myślami do Berlina, widzę sosnowe lasy i piaszczystą ziemię, komórki zbite z desek i opuszczone ulice. Ukradkowe spojrzenia, milczenie, strach i powracające noce, które nigdy się nie kończą.

Kiedy wracam myślami do Berlina, czuję się tak, jakby na mych ustach kładła się zimna ręka, martwa jak guma i lepka jak miód.

*Jego ręka.*

Ręka wilka, maszyny do mielenia mięsa.

Ma wyjść na wolność. Już jutro. Po prawie dwudziestu latach. Wczoraj dostałem zawiadomienie. Z Berlina. Z jednego z kamiennych pałaców, w których mieszczą się niezliczone urzędy.

Siedzę przy otwartym oknie. Przedemną niebo tak szerokie, że nie da się objąć go wzrokiem. Na horyzoncie woda, w oddali ludzie, mali jak mrówki. Pojazdy jak sunące po alejach zabaweczki. Świeci słońce, nastaje dzień, ale wspomnienie o Berlinie, mieście na dalekim wschodzie Europy, ciemnieje jak welon zasłaniający słońce. Dopada mnie niczym potępieńczy pogłos. To już jutro, jutro otworzy się krata i wysunie się zza niej jego szyja, przekroczy linię dzielącą go od wolności. Przystąpi przez tę linię jedną stopą, a potem – jednym potężnym krokiem – stanie po drugiej stronie, wyswobodzony, na zewnątrz murów więzienia. Już nie będzie poskromiony, na wolności rozwinie się i wysunie czułka.

Wiadomość o jego zwolnieniu rzuciła mnie w mroczną przeszłość. Myślałem, że zostawiłem tamten czas za sobą – na zawsze – lecz teraz moje myśli znów krążą wokół tamtych zdarzeń. Chcę o tym napisać. O tym, co wydarzyło się naprawdę. Niech to będzie ostrzeżenie. I lek, który mnie uzdrowi.

*Ależ skąd!* Spisuję to, bo się tym duszę, bo wspomnienie tamtych paru dni sprzed prawie dwudziestu lat, wspomnienie mroku, grozy i śmierci, żarzy się we mnie i zatruwa, a ja już *nie mogę* inaczej, jak tylko chwycić za pióro, wziąć ten plik papieru i zapisać, co przeżyłem.

Wtedy...

W Berlinie...

Tamtego lata prawie dwadzieścia lat temu...

...kiedy byłem chudym chłopcem – wielkookim, ciekawym, rozbrykanym, mającym nie więcej niż jedenaście lat.

# Część I

Pamiętam, jak przyjechaliśmy do Berlina. Ojciec i brat pojechali parę tygodni wcześniej, wraz z transportem mebli. Mama, ja i nasza operka, Hannah, która wyjechała z nami do Londynu trzy lata temu, mieliśmy dolecieć później samolotem.

Był skwarny dzień, wstaliśmy wcześniej rano, by zdążyć na samolot, a kiedy wylądowaliśmy, powietrze było tak rozgrzane, że miałem wrażenie, jakby goła skóra moich wystających spod szortów nóg lepiła się do plastikowych siedzeń.

Mój brat Linus oraz ojciec czekali przy bramce. Nie widziałem ich od czterech tygodni i wydawało mi się, że już trochę się zmienili w tym krótkim czasie. Czy to za sprawą innej fryzury brata, nowej kurtki ojca, szczególnego wyrazu twarzy? Nie wiem. W każdym razie powitanie było serdeczne.

Przy wyjściu czekała już taksówka.

– Wiem – przyznał ze skruchą ojciec, zerkając na matkę – lepszy byłby mały bus, ale nie było już wolnych. Myślisz, że się zmieścimy?

Zmieściliśmy się. Choć było *ciasno*. Siedziałem z tyłu, wciśnięty między Hannah a matkę. Dla brata miejsca już nie wystarczyło. Zapewnił nas, że to żaden problem, pojedzie do domu autobusem. Walizki, a mieliśmy jeszcze trochę bagażu, załadowano do bagażnika, ale jedna torba – pamiętam, jaka była ciężka – leżała na moich kolanach i wpijała mi się ostrą krawędzią w uda. Samochód ruszył z szarpnięciem. Za kierownicą siedział krępy łysielec, który przez całą drogę nie odzywał się ani słowem, za to jego radiotelefon nieustannie wypluwał zgłoszenia i komunikaty, wywołując we mnie wrażenie, jakby Berlin był wielkim mrowiskiem, którego mieszkańcy są na bieżąco informowani o dokładnej pozycji i prędkości poruszania się wszystkich osób, które je zamieszkują.

Ojciec otworzył boczną szybę, żeby wpuścić do środka trochę świeżego powietrza. W twarz uderzył mnie ostry wiatr; owiewał lodowatym podmuchem spocone, zdrętwiałe od niewygodnej pozycji ramiona, którymi nie dotykałem oparcia. Jednocześnie cieszyłem się z tego wiatru, bowiem... Czyżby pozostali nic nie czuli? Wychyliłem się nieco do przodu i wciągnąłem w nozdrza powietrze. W pierwszej chwili poczułem tylko leciutkie tchnienie, niczym rozmyte wspomnienie, tak delikatnie i zwiewne, że udało mi się je przegnać. Ledwie o nim zapomniałem, wróciło. Nieprzyjemny, ostry zapach, zapach, przed którym chciałem cofnąć się odruchowo, zapach zgnilizny, ale nie słodkawy smród padliny, który byłby równie odrażający, raczej wyziew jelit i trawienia, odór psich ekskrementów, stwierdziłem z odrazą, smród, który raz po raz unosił się znad podłogi, sponad naszych butów. A może poprzedni pasażer zwymiotował w tej taksówce?

Zerknąłem z boku na matkę, ale ona siedziała z odchyloną głową i zamkniętymi oczami, wyraźnie wyczerpana podróżą. Przeciąg tak owiewał wnętrze samochodu, że pewnie niczego nie czuła. Hannah, siedząca po mojej drugiej stronie, również sprawiała wrażenie, jakby nic nie mąciło jej spokoju. Przyglądała się mijanym po drodze domom i sklepom. Z przodu byczy kark taksówkarza i ojciec w okularach słonecznych, trzymający się uchwyty nad oknem i wpatrujący nieruchomo w szybę przed sobą.

Było mi niedobrze. Zapach stał się nie do zniesienia. Wyobraziłem sobie szczerzącego zęby psa, w którego żołądku kłębiły się Bóg wie jakie bakterie i w którego kupę na chodniku przed halą lotniska musiało wdepnąć ktoś z nas.

To ma być Berlin? Miasto, do którego się przeprowadziliśmy? Nie chciałem tu przyjeżdżać, nigdy. Podobało mi się w Londynie, miałem tam kolegów z klasy i czas wypełniony

różnymi zajęciami, kochałem dom, w którym mieszkaliśmy.

Nie chciałem tej przeprowadzki. Ale mama dostała angaż w operze w Berlinie i nic nie dało się zrobić. Ojcu było to obojętne, dla niego liczyło się tylko, by miał swoją pracownię, gdzie mógł rozłożyć się z materiałami i w spokoju komponować. Kiedy więc koledzy z pracy wystarali się dla nas o dom do wynajęcia w Grunewaldzie – „to taka dzielnica w Berlinie”, wyjaśnili mi rodzice, bo nazwa nic mi nie mówiła – i to w dodatku niedrogo, decyzja zapadła: przeprowadzamy się do Berlina. Choćbym nie wiem jak się zapierał, nie mogłem tego zmienić.

I tak ojciec z Linusem pojechali do Berlina pierwsi, rozlokowali się w domu, a mama, ja i Hannah dojechaliśmy do nich z walizkami.

– To tutaj.

Otworzyłem oczy, które przymknąłem jakiś czas temu, i za zielonymi wierzchołkami żywopłotu dojrzałem wieżyczkę, stromy dach i wykusz z kolorowymi szybkami. Dom przypominający zabawkowy zamek z oknami o najróżniejszych rozmiarach i kształtach. „Willa w stylu secesyjnym – powiedzieli rodzice, przypominam to sobie teraz – zobaczysz, spodoba ci się, to prawdziwa secesyjna willa w Grunewaldzie”.

Wyskoczyłem z taksówki. Smród zelżał. Dobre i to. Wzdrygnąłem się. Jeszcze parę minut i pewnie zwymiotowałbym między przednie fotele. Zatrzymałem jednak samolotowy posiłek w żołądku i minawszy ojca, pobiegłem do otwartej furtki. Wijąca się za nią dróżka prowadziła przez ładnie utrzymany ogródek skalny do wejścia do willi.

Linusa jeszcze nie było, powrót autobusem naturalnie musiał zająć mu więcej czasu. A zatem to ojcu przypadło w udziale oprowadzenie nas po domu. Mama wsunęła okulary słoneczne we włosy. Widziałem, że jest zauroczona, ale jednocześnie jakby nieobecna duchem, jakby myślami była już na spotkaniu, które miała na mieście tego popołudnia.

– Twój pokój jest na górze, Sammy. – Ojciec poklepał mnie po plecach. – Chcesz obejrzeć? – Skinął głową ku wyłożonym drewnem schodom po drugiej stronie przepysznego holu.

– Tak, zaraz. – Zawahałem się. Chciałem jeszcze trochę z nimi zostać, skoro było tak miło i ojciec nas oprowadzał.

Chociaż willa w istocie była wspaniała, mój umysł zaprzętała jedna natrętna myśl: *Co ja będę robić w tym domu przez całe wakacje?*

Mój brat był w mieście już od paru tygodni i poszedł do nowej szkoły jeszcze przed końcem roku szkolnego. Wiedziałem, że poznał paru chłopaków z klasy, z którymi dobrze się dogadywał i poumawiał na wakacje. Ja jednak skończyłem rok szkolny w Londynie i miałem pójść do nowej szkoły dopiero we wrześniu. To oznaczało, że poza rodziną nie znałem w Berlinie nikogo. Nie wiedziałem, co miałem ze sobą zrobić przez bite sześć tygodni...

– No, leć obejrzeć pokój!

Nie chciałem dłużej się wykręcać. Pobiegłem ku schodom i pokonałem je w podskokach. Już wcześniej dostaliśmy rozkład domu, wiedziałem więc, który pokój jest mój. Wszedłem do środka i szerzej otworzyłem oczy. Było to wspaniałe, jasne pomieszczenie, z którego rozpościerał się widok niemal na cały ogród i jeszcze kawałek ulicy, przy której zatrzymała się taksówka. Wielkie przeszklone drzwi oddzielały pokój od wąskiego balkonu. Wszedłem na balkon i popatrzyłem w dół – na trawnik, który rozciągał się jak dywan od domu aż po basen na drugim krańcu posesji. Rodzice i Hannah musieli już wyjść przez jedno z wychodzących na ogród drzwi, gdyż zobaczyłem, jak przemierzają murawę. Ogród był pogrążony w cieniu, a tam, gdzie nie dochodziło jaskrawe światło słońca, było tak ciemno, że przez moment ledwie ich rozpoznałem.

Odwróciłem się, rozejrzałem – i aż drgnąłem. Brunatnoczarne plamy. W tej samej sekundzie moje nozdrza w całej swojej obrzydliwości wypełnił zapach, który w taksówce niemal

doprowadził mnie do szaleństwa, zapach trzewi, kwasu i zwierzęcych wyziewów, odór wnętrzości i odchodów. Co najmniej pięć błotnistych smug ciągnęło się w poprzek beżowego dywanu, którym wyłożono mój pokój, aż do drzwi balkonowych, w których stałem. Poczułem, jak skurcz zaciska mi przelyk. Ostrożnie, by przypadkiem niczego nie dotknąć, uniosłem lewą stopę i obejrzałem podeszwę sandału. Czysta. Potem prawą.

Było tam.

Wilgotne. Błyszczące. Rozpłaszczone.

Jednocześnie w nozdrza uderzyła mnie tak przemożna fala smrodu, że poczułem się, jakby ktoś wcisnął mi twarz w odrażającą masę. Odruchowo przycisnąłem do ust i nosa prawe ramię, poczułem, jak ściska mi się żołądek i kwas wędruje do góry. Świerzbila mnie twarz, a jednak nie mogłem oderwać spojrzenia od masy, w której, jak mi się wydawało, dostrzegałem maleńkie pęcherzyki, które połyskiwały niemalże jak bańki mydlane i pękały z lekkim rozpryskiem, uwalniając kolejne, coraz bardziej cuchnące wyziewy. W końcu uwolniłem stopę i bez dotykania zsunąłem sandał na podłogę obok drzwi balkonowych. A potem wybiegłem z pokoju, uważając, by nie stanąć na rozmazane smugi na dywanie.

Taki był nasz przyjazd na Rotkelchenanstieg, małą, krętą uliczkę, przy której stała willa.

I tak się zaczęły wakacje.

– Czy ty przypadkiem nie masz już podręczników na nowy rok szkolny? – zagadnął mnie dwa dni później ojciec. Zabrudzony sandał i dywan już dawno zostały wyczyszczone. Mój prawdziwy problem, czyli co miałem począć sam w domu przez najbliższe sześć tygodni, nie dał się jednak rozwiązać tak szybko. – Może to nie byłby taki zły pomysł, gdybyś przygotował się trochę, przejrzał nowy materiał.

Jasne, mogłem to zrobić. Poza tym mogłem wypożyczać z pobliskiej biblioteki miejskiej stosy książek i spędzać dni na czytaniu w cieniu wspaniałych drzew.

Wakacje! Czy to nie cudowne? Na co tu się skarżyć?

W domu było pełno jeszcze nierozpakowanych pudeł. Czasami przysłuchiwałem się, jak Linus z kolegami siedzą przy otwartym oknie jego pokoju na górze i zaśmiewają się z czegoś. Widywałem też Hannah, przechadzającą się po murawie w białej letniej sukience, albo słyszałem, jak ojciec, zaszyty w bocznym skrzydle domu, gra na pianinie, puszczając muzykę bez słuchawek – przez głośniki. Mroczne, żywiołowe dźwięki, tworzące podkład muzyczny do filmu, nad którym właśnie pracował.

Mamy przeważnie nie było w domu, całe dni spędzała na próbach na mieście. Nie przejmowałem się tym. Wskakiwałem w mokrych jeszcze kąpielówkach do letniej wody w basenie i zanurzałem głowę pod wodę, najdłużej jak mogłem. Kiedy się wynurzałem, a z pracowni ojca nadal dochodziły demoniczne melodie, odwracałem się na plecy, tak by moje uszy znajdowały się pod wodą, a usta wystawiałem ponad powierzchnię tylko po to, by zaczerpnąć powietrza. Myślałem, że to będzie leniwe, skwarne lato. Lato spędzone w ogrodzie i chłodnych pomieszczeniach nieoswojonego jeszcze domu.

Okazało się, że się myliłem. Tamto lato nie było słoneczne i sennie. To było lato wilka. Wilka do mielenia mięsa, który pochwyił mnie swymi zębami i wciągnął. Wessał w stalową gardziel, między noże rozdrabniające i tnące mięso.

*Moje mięso.*

Znacie to? Uczucie rozrywania do krwi, gdy coś ściera was tak bardzo, że rany być może nigdy się nie zablizną? Kiedy wasze oczy otwierają się tak szeroko, że nie wierzycie, iż mogą aż tak się rozewrzeć? Kiedy doświadczacie tego, jak wydarzenia wokół was bezpowrotnie tną na strzępy wszystko, kim byliście do tej pory? To właśnie wydarzyło się tamtego lata – lata, które zaczęło się tak leniwie i sennie, od słońca i popołudni spędzonych na basenie.

Był pierwszy sierpnia – nigdy nie zapomnę tej daty. Od naszego przyjazdu minęły dobre trzy tygodnie. Było parno. W trawie przebłyskiwały rdzawe od upału źdźbła. Siedziałem na jednej z brzoź rosnących niedaleko sadzawki na zachodnim krańcu posiadłości, skąd miałem widok na cały teren. Łażenie po drzewach? W Londynie tego nie było. Tutaj na całej posesji rosło mnóstwo drzew i kiedy przystawiło się do pnia jedno z wiklinowych krzeseł, bez trudu można było dosięgnąć do niższych konarów. A wyżej wspinaczka szła już niemal jak po drabinie. Można było usadowić się wygodnie na jednej z gałęzi, przyglądać się ptakom i rozmyślać, jak wysoko dałoby się jeszcze wejść, nie ryzykując złamania całej korony.

Zobaczyłem go, jak wychodzi przez tylne drzwi prowadzące na słoneczny taras. Już przy śniadaniu wyglądał na bardzo spiętego, a kiedy ujrzałem go teraz, jak przemierza trawnik, odniosłem wrażenie, jakby chował głowę w ramionach. Przeprowadzka do Berlina nie wpłynęła na ojca dobrze.

– To nic, nie przejmuj się tym, Sammy – zbyła mnie mama, kiedy ją o to zagadnąłem. – Twój ojciec... znasz go. Znajdowanie właściwych nut nie zawsze przychodzi mu z łatwością. Poprosili go, żeby skomponował muzykę do serii filmów, trzech, zdaje się. I to nie są łatwe filmy, wiesz?

– Nie? Czemu? O czym one są?

Mama uśmiechnęła się i popatrzyła mi z czułością w oczy.

– Wolałbyś nie wiedzieć. To nie są historie dla dzieci, nawet sama ich jeszcze nie oglądałam. Nie leżą mi tego rodzaju filmy.

*Nie leżą jej tego rodzaju filmy.*

Położyłem głowę na poduszce i popatrzyłem w górę, na jej twarz.

– Jeśli chcesz, to porozmawiam z tatą, może pokaże ci jakiś fragment.

– Tak... tak, może.

Zawsze mnie kusilo, żeby obejrzeć filmy, do których ojciec pisał muzykę. Od czasu do czasu pokazywał mi na wideo w pracowni jakiś urywek, ale tylko wówczas, gdy chodziło o jakąś komedię dla młodzieży albo romans. W ostatnich czasach jednak – to się zaczęło już w Londynie – przysyłali mu raczej ponure obrazy.

– Wolałby znów popracować nad jakąś komedią albo filmem historycznym – wyjaśniła mi mama tego wieczora, stając przy moim łóżku. – Ale czasem nie jest łatwo zdobyć dobre zlecenia. Wtedy twój ojciec bierze, co mu dają. Dla niego jest ważne, by w ogóle pracować.

To nie były wielkie hollywoodzkie hity z gwiazdorską obsadą, jak mi objaśniła mama, tylko raczej tanie, finansowane niezależnie produkcje, filmy, które ukazywały się tylko na wideo. Dla producentów muzyka mojego ojca była dokładnie tym, czego szukali. Ciężka, mroczna i niesamowita, wyczarowywała w mojej wyobraźni światy cieni i postaci, kiedy dochodziła przytłumiona zza drzwi pracowni.

Przygarbiony, skulony szedł przez murawę, zgięty do ziemi bardziej niż kiedykolwiek. Wspominałem już, że już przy śniadaniu rzuciło mi się w oczy, jaki był rozdrażniony i podminowany. Odkąd przyjechaliśmy do Berlina i zamieszkaliśmy w tym domu, zaobserwowałem, że jego szyja jakby się przekrzywiła, szyja mojego ojca, mężczyzny, w którego posturze zawsze było coś uskrzydłonego, niemal tanecznego.

A teraz sprawiał wrażenie przygiętego do ziemi. Nie jakoś przesadnie, tylko odrobinę – a jednak zauważalnie.



– To przez te filmy, które ma udźwiękować – zasugerowała mama podczas naszej rozmowy. – Chcą... Wiesz, twój ojciec nie zawsze ma szczęście do tego, czym się zajmuje. – Zerknęła ku drzwiom, ale to tylko Linus minął mój pokój, idąc do łazienki. – Ludzie, którzy dają mu zlecenia, nie zawsze chcą tego samego, czego chce on. Ale wszystko wkrótce jakoś się ułoży, zobaczysz.

Wiodłem za nim wzrokiem. Przeczesał dłonią nieco za długie włosy, które ciężkimi kosmykami opadały mu na czoło. Już podnosiłem rękę, żeby go przywołać, ale powstrzymałem się, bo wiedziałem, że nie lubi, jak mu się przeszkadza w ciągu dnia.

– Przepraszam, Sammy, to nie z twojego powodu – tłumaczył mi już wiele razy. – To ta praca. Czasami jestem tak pogrążony w myślach, że nie potrafię tak od razu się przestawić. Rozumiesz to, prawda? Muszę dopilnować, by wykonać swoje dzienne pensum, czyli ilość pracy, którą muszę skończyć w ciągu dnia. A kiedy się zagłębię w jednej sekwencji, nie chcę, by cokolwiek odwracało moją uwagę, pod żadnym pozorem. Wiem, że nie masz złych intencji, ale to czasem strasznie przeszkadza, nawet jeśli chodzi tylko o chwilę rozmowy. – Zamrugnął, a jego oczy przybrały lekko nieobecny wyraz. Ale ja uwielbiałem słuchać, jak opowiadał mi o swojej pracy, o komponowaniu, które było dla mnie niczym wiedza tajemna.

– Tylko twój ojciec to potrafi – mówiła mama. – Widzi dźwięki jak krajobrazy. Musi tylko je zapisać, jak najprędzej. Zanim krajobrazy z marzeń i fantazji rozplyną się jak chmury, przegnane mocniejszym podmuchem wiatru.

Nie zdarzało się zbyt często, byśmy napataczali się z ojcem na siebie. W ciągu dnia, kiedy on pracował, ja zwykle byłem w szkole. Późnym popołudniem, kiedy wracałem do domu, odnosiłem wrażenie, że nie jest już taki spięty. Ale tu, w Berlinie, było inaczej, tu miałem wakacje, szkoła miała się rozpocząć dopiero za kilka tygodni, byłem w domu przez cały dzień – i on też.

Ojciec przemierzał trawnik, nie oglądając się za siebie. Opuściłem rękę. Lepiej mu nie przeszkadzać. Bo i co miałem mu powiedzieć? „Tato, tu jestem! Tutaj, na górze!” Wiedziałem przecież, jak by na mnie popatrzył. „Nie miej mi tego za złe, Sam, ale w tej chwili niestety nie mam czasu na coś takiego”. *A na co miał?*

Zaczepliłem stopy pod konarem, żeby łatwiej się obrócić, i popatrzyłem za nim. Szedł na przelaj przez trawnik rozpościerający się na południe od głównego budynku, potem skręcił w wąską alejkę między żywopłotami, która prowadziła do tylnej części ogrodu. Ogród różany, nieduży labirynt z bukszpanu, grządki z ziołami... Po drugiej stronie prawie dwumetrowego żywopłotu, za którym właśnie zniknęła, leżały najbardziej zaczarowane zakątki rozległego ogrodu.

*Nie powinieneś siedzieć przy biurku, tato?*

Kochałem swojego ojca. Uwielbiałem, gdy na mnie patrzył, uwielbiałem, kiedy się do mnie uśmiechał, kiedy mnie zagadywał, kiedy pytał mnie o coś, a ja mogłem wyczytać w jego oczach, jak bardzo się cieszy, że jestem. Kochałem w nim właściwie wszystko, kochałem nawet to, jak próbował wyjaśnić mi, dlaczego akurat nie ma dla mnie czasu. Wszystko, co robił, było fascynujące, celowe i znaczące, ojciec zdawał się niemal emanować czymś magicznym, co nigdy nie było wyraźniejsze niż wtedy, gdy słyszałem muzykę dochodzącą z jego pokoju.

Nuda. I ciekawość. To one mną powodowały, kiedy zeskoczyłem z gałęzi, na której siedziałem, zsunąłem się po pniu brzozy i pobiegłem na przelaj przez trawnik w stronę żywopłotu, za którym zniknął przed chwilą.

Parę sekund później dostrzegłem jego ciemny sweter na końcu przejścia między żywopłotami. Ojciec dotarł do niewielkiej komórki, do której prowadziła ścieżka. Ukryłem się za zaroślami i zerknąłem przez gałęzie. Nigdy wcześniej nie widziałem go przy komórce. Oczywiście znałem już tę zbitą z desek budę, nawet próbowałem zajrzeć do środka przez brudne

okno, ponieważ jednak wewnątrz zawsze było pogrążone w mroku, nigdy nie zdołałem niczego dojrzeć. Drzwi zawsze były zamknięte, dlatego nigdy nie byłem w środku. Z napięciem obserwowałem, jak ojciec wyjmuje klucz z kieszeni spodni i otwiera drzwi, a potem od razu zamyka je za sobą. Nasłuchiwałem, wstrzymując oddech. Nie usłyszałem ponownego zgrzytu zamka. Nie zamknął drzwi na klucz.

*Kładzie się tam na pryczy – przemknęło mi przez głowę – bada wzrokiem ciemność, łatwiej mu się skoncentrować. Prawda? Dotarł do problematycznego miejsca, ma kłopoty ze znalezieniem właściwych nut! Zobaczyłem jego cień przemykający po brudnym oknie. Tam, w środku, jest bliżej cieni i otchłani, które musi zawrzeć w swej muzyce!*

Podczas gdy myśli te krążyły rozproszone po mojej głowie, nie przybierając żadnej stałej postaci, porzuciłem swoje stanowisko za krzakiem i podkradłem się do chatki. Nie ośmieliłem się popatrzeć przez okno. Z zewnątrz nie dało się wprawdzie zajrzeć do środka, ale z wnętrza na pewno byłoby widać moją przytkniętą do szyby głowę.

Przyczałem się na ziemi pod drzwiami i przyłożyłem ucho do drewna. A gdyby w tej chwili ojciec pchnął drzwi? Jak żałośnie spoglądałbym z dołu ku niemu? Ale przecież niczego złego nie zrobiłem! *Widziałem cię, jak tu idziesz, tato, chciałem tylko zobaczyć, co robisz.*

To... nie było przecież zabronione! Nie powiedział, że nie mogę za nim chodzić. Przy śniadaniu ledwie zaszczycił mnie spojrzeniem, jakby mnie nie dostrzegał. *Proszę, tato, nie, nie chciałem zrobić nic złego, chciałem tylko zobaczyć, co tu robisz!*

A jednak dobrze to wiedziałem, czułem to każdą komórką swojego ciała. Jeszcze nigdy nie widziałem go idącego w ten sposób, nigdy nie widziałem patrzącego w ten sposób. Wiedziałem, że nie chciał, żebym tu był. Czy to był powód, dla którego na przekór wszystkiemu tkwiłem pod tymi drzwiami? Czy to był powód, dla którego nie zostawiłem go w spokoju? Powód, dla którego przez długie minuty siedziałem w kucki z klamką w ręku, z chudym torsem przyciśniętym do drewna? Wydawało mi się, że słyszę, jak oddycha ciężko zaraz za cienkimi deskami, jak szuka tego, czego mu było potrzeba, właściwych dźwięków, właściwych pomysłów, właściwej inspiracji. I nagle uświadomiłem sobie coś z taką jasnością, jakbym mógł przeniknąć wzrokiem stare drewniane drzwi niczym szklaną szybę. Nie było go tam. Za drzwiami. W komórce.

Zerwałem się na równe nogi. Szybko obszedłem komórkę. Minąłem brudne okno. Porośnięte bluszczem ściany. Drewniane drzwiczki, pod którymi się przyczałem. Poza oknem i drzwiami nie było innej drogi na zewnątrz – ale ojciec nie opuścił komórki ani przez okno, ani przez drzwi.

Sekundę później ostrożnie nacisnąłem klamkę i bezszelestnie zamknąłem za sobą drzwi. Zobaczyłem, jak mój cień zostaje odcięty od światła wpadającego do wnętrza chatki.

Graty. Pajęczyny. Drewniana skrzynia na węgiel. A w piaszczystej podłodze kłapa prowadząca w dół. I nic więcej.

Komórka była pusta.

Właz w ziemi był wykonany z masywnych drewnianych belek. Tak solidnych, że bez obawy można było na nich stanąć. Ale ja nie chciałem na nich stawać. Ojciec musiał zniknąć przez ten właz. Nie było innej możliwości. Dźwignąłem klapę, zapierając się całym ciałem, żeby unieść ją całkowicie. Skrywał się pod nią czarny, okrągły szyb prowadzący w głąb ziemi, oświetlony tylko światłem, które wpadało do wnętrza przez okno i drzwi. Dna nie było widać. Do klinkierowych cegieł, którymi wyłożony był szyb, umocowano zardzewiałe żelazne szczelby.

Nie wahałem się długo. Nie chciałem go wołać. Nie słyszałem też żadnych odgłosów. Jak długo czekałem pod drzwiami komórki? Spuściłem nogę w światło szybu i przytrzymałem się krawędzi. Drugą nogą wymacałem na oślep kolejny szczelbel. Przeniosłem ciężar ciała na drugą stopę i zadrżałem, gdy moja głowa zniknęła poniżej krawędzi.

Szyb prowadził w głąb jakieś trzy, cztery metry. Do przebiegającego poziomo tunelu, z którym łączył się niczym pionowy komin, którym schodziłem w dół. Mój wzrok przyzwyczał się odrobinę do mroku. Dostrzegałem drobinki kurzu, tańczące w słabym, białym świetle, które padało z góry. Tunel był suchy, pachniał tylko stęchlizną, choć niezbyt natarczywie. Ostrożnie, po omacku posuwałem się parę kroków naprzód.

*Tata?*

Obróciłem się wokół. Po ojcu nie było śladu. Z jednego kierunku dochodziła jednak matowa poświata unosząca się gdzieś dalej w tunelu. Postanowiłem najpierw udać się w tamtą stronę. Kiedy dotarłem do źródła światła, przekonałem się, że pochodziło z jarzeniówki, bzyczącej i wydającej ciche trzaski w bocznej odnodze tunelu.

Słyszałem o tym, że pod Berlinem nadal było pełno schronów przeciwlotniczych z drugiej wojny światowej. Setki tysięcy berlińczyków szukały schronienia w podziemiach, kiedy alianci zamieniali w perzynę budynki nad ich głowami. Oświetlony jarzeniówką tunel, w którym się znajdowałem, wydawał się jednak świeższej daty, nowszy niż klinkierowy szyb, którym zszedłem, i nowszy, dużo nowszy niż nasza willa. Nie był murowany z cegieł, lecz wylany z betonu i sprawiał raczej wrażenie reliktu zimnej wojny niż drugiej wojny światowej.

Lekko drżąc z zimna w chłodnym, wilgotnym powietrzu, podążałem dalej. *Złożony system, wielki, kompleksowy system sztolni, nisz i korytarzy* – przemknęło mi przez głowę. *Miasto. Podziemne miasto.* I wtedy zobaczyłem przed sobą stalowe drzwi odchodzące z korytarza parę kroków dalej. Stałem przy nich. Metal błyszczał matowo w świetle lampy, która skwierczała niecałe dwadzieścia kroków za mną.

Za drzwiami rozpościerała się zakurzona i kompletnie urządzona sala do gry w bowling. Łącznie z czterema torami i galeryjką, z której roztaczał się widok na całość. Kącik wypoczynkowy, w którym wokół wygiętego owalnego stolika stały fotele, metalowy wózek z ciężkimi kulami, w głębi bar. Kompletna kręgielnia w stylu lat pięćdziesiątych. Stoliki nerki. Obicia w kolorze flamingowego różu. Chromowane stołki barowe.

Przejechałem palcem po barze. Za nim na szklanym regale stały butelki. Pełne butelki, nieotwierane od lat. Przez moment wydawało mi się, że słyszę gwar ludzi, którzy musieli tu kiedyś grać, że wyczuwam atmosferę zabawy, tak, nieomal czułem w powietrzu dym papierosów, widziałem minispódniczki dziewcząt, młodych mężczyzn w charakterystycznych fryzurach, z dużym lokiem nad czołem. Berlin, miasto Amerykanów.

Nawet ja wiedziałem, że po wojnie został podzielony na strefy. A południowo-zachodnią część zagarnęli Amerykanie, lubiani przez mieszkańców, gdyż byli tacy radośni i uprzejmi. Zakwaterowali się w willach, pobudowali koszary, jeździli po alejach Berlina jeepami

i pojazdami wojskowymi.

Postawiłem na barze przysadzisty kieliszek o grubych ściankach, do ręki wziąłem kwadratową butelkę. Zgrzytnęła otwierana nakrętka. Podsunałem szyjkę pod nos. Zapach był cierpki, ostry, ale przyjemny. Whisky.

Wina próbowałem już kiedyś u rodziców, piwa naturalnie też, ale whisky jeszcze nigdy. Nalałem sobie łyżeczek, powąchałem. Jednocześnie mój wzrok padł na deskę pod kontuarem, na której stał stary gramofon. Dopiero teraz zauważyłem, że w kręgielni nie było tak ciemno, jak w tunelu. Pod sufitem ciągnęły się podłużne szczeliny, które wystawały ponad powierzchnię ziemi i przez które wpadało do środka światło. Szczeliny były tak wąskie, że do tej pory, choć już od kilku tygodni włóczyłem się po terenie posiadłości, nie rzuciły mi się w oczy. Zapewne leżały za garażem albo po drugiej stronie basenu, w części ogrodu, której jeszcze nie zwiedziłem. Postanowiłem, że poszukam ich po wyjściu na powierzchnię. Przyłożyłem kieliszek do ust i spróbowałem kropelki whisky. Ciepła, aromatyczna ciecz rozlała się w moich ustach. Przełknąłem ją i uniosłem pokrywę gramofonu, który odkryłem pod barem. Znów te asymetryczne kształty o zaokrąglonych krawędziach. Kolory łososiowy i beż. Na talerzu leżała płyta. Obróciłem ją, tak że mogłem przeczytać napis pośrodku.

*Elvis, All Things Are Possible, Las Vegas 1971.*

Uniosłem i przesunąłem do przodu ramię gramofonu. Nic. Wychyliłem je do tyłu, kliknęło. Płyta na talerzu zaczęła się obracać powoli. Delikatnie opuściłem ramię na czarny winyl.

*But Daddy was a lazy...* – to był Elvis Presley, w tle rozbrzmiał jego zespół – *...working on the chain-gang...*

Trębacz, oklaski, rock'n'roll. Grał koncert w Las Vegas, a mimo to znalazł się tu, w kręgielni, zupełnie jakby miniaturka Elvisa w czarnym błyszczącym wdzianku zaczęła tańczyć na barze. Upiłem łyżeczek, obserwując wirujący napis na płycie. Wziąłem jeszcze jeden łyk. Zakrztusiłem się.

*Thank you.* Fajnie, jak to powiedział. *Thank you.* Krótko, zwyczajnie, a jednak... miało się wrażenie, że rzeczywiście dziękował. *Thank you.*

Rozpoczęła się następna piosenka. Chórek, a nad głosami unosił się głos Elvisa.

*All things are possible...*

W tej muzyce był jakiś dziwny smutek. Wpatrywałem się w leżącą obok gramofonu okładkę płyty. Elvis w czarnym kostiumie, z nogą wysuniętą do przodu, mikrofonem przy ustach, zamkniętymi oczami. To brzmiało inaczej niż muzyka, którą znałem z radia. Oczywiście wiedziałem, że Elvis zmarł dawno temu w jakiś nieciekawy sposób. Czy to właśnie pobrzmiwało w tej muzyce? Że wkładał w każdą z tych piosenek swoje życie? Że śpiewał je po sto albo i tysiąc razy, i że potem z jego życia nic już nie zostało? A może to whisky uderzyła mi do głowy?

Raptownie odwróciłem się od gramofonu i wyszedłem z baru. Omiotłem spojrzeniem wózek, na którym spoczywały ułożone rządkiem wiśniowe i niebieskie kule, zatrzymałem wzrok na torach. Nie było ustawionych kręgli. Stałem na klepkach lewego, zewnętrznego toru i doszedłem do jego końca. Tam, w dołku, leżały w nieładzie kręgle. Białe, przewracane i ciężkie, jak się przekonałem, kiedy podniosłem i ustawiłem dwa z nich.

W tle śpiewał Elvis. Mały gramofon z trudem wypełniał dźwiękami pomieszczenie. Ale Elvis wkładał w swoją muzykę wszystko.

*Then sings my soul...*

Chórek w tle, trąbki.

*Thank you, thank you,* wyrzucił z siebie, złożył w darze kolejny song, trzy, cztery minuty,

dłużej nie trwał, i znów: *Thank you.*

*Thank you, mój czas upłynął.*

Ustawiłem resztę kręgli i wróciłem na początek toru. Wziąłem do ręki wiśniową kulę, włożyłem palce w otwory. Kula uderzyła z hukiem o wytarte do gładkości klepki i potoczyła się po zakurzonej nawierzchni, pokrytej nagromadzonymi przez lata drobinami pyłu. Rzuciłem kompletnie nie tak, kula zatoczyła łuk, wpadła do bocznej rynny i przeturlała się obok kręgli. Odwróciłem się i wziąłem z wózka następną. Również i ta uderzyła ciężko o tor, ale tym razem lepiej się potoczyła i trąciła skrajny kręgiel, zbiła go i spadła w dołek na końcu toru. Następna kula. Spojrzałem zezem na kieliszek, który zostawiłem na barze, i poczułem miłe kołowanie w głowie. Niedługo będzie kolacja, przedtem musiałem koniecznie wypłukać usta. A nazajutrz pokażę kręgielnię Linusowi.

*Something in the way she moves...*

Była taka stara, ta muzyka była taka *stara*. Wychyliłem resztkę whisky – łyk większy, niż zamierzałem – i z determinacją wróciłem na tor.

– No, teraz! – wysyczałem przez zęby. Podczas gdy pierwsze dwa rzuty były jeszcze niepewne, wykonane na próbę, kolejną kulę puściłem z całych sił. Tak mocno, że omal się przy tym nie wywróciłem. Nie poturlała się po deskach, tylko strzeliła na wprost, jakby przyciągana w magiczny sposób przez kręgle, podskoczyła i wpadła między białe kręgle, zmiotła je z łoskotem, nieomal rozbiła, aż posypały się drzazgi z listewek toru.

– Strike! Linus, tylko spróbuj to przebić! – Przepelniony euforią, pobiegłem po torze, żeby na nowo ustawić kręgle. Deski załomotały pod podszwami moich sandałów. Czyżby...?

Stanąłem, bardziej zdumiony niż zaniepokojony. Przechyliłem głowę.

Elvis dalej mruczał w tle. W powietrzu zdawał się jeszcze wisieć łoskot, z jakim kula uderzyła w kręgle. I jeszcze coś.

Znowu!

Znowu dało się to słyszeć.

Głuche dzwonienie. Stukanie. Metaliczne. Z pogłosem. Przytłumione.

Łup, łup, łup.

Spłyciłem oddech.

*Say the things we used to say...*

Łup, łup, łup.

Pokręciłem głową.

*Thank you.*

Rzuciłem się z powrotem przez tor, za bar, do gramofonu i podniosłem jego ramię, ucinając w połowie piosenkę.

*Treat me like a fool...*

Cisza.

Łup, łup, łup.

Co to było? Jakby stukanie. Naturalnie, ktoś stukał.

Ale...

Poczułem, jak napój, do którego nie nawykłem, odbija mi się cierpko. Kula, kręgle, klepki, kręgielnia.

Łup, łup, łup.

Na początku stukania nie było słychać, byłem tego całkowicie pewien. Dopiero teraz, kiedy moja kula uderzyła w kręgle. Spojrzałem na stalowe drzwi, przez które wszedłem do kręgielni. Potem na sklepienie, gdzie biegły różne rury i przewody, ale tak wysoko, że nie mogłem przyłożyć ucha do żadnej metalowej obudowy. Cisza. Nic.

Jak długo już tu byłem? Godzinę? Prawie.

Podbiegłem do drzwi. W tunelu, do którego nie dochodziło światło jarzeniówki, przewody i oszalowania gubiły się w mroku. Nagle poczułem chłodny powiew, leciutki podmuch wiatru wokół łydki, jakby gdzieś otworzyły się drzwi albo kłapa lub właz. I w tym samym momencie ogarnęło mnie wrażenie, że w tunelu przebywa jeszcze ktoś. *Coś.*

Musiałem dwukrotnie gwałtownie zaczerpnąć powietrza, tak bardzo zaszokowało mnie przeświadczenie, że jestem *widziany*. Obserwowany z mroku. Zmrużyłem oczy i wydało mi się, że widzę sunący przez ciemność czarny cień. A potem zobaczyłem go naprawdę.

Pies.

Był wielki jak cielak. Czarny jak pantera. Z majestatycznym łbem, smutnymi ślepiami i nogami robiącymi wrażenie, jakby zwierzak stał na szczudłach. Nie znałem się na rasach psów, ale ten wyglądał jak dog, nawet ja to wiedziałem. Zwierzę stało przy występie muru, który przysłaśniał światło jarzeniówki, i patrzyło w moją stronę.

*Jeśli ten pies się na mnie rzuci, myślałem gorączkowo, a mokra koszulka przylepiła mi się do pleców, jeśli się na mnie rzuci, to... Ucieczka nie ma sensu! Muszę poderwać ręce do góry, najważniejsze, żeby nie dorwał mi twarzy.*

Niewyraźnie dostrzegłem w mroku, że zwierzę ma obrozę.

*Należy do któregoś z sąsiadów*, zaklinałem się w myślach, cofając się ostrożnie krok po kroku. Przesuwałem ręką po murze i nie spuszczałem wzroku z psa.

*Wszystko w porządku, piesiu, wszystko w porządku, Sammy, my się nie znamy, ale to żaden problem.* Jednocześnie uświadomiłem sobie, że coraz bardziej zagłębiałem się w tunel. Zwierzę stało między mną a szybem, który prowadził na górę, praktycznie odcinając mi drogę odwrotu.

Patrzyło na mnie z dobrą minutę, jakby węszyło. Potem jego muskularne ciało drgnęło, pies zarzucił głowę i odwrócił się. Usłyszałem stukanie jego pazurów po podłodze i patrzyłem, jak oddala się elegancko, powoli, niemal w zwolnionym tempie, mijając świetlówkę i szyb, by zniknąć w ciemności po drugiej stronie tunelu.

Odetchnąłem głęboko. Dog. Całkiem niegroźny. Prawdopodobnie w tych sztolniach był jakiś właz wychodzący do ogrodu sąsiadów, przez który przedostał się pies. Nawet nie zawarczał. Może nawet mógłbym się z nim zaprzyjaźnić. Z takim wielkim psem ciągnące się w nieskończoność lato minęłoby jak z bicza trzasań. Czy to on wydawał ten dźwięk, który usłyszałem w kręgielni? Łup, łup, łup. Łapami?

I wtedy przypomniało mi się, dlaczego się tu znalazłem.

*Gdzie on jest? Gdzie jest mój ojciec?*

Popatrzyłem w kierunku, w którym cofałem się przed psem. Mętne migotanie jarzeniówki sięgało w mroczną otchłań przede mną niczym niewielka kałuża światła w okrągłym jeziorze czerni.

To nie miało sensu. Mogłem wpaść w jakąś dziurę, coś sobie zrobić. Nikt by mnie tu prędko nie znalazł. Najwyższy czas zawrócić.

Odwróciłem się do wyjścia. W stronę powietrza. W stronę światła. Przesuwając ręką wzdłuż muru, ostrożnie stawiałem krok po kroku.

To było uwypuklenie, wybrzuszenie, ale nie występ w murze. Raczej metalowa wypukłość, którą musnęła moja ręka, kiedy wracałem do miejsca, gdzie świeciła jarzeniówka. Idąc w przeciwnym kierunku, nie zauważyłem tej nierówności, ale wtedy dotykałem muru po drugiej stronie korytarza.

Ostrożnie przejechałem palcami po zaokrągleniu. Teraz, kiedy skupiłem się na nim całkowicie, wyczułem, że pośrodku znajdowało się coś w rodzaju płytki. Płytką u góry miała przedłużenie i była umocowana trzpieniem do grzbietu wypukłości.

Dotknąłem jej, a wtedy coś kliknęło. Cichusieńko, delikatnie. Płytką drgnęła. Ostrożnie ją pchnąłem. Trzpień trzymał, ale płytką przesunęła się minimalnie w bok. Mój palec sunął dalej, a płytką wraz z nim. I nagle ze środka wypukłości wydobył się promień światła, przeciął bladą bielą mrok tunelu i wylądował na mojej twarzy.

Wstrzymałem oddech. Mogłem wyczuć lekki powiew powietrza, wydostający się z otworu. Jego średnica wynosiła centymetr, może dwa, nie więcej, ale wystarczająco, by spróbować zajrzeć do środka. Zmrużyłem oko i przytknąłem do stożka otworu.

Pierwsze, co zauważyłem, to dobywający się z dziury zapach, który miał w sobie coś świeżego, żywego. Nie był odrażający, a mimo to w jakiś sposób niewłaściwy. Nie należał do tego miejsca – zakurzonego i mrocznego.

Mój wzrok powoli przyzwyczajał się do światła. Róż. To, co zobaczyłem po drugiej stronie, było różowe, beżowe.

Skóra.

– Hej... – wyszeptałem. Serce w piersi zaczęło mi łomotać z całej siły. – Hej!

To była ręka.

To, co widziałem po drugiej stronie, to była ręka. Poruszała się, ręka się poruszała, i nagle pojawiła się szpara, szczelina między palcami.

– Kim jesteś, słyszysz mnie? – szepnąłem.

I naraz usłyszałem, jakby w odpowiedzi, potok dźwięków. Srebrny głos dziewczynki, krystaliczny, wysoki, zdławiony. Potok dźwięków, szeptanych, wypowiedzianych półgłosem, gorączkowych i wyrzucanych w pośpiechu, których nie rozumiałem, ale brzmiały tak delikatnie, łagodnie i niewinnie, że nie mogłem się powstrzymać – wsunąłem w otwór palec wskazujący. Nie było tam szkiełka, więc mogłem włożyć palec do środka. Poczułem, jak jej dotykam, poczułem drgnięcie dłoni pod swoim palcem, poczułem, jak dziewczynka zastyga na moment, jej dłoń oderwała się od otworu i widziałem już tylko czerń. Czarne włosy.

– Heeej! – Byłem kompletnie oszołomiony. – Ja... rozumiesz? Słyszysz mnie?

Włosy poruszyły się, dziewczynka odstąpiła krok w tył i przez maleńki otwór zobaczyłem jej twarz. Była młoda, wprawdzie starsza ode mnie, ale nie dałbym jej więcej niż piętnaście lat. Oblicze porcelanowej lalki, oczy Azjatki, Japonki, Chinki, może Koreanki – o kształcie migdałów, czarne, rozwarłe, zadarty nosek, dłoń przytknięta do ust. Spod ręki wciąż wydobywały się słowa, ale nie mogłem ich zrozumieć.

– Co...? – Mogłem ją widzieć, ale ona mnie pewnie nie, gdyż moje oko było tuż przy otworze. Cofnąłem nieco głowę, żeby pokazać jej swoją twarz, ale wtedy czerń tunelu jakby pochłonęła otwór i zamiast patrzeć przezeń, postrzegąłem tylko jasną plamę w mroku.

Prędko przysunąłem oko z powrotem do świetlnego punktu, zamrugałem i zobaczyłem ją – stojącą tuż za otworem, z małą rączką zasłaniającą usta, z oczami, czarnymi jak węgielki i szeroko otwartymi. Widziałem to. To nie było w porządku. Nic nie było w porządku.

– Są tu jakieś drzwi? Możesz mnie wpuścić?

Oczy. Wielkie. Czarne. Łzy.

– Drzwi? Mogę ci pomóc?

Pokręciła głową.

– Chcesz wyjść, tak?

Nieruchome spojrzenie. Drugą ręką trzymała kurczowo białego misia, przyciskała go do policzka. Gdzieś już go widziałem...?

Zduszony odgłos, jakby kwilenie.

Była zupełnie rozstrojona. Nie była sobą. Miała rozbiegane oczy.

– Sprowadzę pomoc, okay? Ja... zaczekaj, tylko chwilę, pójdę po pomoc.

To było niczym przenikający czaszkę ból. *Sprowadzę pomoc... ale...* nie potrafiłem zebrać myśli.

– Mój tata, pójdę po tatę. My daddy, he will...

– AAAAAAAAAARRGGGGGGGGGH! – Jej krzyk był jak ostry cierń, jak ostrze, które wbiło się między moje oczy. Poczułem, jak na moment serce przestaje mi bić, a pod pachami zbiera się pot.

– NO! NOOOOOOO! – Zrobiła krok w stronę judasza. – NO, DADDY, NO! – Musiała zaprzeć się obiema rękoma o ścianę po obu stronach otworu. Zbliżyła do niego usta: widziałem jej zęby, mogłem czuć jej zapach. – NOOOOOOOOOOOOO!

– Proszę, uspokój się...

– DADDY, NOOOOOO!

Odskoczyła do tyłu, tuląc do siebie misia. Widziałem, że jest kompletnie rozbita. Jej twarz wyglądała jak rozjechana, oczy zbiegły się ku sobie, usta były jedną krzywą raną, włosy miała zwichrzone. Palce wbijała w misia jak kolce. Nagle zamarła. Odwróciła się, obejrzała za siebie, pokazując mi plecy, jakby coś usłyszała. Cisza, na moment zapanowała absolutna cisza.

Odwróciła się z powrotem do mnie.

– Nonononono... – wyszeptała. Podeszła do otworu, wysunęła palec, a ja zobaczyłem spoglądające na mnie wielkie czarne oko. Niewiele myśląc, włożyłem palec w otwór, czując jej dotyk. – Nonono! – rozległo się znowu.

– Okay. Tylko nie krzycz, proszę. – Bałem się, że jeśli powiem coś więcej, ona się rozpadnie na kawałki, tak kruche sprawiała wrażenie, jak rozdarta, jak o krok od śmierci.

Skinęła głową, jakby chciała przytrzymać mój wzrok, i odsunęła się odrobinę od judasza.

– Nonono...

– Nienienie, okay!

Zobaczyłem, jak wskazuje głową do tyłu, jakby chciała skierować na coś moją uwagę, i dopiero teraz dostrzegłem zasłonę, która znajdowała się za nią. Ciężka, gruba, czerwona stora z gumy.

– Hm? – Popatrzyła na mnie pytająco.

*Co, hm?*

– Hm?

– Tak... tak, ale co?

Skinęła ponownie i cofnęła się, ze wzrokiem zatopionym w moim spojrzeniu, jakby prosiła o wybaczenie. *Naprawdę chcesz?* To było to, co, jak myślałem, chciała mi powiedzieć: *Naprawdę chcesz to zobaczyć?*

I wtedy, zanim zdążyłem coś powiedzieć, odsunęła zasłonę.

Jakby trafił mnie grom. Mój wzrok minął ją i powędrował w głąb niszy, która teraz została odkryta. W jej chłód i nagość niszy, ku narzędziom, stali, gumie, przewodom i kłamrom.



Pamiętam, że poczułem się tak, jakby ściana, do której przywarłem, uderzyła mnie pięścią prosto w żołądek. Jej twarz, twarz dziewczynki, była mokra od łez, rozpływała się jak kałuża.

*Widzisz?* – zdawał się mówić jej wzrok – *to jest to, to jest prawda.*

Policzki mi płonęły, w głowie miałem mętlik, w moim umyśle już nie pędziły zdania, postanowienia, żadne dywagacje, choćby nie wiem jak gorączkowe. To były pochodnie, wypalające mnie od środka. Miałem jedenaście lat, a czułem się tak, jakby ktoś porąbał moją duszę toporem.

Wtedy opuściła zasłonę. Zwiesiła głowę; czarne włosy zakryły jej twarz. Słyszałem jej płacz, widziałem drżenie ramion. I nagle blask światła został przecięty jak nożem. Położyła dłoń na otworze i docisnęła tak mocno, że na zewnątrz nie przedostawał się najmniejszy promień.

Spóźniłem się na kolację. Szybko umyłem w łazience zęby, żeby usunąć intensywny zapach whisky. Kiedy wszedłem do dużej jadalni, leżącej bezpośrednio przy salonie na wysokim parterze, pozostali zebrali się już przy stole. Mamy nie było. Ostatnio często zostawała na mieście do wieczora, ponieważ przedłużyły się próby. Ale byli Hannah i Linus. I ojciec. Ponury. Rozdygotany. Z podkrążonymi oczami.

Byłem kompletnie roztrzęsiony. Myśli w mojej głowie skakały jak spłoszone króliki. Ledwie ośmielałem się popatrzeć na ojca.

„DADDY, NOOOOO...!”

Za każdym razem, gdy moją głowę świdrował jej krzyk, czułem, jak przyśpiesza mi serce, jak łomocze, rzuca się w piersi, jakby chciało wyskoczyć.

– Ale tato, mam piętnaście lat, gdybyś tylko wiedział, co robią moi koledzy! – Linus był wzburzony, słyszałem jego głos już w korytarzu.

– Jest mi kompletnie obojętne, co robią twoi koledzy, Linus. – Głos ojca brzmiał bezbarwnie, ale zdecydowanie. – Nie wiadomo, ile czasu tu zostaniemy. Pomalujesz ściany na czarno, a potem będziemy musieli je zamalowywać...

– Mogę to zrobić, to żaden problem.

– Tak, już sobie wyobrażam, jak to robisz. Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę, ile razy trzeba malować, żeby pokryć czarną farbę?

– Ale tato, to zupełnie nie ma znaczenia...

– Czemu, bo tego nie rozumiem, czemu chcesz pomalować swój pokój akurat na czarno?

– Bo tak jest ładnie!

Rzuciłem spojrzenie na Hannah, która nie spuszczała wzroku z Linusa.

Mój brat patrzył na ojca z wściekłością. Było oczywiste, że go nie przekona; ojciec już podjął decyzję.

– Jak skończysz osiemnaście lat, będziesz mógł się wyprowadzić i pomalować sobie ściany nawet na złoto, jeśli ci się zachce. Ale dopóki mieszkasz z nami...

– Nie mogę już tego słuchać! – Linus z gniewem zerwał się od stołu, nie zaszczycając mnie spojrzeniem, i wybiegł z pokoju. Kanapka, którą sobie zrobił, została nietknięta na talerzu.

Usiadłem na jednym z dwóch wolnych krzeseł i zapatrzyłem się w cebulowy deseń na talerzu.

– Ja... Nathan, dziś wieczorem i tak chciałam zadzwonić do rodziców... nie jestem głodna. – To był głos Hannah.

Usłyszałem, jak odsuwa krzesło i wstaje. Cicho przemknęła w klapkach po parkiecie. Trzasnęły wysokie drewniane drzwi, a potem z korytarza dobiegł mnie odgłos jej kroków na kamiennych płytkach.

Metaliczne pobrzękiwanie sztućców, którymi jadł ojciec.

„DADDY, NOOOOO...!”

Najchętniej zatkałbym sobie uszy, by nie słyszeć jej krzyku.

– Ty też nie jesteś głodny?

Podniosłem wzrok. Ciemne oczy taty były utkwione we mnie.

*Plakała, opuściła głowę na pierś, a jej ramiona dygotały.*

Przeglądałem się, jak podnosi kromkę do ust, odgryza kawałek, cały czas patrząc na mnie, i zauważyłem, że jego ręka drży. Nieznacznie, ale ponad wszelką wątpliwość.

– Nie... – Nie dokończyłem. *Ona... Tato, tam na dole, obok kręgielni, ona tam jest... jest*

*tam całkiem sama... a... a miś nie może jej przecież ochronić.*

W głowie kołowały mi strzępy zdań, byłem całkowicie bezradny, nie potrafiłem zapanować nad swoimi myślami.

– Tato...

Oderwał ode mnie wzrok, zajął się nową kanapką.

– Tak? – Nie patrzył na mnie.

*Tato, musisz ze mną pójść...*

– Co za tydzień – powiedział ze spuszczonym wzrokiem. – Zaraz pęknie mi czaszka.

*Tato, ona tam... za zasłoną...*

– Cały dzień nie wychodziłem z pokoju, ten *score* chyba mnie wykończy.

*Score*. Miał na myśli partyturę, muzykę do filmu, nad którym pracował.

*Nie wychodziłeś z pokoju? Ale... Tato, ja cię... ja cię przecież przedtem widziałem! I to nie w pracowni.*

Poczułem, jak znów kieruje spojrzenie na mnie. Jego oczy tkwiły głęboko w oczodołach, głębokie i ciemne. Sięgnął po stojący przed nim kieliszek z winem i wziął potężny haust.

– A jak ty spędziłeś dzień, Sammy?

– Dobrze – wydusiłem. *Czemu dobrze? Co to miało być? Nic nie było dobrze!*

– Cieszy mnie to. Powoli zaczynasz się zadomawiać, co?

*Nie! Nie!*

– Może twój brat ma rację – ciągnął z namysłem ojciec. – Może będzie w porządku, jeśli pomaluje pokój na czarno. Będę musiał jeszcze raz z nim porozmawiać. To ten dzień... – Nachylił się, by podsunąć mi deskę z wędlinami. – Masz, chłopcze, zjedz coś. Musisz przecież coś jeść.

Ciemnoczerwona... i zaschnięta.

Nie mogłem oderwać od niej oczu. Plama. Plama na jego paznokciu. Poderwałem wzrok i zobaczyłem, że ojciec wpatruje się we mnie. Musiał dostrzec moje zmieszanie. Po jego twarzy przemknęło coś w rodzaju zdziwienia, po czym przeniósł wzrok na punkt, w który się gapiłem. Na paznokieć swojego środkowego palca, do którego przywarło to coś. Coś czerwonego, zaschłego.

Gwałtownie położył deskę i przycisnął leżącą obok talerza serwetkę.

Brakowało mi powietrza.

Ona cała się trzęsła. Wężyki i instrumenty, i pętle, i miednice. Nisza za zasłoną. To krew, zaschnięta na jego paznokciu. Poderwałem na niego wzrok. Zobaczyłem, jak przechyla głowę; jak porusza ustami.

– Tato, ja... – *Byłem tam na dole, wiem o wszystkim. Kim ona jest? Musisz ją wypuścić.*

*Ona... nie możesz. Ona jest... jest o wiele za mała!*

Na moment spojrzenie przysłoniły mi czerwone plamy, a potem zobaczyłem jej usta, błyszczące w otworze w ścianie, pełne, wilgotne i rozchylone. I nachylonego nad nią ojca – poczułem, jak zsuwam się z krzesła; otworzyłem szeroko oczy i wbiłem wzrok w puste miejsce na wprost mnie, miejsce, na którym jeszcze przed chwilą siedział.

Gdzieś w oddali rozległo się ciche poskrzypywanie domu. Hannah w swoim pokoju, Linus u siebie. Stół nadal był nakryty: biały obrus, ładne szkło, srebrne sztućce, deski z wędlinami i serem. I ten gorzki smak w ustach, jakby do gardła podeszła mi cała treść żołądka.

Jeszcze przez jakiś czas siedziałem bez ruchu. Nagle trzy pokoje dalej coś huknęło.

Dźwięk sprawił, że poderwałem się na nogi, jakby tuż obok padł strzał. Chwilę potem wzniosło się coś podobnego do chmury – chmury czerni, troski i bólu. Chmury muzyki.

Musiał rozkręcić ją na cały regulator. Po raz pierwszy usłyszałem motyw przewodni

partytury, nad którą pracował. Chmura smutku, w której pływały dźwięki skrzypiec przypominające jej głos, głos dziewczynki wijącej się pod zadawanymi jej ciosami i ruchami, dziewczynki błagającej o życie. Chmura stworzonej przez ojca muzyki, w której się nurzał, która przesiąkała go jak trucizna.

*Żadnych dziur, nie wiercić żadnych dziur w ścianie! Kołki, śruby, haki? Nie! Zamiast nich – szyny. We wszystkich kątach pomieszczenia. Dziur w ścianie nie da się zlikwidować tak łatwo.*

*Szyny. Szyny da się wyjąć. I zaczepy. Nie można wycinać dziur w gumie. Zaczepy muszą być przymocowane po zewnętrznej stronie. Tak jak na tym kawałku.*

*Przygląda się trzymanemu w ręku skrawkowi plastiku. Po zewnętrznej stronie umocowana jest pętelka. Po zewnętrznej stronie. W taki sposób, że sam plastik nie będzie przedziurawiony. A pętelki... Wypróbuj je. Gumowy zaczep przesuwają się po szynie, którą położył wzdłuż dolnej krawędzi pomieszczenia. Kolejna pętelka. Materiał się rozciąga, ale daje się przesunąć przez całą długość szyny.*

*Poci się w kombinezonie, który włożył. Kaptur, przytrzymujący włosy, zsuwa mu się na czoło i brwi. Czuje, jak pot spływa mu po karku, zlepia włosy. Nad górną wargą utworzyła się słona, wilgotna warstewka.*

*Ale pracuje bez ustanku.*

*Bo wszystko pasuje. Pasują szyny, pętelki, plastik. Czuje to w opuszkach palców. I w brzuchu. Czuje, że wszystko się zgadza. Że to się uda, że tak będzie dobrze, że tak będzie właściwie. To właściwe i ważne, nie może się tego doczekać. Nie chce dłużej czekać. Nie może dłużej czekać.*

*Zdecydowanie ustawia pionowo kolejną szynę, zespaja ją na dole śrubą z umocowaną wcześniej poziomą szyną. I przesuwają plastikowe pętelki, także przez tę szynę.*

*Będzie ciepło w tej sakwie... pokrowcu... gumowym namiocie. Popłyną soki, świat się rozpuści. Rozpuszczą się w nim i roztopią.*

*Nieruchomieje. Spogląda na swoją dłoń, w grubej gumowej rękawicy. Palce zaczęły nieco dygotać.*

*Ma do tego prawo. Potrzebuje tego. Kupuje to. To jego własność.*

*To.*

*Nie ośmiela się powiedzieć „ona”.*

*Ona.*

*Ona należy do niego.*

*Jeszcze jej nie widział. Ale widział inne dziewczęta. Taka jak te, powiedzieli. Taka jak te.*

*Dokładnie taka, jak trzeba. Dokładnie taka, jak chce. Jak potrzebuje. Jak mu się należy.*

*Bo jego życie przemija. Czas przecieka mu przez palce. Czym jest życie, jeśli nie łańcuchem złożonym z chwil? I jeszcze jedna, i jeszcze jedna, i jeszcze jedna chwila. Uciekają, przeciekają przez palce. Nie pozostaje mu nic więcej poza paroma chwilami. A on chce tych chwil, przynajmniej paru z nich, chce się w nich nurzać. Kąpać. Chce się nimi owinać, by je zapamiętać. Tylko paru z nich, może sześciu, dwunastu takich chwil... Sekund? Nie, nie sekund, paru godzin, ale potem już koniec, koniec życia. Więcej nie potrzebuje.*

*Dostanie ją. Będzie ją posiadał...*

*Jego dłoń zadygotała silniej, więc skupia się znów na pętelkach i zaczepach. Na plastiku. Koszula i spodnie, które ma pod kombinezonym, są już przesiąknięte na wylot. Czuje, jak jego serce wali jak młotem. Wie, że to szaleństwo. Wie, że musi z tym skończyć. Powinien. Nie może. Po co mu chwile jego życia, jeśli nie może się na nie cieszyć?*

*Będzie w tym plastikowym pokrowcu. Pokrowcu, który można zdemontować. Ale najpierw musi go zainstalować. Podnieca go doskonałość konstrukcji. Jest taka przemyślana. Zabezpieczy*

go. Plastik hermetycznie zamknie w sobie wszystko, co wydarzy się w środku. Może nie każdy ma do tego prawo. Z całą pewnością nie. Ale on je sobie rości. Dadzą mu to prawo? Nie? Więc kto? Kto miałby na zbyciu coś takiego? On je sobie bierze. Ją. A kiedy ją dostanie, kiedy będzie ją posiadał, tutaj, w tym plastikowym prostopadłościanie, kiedy już się stopią, wtedy będzie miał to prawo. Ogień, który roznieca w nim ta myśl, już teraz pokazuje mu, że to właściwe. Przecież to właśnie jest to – życie! Czuje, jak zaczęło w nim migotać, trzaskać, buzować. Rozpaliło się na dobre. Teraz, gdy wykłada pomieszczenie plastikową gumą.

Będzie tak ciepło, że oboje będą musieli się rozebrać. To będzie jak powrót do łona matki. Będą w nim sami, w plastikowym łonie, który on właśnie naciąga. Ona będzie się trzymać go kurczowo, a on ją chronić. Posiadać.

Za krótko.

Ale będzie warto. Nie dlatego że puści wolno wodze fantazji. Tylko dlatego że ją usłyszy. Jej oddech. Jej płacz. Ciche odgłosy, które będzie wydawała przy każdym ruchu. To jest to, co przetrwa tę chwilę.

Pot splywa mu strużkami do oczu, które zaczynają piec. Już prawie nie czuje dłoni w gumowych rękawiczkach, za mocno owinął taśmą nadgarstki. Ale ogień, podniecenie, strach przed tym, co robi, są jak rozgrzany eliksir życia, który płynie w jego żyłach.

W każdej chwili może się zatrzymać. Zastopować. Zawrócić. Parę szyn, plastik, co w tym takiego. Nic. To nic. Parę listew i pętelek. Przecież to nic takiego. On tylko mocuje w pomieszczeniu kilka szyn i zaczepów. Nic wielkiego.

Czuje już ogień. A przecież to tylko parę szyn i zaczepów. Tylko poczekaj, jak buchnie wysokim płomieniem, kiedy pojawi się tu życie, kiedy rozbrzmia dźwięki, zaczną się ruchy. Poczekaj na gorąco, które będzie cię trawić!

Jakże mógłby teraz się zatrzymać? Człowiek żyje tylko raz. A to jest to, co on rozumie pod pojęciem „życie”. Wszystko inne jest już tylko umieraniem. A on nie chce umierać.

Chce żyć.

– Linus? – Drzwi do pokoju brata były zamknięte. Zapukałem. – Hej, Linni, jesteś tam? Usłyszałem skrzypnięcie łóżka, a potem odgłos klucza przekręcanego w zamku.

– Co jest?

Był nagi do pasa, ubrany tylko w bokserki, a jego oczy wyglądały na lekko zapuchnięte.

– Ja... – Co mu miałem powiedzieć? Nie wiedziałem nawet, jak zacząć. – Mogę wejść na chwilę?

Popatrzył na mnie ze zmarszczonymi brwiami.

– Położyłem się już, to nie jest dobry moment.

– Tak, ale...

– Umówiłem się na jutro rano z kolegami ze szkoły, chciałem położyć się wcześniej spać.

– Tak?

*W porządku, tylko...*

Zadzwoił telefon. Rodzice kazali pociągnąć do jego pokoju dodatkową linię, miał nawet własny numer.

Popatrzył na mnie i po prostu zamknął drzwi.

– Dobrze. – Usłyszałem ze środka jego głos. – W porządku... Sammy? – Urwał na chwilę. – Przestań podsłuchiwać, proszę.

Westchnąłem, odwróciłem się i pomaszerowałem korytarzem do swojego pokoju.

Położyłem się na łóżku i przycisnąłem twarz do poduszki. Okno było otwarte. Z zewnątrz dochodził szum topoli, które rosły po skosie po drugiej stronie trawnika.

– *NOOOOOO!* – Jej dłoń, czułem jej dłoń, była taka chłodna, sucha. I miękka.

Aksamitna. – *Pójdę po tatę. My daddy, he will...*

Jej oczy. Błagały mnie.

Co teraz robiła? Czy miała tam jakiś materac? A może była wpięta w te aparaty w niszy, rozebrana, a jej skóra błyszczała w ciepłym świetle lampy? Poczułem, jak coś się we mnie poruszyło. Nie mogłem inaczej, jak tylko pozostać myślami przy obrazie, który pojawił się w mojej głowie. Jej czarne oko spoglądające zza palca, który wysunęła do mnie przez otwór. A potem znów ujrzałem ojca, jego zmarszczki wokół ust, dwie proste linie, zaciśnięte usta, kiedy wycierał serwetką krew z palca.

– Nie! – Z determinacją odepchnąłem się od materaca. – Nie!

Chwilę potem ponownie stanąłem przed drzwiami Linusa. Nacisnąłem klamkę, ale drzwi nie dały się otworzyć. Były zamknięte na klucz.

– Linus, otwórz, to ja, Sammy, muszę z tobą porozmawiać!

Brak odpowiedzi.

A potem kroki na schodach, znajdujących się tuż obok drzwi Linusa.

Obróciłem się gwałtownie. Mój brat. W T-shircie i bokserkach. Uśmiechał się do mnie.

– Sammy, co jest?

– Hej, gdzie byłeś? – Cofnąłem się o krok.

– Zszedłem na chwilę do taty. – *Do taty.* – Chciałeś mi coś powiedzieć?

– Linus? – To był głos ojca. Odbijał się echem od podnóża schodów.

– Co z nim robiłeś? – wyszeptalem.

– Nic, on... – Twarz Linusa rozciągnęła się w szerokim uśmiechu. – Tata pozwolił mi pomalować pokój. – Odwrócił się plecami, cofnął do poręczy schodów i spojrzał na dół. – Co jest?

– Pójdiesz rano kupić farbę? – dobiegł z dołu głos ojca.

– Tak, czemu pytasz?

– Potrzebujesz jeszcze pieniędzy, prawda?

Stanąłem przy balustradzie obok brata i też spojrzałem w dół. Ojciec tkwił pośrodku schodów, z odchyloną głową i paroma banknotami w ręku.

– Masz na razie stówę, to powinno wystarczyć.

Linus zerknął na mnie.

– Tak, myślę, że tak. – Zbiegł po schodach.

Ojciec przez chwilę, przez ułamek sekundy omiółł mnie wzrokiem, a potem przeniósł spojrzenie na mojego brata.

– Jeśli nie wystarczy, wyłóż ze swoich.

Linus dotarł na dół i wziął pieniądze.

– Jak tam, Sammy, wszystko w porządku? – Oboje patrzyli na mnie do góry.

– Tak, tak.

*Nie, nie. Nic nie jest w porządku!* Jakby czyjaś zimna ręka chwyciła mnie za kark.

– Idź spać, Sammy. Dzwoniła mama, nie wróci już dziś do domu. Próby potrwają do późna, przenocuje na mieście.

– Dobrze.

Cofnąłem głowę. I zczekałem. Usłyszałem, jak obaj przechodzą z holu do sąsiadującego z nim salonu. Odczekałem jeszcze chwilę i powoli, chyłkiem zszedłem po schodach. Na ostatnim podejściu zatrzymałem się i wstrzymałem oddech.

Dochodziły do mnie ich przytłumione głosy. Boso przemknąłem przez korytarz. Teraz mogłem zajrzeć do salonu przez szeroką szparę w przesuwanych drzwiach. Siedzieli w kąciku wypoczynkowym koło kominka, tata na fotelu, brat na kanapie, i rozmawiali. Byli zwrócenii ku sobie, lekko nachyleni. Jak mogli być tacy spokojni, kiedy tam, na dole, była ta dziewczynka?

Przejechałem dłonią po czole. Nie, bzdura, mój brat o niczym nie wiedział, nigdy...

Zamarłem. Ojciec obrócił głowę i jego spojrzenie zatrzymało się na mnie. Odskokczyłem, jakby ugryzła mnie osa, a potem pomknąłem na górę. Przeciąłem korytarz i wpadłem do swojego pokoju. Zatrzasnąłem drzwi i dysząc, oparłem się o nie plecami.

*On ją przetrzymuje tam, na dole, to dlatego jest taki dziwny. To się zaczęło, kiedy tu zamieszkał. Jest niespokojny. Nerwowy. Przybity. Bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Potrzebuje jej, bierze ją, on... robi z nią, co chce.*

*Muszę z nim porozmawiać!*

*Ale jak?*

*Nie da mi dokończyć, nie pozwoli mi dojść do słowa. Nie mogę popełnić teraz najmniejszego błędu. Ona nie ma nikogo.*

*„DADDY, NOOOOOO!”*

*Jeśli popełnię błąd, ona nigdy nie wyjdzie na wolność.*

*Serce podchodziło mi do gardła. Czy zauważył, że byłem na dole, w podziemiach? Jak na razie nic nie powiedział. Dlaczego? Czeka, aż ja coś powiem!*

*„Cały dzień nie wychodziłem z pokoju”*

*To nieprawda, skłamał.*

*Jego twarz przypominała drapieżnika, drapieżnego ptaka.*

*Okłamał mnie.*

*A jeśli wejdziesz mu w paradę, przyciśnie mnie do ściany, zbliży pooraną głębokimi bruzdami twarz... przyciśnie mnie do ściany, aż przestanę oddychać.*



Długo jeszcze leżałem bezsennie, lecz w końcu przysnąłem. Kiedy otworzyłem oczy, było kompletnie ciemno. Widziałem migotanie na suficie, odblask ogrodowej sadzawki. Dom był pogrążony w ciszy.

Półprzytomny, popatrzyłem po sobie. Nadal byłem w krótkich spodenkach i koszulce, w której chodziłem przez cały wczorajszy dzień.

Wyprostowałem się powoli i spuściłem gołe stopy z łóżka. Nasłuchiwałem. Oblizałem wyschnięte wargi.

Zegarek na nocnym stoliku wskazywał wpół do czwartej. Gdzieś daleko usłyszałem warkot oddalającego się samochodu. Ciche popluskiwanie sadzawki. Łagodne pomrukiwanie domu. Szelest kołdry na moim łóżku, kiedy wstałem.

Wsunąłem stopy w sandały, podszedłem do drzwi pokoju i otworzyłem je. Przede mną rozpościerał się ciemny korytarz.

Nie mogłem zostawić jej tam, na dole, samej na całą noc. *Nie musisz się bać, coś wymyślę. Jak masz na imię? Yoki? Eni? Umi?* Znajdę jakiś sposób, żeby z nią porozmawiać. Musiała mi zaufać, musiałem przekonać ją, że może mi ufać. To był pierwszy krok. Najważniejsza rzecz. Musieliśmy wspólnie znaleźć sposób na to, by jej pomóc.

Podbiegłem do schodów.

Ale co miałem zrobić? Wypaść na ulicę, pójść na najbliższy posterunek policji? Nawet nie wiedziałem, gdzie jakiś jest. Zadzwoić na policję? *Mój ojciec! Musicie zaaresztować mojego ojca! Musicie przyjechać jak najprędzej!*

To było kompletnie nie do pomyślenia. Porozmawiać z mamą, kiedy w końcu wróci do domu? Wiedziałem, jak by się to skończyło. Podczas prób do nowego spektaklu mama nie miała głowy do niczego innego. Ojciec nawet nie próbował zajmować wtedy jej uwagi. Sprawiała wrażenie, jakby funkcjonowała na autopilocie. „Hannah, nie może wam pomóc Hannah?” – to było jej ulubione zdanie.

A Linus? Może powinienem najpierw wtajemniczyć brata? To była moja pierwsza myśl, właśnie dlatego próbowałem z nim porozmawiać. Ale odkąd zamieszkaliśmy w Berlinie, Linus jakby postradał rozsądek. Czy to przez to, że myślał, iż musi dorównać nowym kolegom? Może wcale nie czuł się przy nich tak fajnie i beztrosko, jak udawał?

Pod moją stopą skrzypnął stopień. Ostatnie cztery schodki zjechałem po poręczy, lądując z cichym plaśnięciem na kamiennej posadzce.

Bzyczenie. Szum. Cisza.

Skierowałem się na prawo, do salonu. Dwa marmurowe popiersia, które rodzice zdążyli już wypakować, spoglądały na mnie z góry, z częściowo pustych jeszcze półek na książki. Udało mi się bezgłośnie nacisnąć klamkę szklanych drzwi prowadzących na taras. Na zewnątrz trochę się ochłodziło. Przemknąłem przez taras i zszedłem po schodkach na murawę.

Blade światło trzech czwartych księżyca, padające znad wierzchołków topól, zalewało ogród dziwną poświatą. Moja smukła sylwetka rzuciła cień, który ślizgał się obok mnie po trawniku. Liście w koronach drzew nade mną szeleściły głośno. Wkrótce dotarłem do komórki na końcu bukowego żywopłotu. Wciągnąłem powietrze. Serce waliło mi tak mocno, że aż bolał mnie bok. *Yoki, Eni, Umi... nie musisz się bać. Ile miała lat? Chyba nie więcej niż piętnaście?*

Drzwi komórki były zamknięte. I co teraz? Kiedy byłem tu przedtem, były otwarte, a ja na pewno ich nie zamykałem. Przecież nawet nie miałem klucza!

Przypomniałem sobie ojca, jak wyciąga klucz z kieszeni spodni i wsuwa go do zamka.

Czy wyszedł z podziemnego korytarza po tym, jak ja go opuściłem? Ale przecież kiedy przyszedłem na kolację, siedział już przy stole. Wrócił tu i zaryglował drzwi? Bo zapomniał zrobić to po południu?

Niecierpliwie skręciłem za róg i pchnąłem ramę zabrudzonego okna. Zgrzytnęło. Naparłem na nie całym ciałem. Coś brzęknęło cicho. Rama ustąpiła, okno otworzyło się nagle. Znieruchomiałem w nocnym powietrzu. Szelest liści, odległe buczenie miasta.

Drewno starego okna było mocno wypaczone. Miałem szczęście, że się nie domykało. Skrupulatnie zbadałem szybę. Brzęknęła, ale nie pękła. Dźwięczała tylko w zbutwiałej ramie.

Stęchłe powietrze wewnątrz komórki zaatakowało moje nozdrza, kiedy wskoczyłem na parapet. Okrągły uchwyt klapy połyskiwał w świetle księżycy. Zsunąłem się do wnętrza, przykucnąłem na podłodze obok żeliwnego kółka i pociągnąłem do góry ciężkie deski.

Stanąłem na trzecim żelaznym szczeblu i zamknąłem za sobą ciężki właz. Zapadła całkowita ciemność. Z kieszeni spodni wyjąłem małą latarkę, którą zabrałem pośpiesznie, zanim opuściłem pokój. Cienki snop przeciął okrągły szyb. Przytrzymałem latarkę zębami, by mieć wolne ręce, i ruszyłem w dół.

Po chwili ujrzałem blask jarzeniówki, dochodzący z końca tunelu. Zaraz potem znalazłem wybrzuszenie w ścianie. Płytką, trzpień, do którego była umocowana.

*Yoki?*

Ostrożnie puknąłem w płytkę i przesunąłem ją na bok. Zamrugąłem i opuszką palca obmacąłem odsłonięty otwór.

Było inaczej. Ciemno. Z pomieszczenia nie dochodziło światło.

– Halo? – wyszeptąłem jak najostrożniej. Pewnie spała. Oczywiście, że spała! Ale musiałem ją obudzić. Musiałem, prawda? Musiałem spróbować z nią porozmawiać. Nie mogłem teraz tak po prostu wrócić do swojego pokoju.

– Halo? Yoki?

*Ona nie nazywa się Yoki. Co się z tobą dzieje, Sam?*

Zapaliłem latarkę, którą wcześniej wyłączyłem, żeby oszczędzać baterie, i skierowałem snop światła na otwór. Było tak ciasno, że ledwie mogłem zajrzeć do środka, świecąc jednocześnie latarką. Promień światła wędrował po pomieszczeniu. Zasłona. Połyskująca. Czerwona. Przesunąłem snop w ciemność obok. Ściany też były wyściełane gumą. Światło wyłoniło z mroku łóżko, wąskie i zbite z gołych desek. Starannie pościelone. Ale puste. Z kołdrą w niebieskie słoniki. Niski stolik. Obok niego prosty regał z kilkoma puszkami konserw. W głębi plastikowa miska. Dalej, przy ścianie, niska toaleta, taka, jaką widziałem kiedyś na polu namiotowym. Na stoliku opróżniona do połowy plastikowa butelka z wodą, a przy łóżku sterta sczytanych książek w miękkich okładkach.

Nie było jej. Pomieszczenie było puste.

*Yoki?*

Przełknąłem ślinę. Zdałem sobie sprawę, że do oczu napływają mi łzy.

– Halo? Słyszysz mnie?

Cisza. Zgasilem latarkę i wytarłem oczy. Znowu ją zapaliłem. Drzwi?

Snop światła omiótł od zewnątrz ścianę, w której znajdował się judasz. Była masywna zupełnie gładka. Skierowałem światło z powrotem do środka. I wtedy to zobaczyłem. Zamek błyskawiczny w gumowej powłoce przy ścianie, suwak o konturach drzwi, nie szerszych niż trzydzieści centymetrów. Dokładnie na wprost judasza.

Światło latarki pomknęło w głąb tunelu. Ale korytarz kończył się pionową ścianą niecałe dziesięć metrów dalej. Przejechałem dłonią po szorstkim betonie. Tunel zamurowano dawno temu, może nigdy nie był dłuższy. Odwróciłem się, minąłem otwór w ścianie i wróciłem do

jarzeniówki. W tym miejscu korytarz się rozgałęział. Lecz kiedy poszedłem jego odnogą, już po paru krokach dotarłem do stalowych drzwi, które zagradzały drogę. Szarpnąłem za klamkę. Zamknięte.

*Papier, muszę pójść po papier i wrzucić go jej przez otwór do środka, żeby znalazła go, kiedy wróci. Tylko parę słów, „I help you!” ... Ale czy ona w ogóle rozumie po angielsku? Nie słyszałem, żeby powiedziała cokolwiek poza „Daddy, no!”.*

Zatrzymałem się pośrodku tunelu i bezwiednie utkwilem wzrok w swoich gołych palcach, wystających z sandałów.

*Serce, po prostu narysuję na kartce serce, żeby ją uspokoić...*

Moja ręka zacisnęła się kurczowo na latarce.

*Chyba jednak lepiej nic nie rysować, nie zostawiać kartki. A jeśli on ją znajdzie? To tylko pogorszy sytuację!*

W tunelu było chłodno, ale moja twarz płonęła, jakbym miał gorączkę.

W głowie miałem mętlik. Co powinienem zrobić?

*Muszę być ostrożny, muszę najpierw spróbować z nią porozmawiać.*

Jutro... Było późno, najpierw musiałem się wyspać. A jutro... jutro rano będę wiedział, jak postąpić. Jutro na pewno ona dalej tu będzie.

*A może on coś zauważył? Paznokcie, krew na paznokciu! Zauważył przecież, jak na niego patrzyłem. I dlatego, właśnie dlatego wrócił i zamknął drzwi komórki na klucz... Ale nie, nie! Niczego nie zauważył, byłby przecież zupełnie inny, przecież nie...*

Wzdrygnąłem się. To wszystko na nic. Byłem zbyt skołowany. Musiałem jak najszybciej wrócić do swojego pokoju i się pozbierać, zanim do reszty zgłupieję tu, na dole.

Wyszedłem przez okno na zewnątrz i ostrożnie zamknąłem za sobą mętną szybę. Księżyc przesunął się nieco na niebie. Przeciąłem trawnik i wszedłem po schodkach na taras. Drzwi do domu były przyknięte, tak jak je zostawiłem. Zamknąłem je za sobą od środka i pomknąłem głównymi schodami na górę. Wszyscy spali, nigdzie nie paliło się światło. Minąłem pokój brata i zajrzałem do sypialni rodziców. Ich drzwi były uchylone. Pomieszczenie ziało szarością. Zawahałem się. *On tam leży, pewnie ma rozchylone usta, odchyłoną głowę.*

Bezgłośnie podszedłem bliżej i znieruchomiałem. Z sypialni nie dochodziło chrapanie ani nawet odgłos oddechu. Dotknąłem gładkiej powierzchni drzwi i pchnąłem lekko. Toaletka mamy. Szafa na ubrania. Duże małżeńskie łóżce. Puste. Kołdra po stronie, po której spał ojciec, była zmięta, ale nikt pod nią nie leżał. Po drugiej stronie, tej należącej do mamy, łóżko było starannie pościelone i nietknięte.

Odwróciłem się powoli, tknięty nagłym przecuciem, że ojciec mógłby stać za moimi plecami. Ale korytarz za mną był pusty. Gdzie on był?

Poszedłem do łazienki rodziców i powoli pchnąłem drzwi. Dwie umywalki, kafelki w wymyślny deseń, wanna. Nikogo.

W pracowni? Jego pracownia leżała w głębi, w bocznym skrzydle domu, więc nie widziałem jej, wracając z salonu.

Cichaczem zszedłem po schodach, przemknąłem przez wielki hol i mijając salon, wszedłem w korytarz prowadzący do bocznego skrzydła.

Od razu to zobaczyłem. Drzwi pracowni były zamknięte, ale szczelinę biegnącą wokół nich rozświetlał złocistożółty pasek.

Wiedziałem, że ojciec czasami pracuje po nocach. Ale nic nie było słychać. Założył słuchawki, żeby nie zakłócać nam snu? Podkradłem się do drzwi i przyłożyłem do nich ucho. *Czy on stoi po drugiej stronie? Czy mnie usłyszał?*

Oddech. Tak, coś było słychać. Z pokoju dochodziło przydymione dyszenie, odgłosy

niemal niezauważalnego, a jednak dziwnie natarczywego ruchu. Oddech, galopujący, urywany, mknący naprzód. Oddech więcej niż jednych płuc. Dyszenie, tak, teraz słyszałem to całkiem wyraźnie, dyszenie, ale dziwnie stłumione. Zdławione.

*Zakrywa jej dłonią usta? Przyciska rękami jej usta?* Ciche pobrzękiwanie, rytmiczne, miarowe, raz po raz.

*Brzdęk, brzdęk, brzdęk.*

Jak szklanki na stole, postukujące o siebie bez ustanku. Zawiesiłem wzrok na dziurce od klucza. Nie był tam sam, miałem całkowitą pewność. Przytknąłem oko do dziurki i zobaczyłem to. Brzuch, obnażona skóra, a z boku goła, owłosiona noga. I dyszenie, tak gorące, że miałem wrażenie, jakby oddech przenikał do mnie przez dziurkę od klucza. *Brzdęk, brzdęk, brzdęk.* I coś w rodzaju kwiczenia, cienkiego, stłumionego, powstrzymywanego, i głuche uderzenie, jakby szklanki w końcu pospadały ze stołu. Nie było to twarde uderzenie, tylko coś przypominające kłapięcie. Nagle dostrzegłem coś, czego przedtem nie było, tuż obok nogi stołowej, niedaleko fotela, na którym podrygiwały sczepione ze sobą ciała. Przedmiot był biały, musiał właśnie spaść na ziemię. Coś białego, kosmatego i nie większego od piłki nożnej. Tak, zgadza się, teraz widziałem to wyraźnie – łapka, ucho, błyszczące, szklane oko. Szklane oko białego misia. Misia, którego Yoki przyciskała do siebie, kiedy patrzyła do mnie przez otwór w piwnicy – płacząc i krzycząc.

*„NOOOOOO, DADDY, NOOOOOO!”.*

Słońce zaglądało prosto do mojego pokoju. Kiedy się obudziłem, nocne przeżycia wydały mi się sennym koszmarem. Wczoraj, po tym, jak zobaczyłem misia, bez najmniejszego dźwięku przemknąłem chyłkiem do mojego pokoju. Teraz niecierpliwie włożyłem spodnie i koszulkę, po czym zbiegłem po schodach. Było późno – długo spałem, wyczerpany po nocy.

W wyłożonym niebieską tapetą pokoju śniadaniowym o dużych oknach, wychodzących na tyły domu, w którym zwykle jadaliśmy śniadanie, wszystko stało jeszcze na dużym stole. Ale krzesła były już puste. Mój brat pewnie wyszedł, żeby kupić farbę i pędzle do malowania pokoju. Ojciec miał tego dnia jakieś spotkanie na mieście, a mama najwyraźniej jeszcze nie wróciła. Tylko Hannah wyszła do mnie z kuchni, kiedy usłyszała, że zszedłem.

– Jak tam, wyspałeś się? – Uśmiechnąłem się, wciąż lekko zaspany. – Zrobić ci jajecznicę?

– Chętnie! – Obiegnąłem stół i podążyłem za nią do kuchni.

Hannah przyjechała do nas tylko na parę miesięcy, ale mieszkała z nami już trzeci rok. Była naszą au-pair. Właściwie byliśmy już z Linusem za duzi na kogoś takiego, ale mama co jakiś czas prosiła Hannah, by jeszcze trochę została. Bo oczywiście dzięki niej wszystko było prostsze. Zwłaszcza wtedy, gdy mama przygotowywała nowy spektakl i wołała nocować w hotelu przy operze, zamiast wracać do domu po nocach.

Hannah troszczyła się o zakupy, pilnowała, żebyśmy odrabiali lekcje, robiła pranie i była na miejscu zawsze, gdy jej potrzebowaliśmy. W Londynie oczywiście miała ciekawsze życie, a posadę u moich rodziców przyjęła po to, by mieć darmowe noclegi i zarabiać niewielkie kieszonkowe. Teraz jednak przeprowadziła się razem z nami do Berlina i nie wyglądało na to, by szybko miała nas opuścić. Wprawdzie co jakiś czas oznajmiała, że tym razem naprawdę może zostać tylko do Bożego Narodzenia, a w ogóle to chce rozpocząć studia – nie miała jeszcze dwudziestu lat – ale ja już nie potrafiłem sobie wyobrazić naszej rodziny bez niej.

Usadowiłem się przy stole, a Hannah postawiła na palniku patelnię i wbiła na nią dwa jajka. Miała na sobie prostą, białą sukienkę, spod której wystawały jej gołe nogi. Była boso, a długie włosy w odcieniu ciemnego blondu związała w staromodny wieniec, co w Londynie zawsze uchodziło za symbol niemieckości. Jej odrobinę zbyt szeroka twarz z wystającymi kośćmi policzkowymi wyglądała w tej fryzurze wyjątkowo ładnie.

– Masz jakieś plany na dzisiaj, Sammy?

*Plany...*

– Nie, właściwie nie.

Obróciła się odrobinę i uśmiechnęła.

– Jak to? Jest taki piękny, letni dzień, a ty nie wiesz, co robić?

*Ależ wiem! Oczywiście, że wiem, co chcę robić. Muszę wrócić do tunelu, do otworu w ścianie.*

Ale czy powinienem jej o tym mówić? Czy mogłem?

Hannah zamrużyła, a jej usta rozchyliły się nieco. Zauważyła, że myślami jestem gdzie indziej. Czekala.

– Chciałem się położyć w ogrodzie i trochę poczytać – wydusiłem w końcu, odwracając się do okna, jakby zainteresowało mnie coś na zewnątrz, w rzeczywistości jednak chciałem uniknąć jej wzroku.

– Poczytać? – Odwróciła się z powrotem do kuchenki. – A nie miałbyś ochoty porobić czegoś razem ze mną?

– A co? – Wstałem i wziąłem z szafki talerz. Może najprościej byłoby, gdybym zjadł od razu w kuchni.

– Moglibyśmy... – Zaczęła bełtać jajka. – Moglibyśmy pograć w kometkę, a potem pójść do twojego pokoju.

*Do mojego pokoju? A potem?*

– Taaak.

Lubiłem Hannah. Ładnie pachniała, a ja zawsze miałem wrażenie, że mnie lubi. Często bawiliśmy się z nią razem w ogrodzie albo graliśmy w planszówki, tylko dziś... dziś to nie był dobry pomysł. Dzisiaj wiedziałem, co chcę robić, i nie było to granie w chińczyka z Hannah.

– Jakoś mało w tym entuzjazmu. – Odwróciła się z patelnią w rękę, podeszła do mnie i nałożyła mi jajecznicę na talerz. – Są świeże bułki.

Wyjęła z pojemnika na chleb bułkę i położyła ją razem z widelcem obok mojego talerza. Potem wstawiła patelnię do zlewu i usiadła na wprost mnie przy małym kuchennym stole.

– Linus umówił się z kolegami, paru z nich przyjdzie potem, żeby mu pomóc w malowaniu – powiedziała. – Pomyślałam więc, że moglibyśmy spędzić czas razem.

Wsunąłem do ust trochę jajecznicy i zacząłem żuć.

*Jasne, chętnie, tylko...*

– A może trochę się pouczymy? Twój tata wspomniał chyba o tym, że powinieneś się przygotować do nowego roku szkolnego?

– O, nie, proszę... – wyrwało mi się.

Roześmiała się.

– Okay, zgoda, więc nie. Ale... – Hannah sięgnęła po szklankę z wodą stojącą na stole, upiła trochę i popatrzyła na mnie znad krawędzi. – Ale leżeć cały dzień przy basenie to chyba też nie jest dobry pomysł, co?

– Dlaczego nie? – Zacząłem w zadumie kroić bułkę. – W końcu są wakacje. – Chyba nie chciała spędzić całego dnia ze mną? Jak miałbym się wyrwać? Kawałkiem bułki ostrożnie nałożyłem resztkę jajecznicy na widelec. – Nie musisz się mną zajmować, Hannah. Nie chcesz pojechać do miasta? – Popatrzyłem jej w oczy. – A może rodzice powiedzieli ci, że masz dziś zostać tutaj? – To było bezpośrednie pytanie. Zauważyłem, że trochę ją zaskoczyłem.

– Chcesz się mnie pozbyć, co? – Zaśmiała się. – Tylko mi nie mów, że masz zamiar bez przerwy wylegiwać się na trawie. Co planujesz? No już, mów!

– Nie! Nic. Myślałem tylko... że będziesz się nudzić.

– Dlatego powiedziałam, że moglibyśmy potem pójść do twojego pokoju.

– Tak? A co będziemy tam robić?

Uśmiechnęła się do mnie. Jej oczy były wielkie i piękne.

– Co będziesz chciał, Sam. Moglibyśmy... trochę posprzątać, moglibyśmy... co tylko zechcesz, naprawdę.

Sięgnąłem po drugą połowę bułki i ugryzłem. *Co bym chciał...* Wydało mi się to trochę dziwne. I przyjemne. Jej słowa wywołały przyjemne mrowienie w moim brzuchu, ale i lekką konsternację.

– Okaaay – powiedziałem przeciągle, by zyskać na czasie. – Ale w taką pogodę, sam nie wiem, siedzenie w pokoju nie wydaje mi się najlepszym pomysłem.

A gdybym udał, że znalazłem to przypadkiem? Razem z nią? Wejście do komórki, tunel, otwór, celę? Mógłbym po prostu zaproponować, żebyśmy rozejrzeli się po ogrodzie, a potem nagle wpaść na pomysł, żeby zajrzeć do szopy.

Porzuciłem tę myśl tak szybko, jak załęgła się w mojej głowie. Równie dobrze mógłbym po prostu powiedzieć jej teraz, co przeżyłem. Ale Hannah... jasne, lubiłem ją, ufałem jej, prawie

należała do rodziny – ale tak naprawdę nie była jej *częścią*. A to, co odkryłem, musiałem najpierw omówić z kimś z nas. Jeśli już nie z ojcem, to z mamą, bratem. Nie mogłem najpierw zwierzyć się Hannah.

– Ktoś ci tak powiedział? – Popatrzyłem na nią wprost. Przyszła mi do głowy osobliwa myśl. – Że masz się o mnie zatroszczyć? Dzisiaj?

Czy to *on* jej powiedział, żeby mnie pilnowała? Bo dowiedział się, że byłem w piwnicach? Przy otworze? *Może nie wie tylko, ile wiem, może chce się tego wywiedzieć przez Hannah!*

– Dlaczego? Nie! – Jej śliczne oczy nagle jakby zaszyły mgiełką. – No weź, Sammy, przecież wiesz. Na tym polega moja praca, żeby się o was troszczyć.

*Ma mnie pilnować, ma mnie nadzorować, dlatego nie chce zostawić mnie w spokoju.* Miałem wrażenie, jakby z jej opalonej twarzy spoglądała na mnie para zielonych oczu drapieżnego kota. Kota z pazurami ostrymi jak noże.

– Czasami czuję się jak pod nadzorem – mruknąłem i spuściłem wzrok. Hannah podniosła się z krzesła i przykucnęła przy mnie. Czy tego chciałem, czy nie, mogłem odrobinę zajrzeć za dekolt jej białej sukienki, gdzie miękko i ładnie odznaczały się krągłości jej piersi. – Kontrola dzień i noc, podobałoby ci się? – Trochę przekornie i wyzywająco podniosłem wzrok i znów spojrzałem jej w oczy. Przez moment wydawało mi się, że patrzy na mnie z uśmiechem. Mógłbym przesunąć palcem po jej pełnych wargach, ale się powstrzymałem.

– Przykro mi, Sammy. Tego oczywiście nie chcę.

– Nie, to nie jest twoja wina, nie robisz tego umyślnie, tak tylko mówię.

Skinęła głową.

– To nie jest właściwe, Sam. Twoi rodzice z pewnością też nie chcieliby, żebyś się czuł kontrolowany. Po prostu chętnie dziś bym coś z tobą przedsięwzięła.

– Przecież są wakacje. Myślałem, że mogę zwyczajnie cieszyć się dniem, bez konieczności ustalania, co będzie za godzinę, a co za dwie...

– Ależ jasne, oczywiście! – Podniosła się i cofnęła o krok, prawie urażona.

– Naprawdę, Hannah, nie chciałem tego tak powiedzieć, ty robisz... zawsze robiłaś wszystko jak trzeba.

Ale ona stanęła już przy zlewie i zaczęła sortować brudne talerze. Jej pośladki odznaczały się pod cienką sukienką, widziałem cienkie paski jej majtek po bokach.

– Wszystko w porządku, Sammy, nie przejmuj się. Przepraszam, jeśli cię wkurzyłam, to już się nie powtórzy.

Delikatne mięśnie jej gołego ramienia poruszały się pod skórą, kiedy układała talerze na stojaku.

– Hannah?

– Co takiego, Sammy? – Pochylona, obejrzała się przez ramię.

– To... tylko dziś, wiesz? Dzisiaj mi nie pasuje, ale wakacje przecież są długie. Na pewno będziemy mogli porobić jeszcze razem wiele różnych rzeczy.

– Już dobrze, mały, zostawmy to! – Uśmiechnęła się do mnie.

Powoli wstałem i podszedłem do drzwi, ale zatrzymałem się w progu. Hannah wciąż na mnie zerkała.

– Hannah, co właściwie miałaś na myśli?

– Z czym?

– Że moglibyśmy pójść do mojego pokoju.

– Że jak? – Wyprostowała się. Obserwowałem jej sylwetkę.

– Do mojego pokoju, dlaczego do mojego pokoju... – Byłem odrobinę skołowany. –

Miałas na myśli, że sami, tylko ty i ja?

– Tak, jeśli chcesz.

Była wyższa ode mnie może o głowę, ale czasem miałem wrażenie, że różnica wieku między nami nie jest taka duża. Jakby Hannah bardziej należała do mnie i Linusa niż do moich rodziców, choć przecież była dorosła, tak jak oni, podczas gdy ja i mój brat byliśmy dziećmi. Dawniej, na początku, kiedy Hannah była u nas nowa, a ja byłem młodszy, przybiegałem do niej, a ona brała mnie w objęcia. Teraz oczywiście już tego nie robiłem, choć nadal mnie do niej ciągnęło. Tylko jakoś inaczej.

Stałem w drzwiach, odrobinę zakłopotany.

– Może... może naprawdę powinniśmy pójść do mojego pokoju, Hannah.

– Tak? Chciałbyś?

Skinąłem głową.

– Ale to nie był tata, co? To nie on prosił cię, żebyś... się mną zajęła?

– No, wiesz. – Uwolniła z upięcia gruby warkocz i owinęła go sobie wokół ręki. – To w końcu twoi rodzice mi płacą, Sammy. A płacą mi za to, żebym się wami zajmowała.

– Ale ja mam na myśli dzisiaj. Że dziś masz się mną zająć szczególnie.

– Szczególnie...? – Podeszła do mnie, tak blisko, że dzielił nas krok. Jej bliskość, jej wzrost, jej ciepło... uderzyły mi do głowy, i nie tylko do głowy. Całe moje ciało mrowiło, a przecież odkąd zobaczyłem na dole dziewczynkę, i tak wypełniał je dziwny niepokój. – Co byłoby dla ciebie szczególne, mój mały mężczyzno? – Przykucnęła przede mną. Jej gołe kolana, wystające w tej pozycji spod jej sukienki, dotknęły moich nóg.

Nie zastanawiając się, wyciągnąłem rękę, dotknąłem kosmyka jej włosów, który wyswobodził się z warkocza, i odsunąłem go z jej twarzy.

Drobniutkie kropelki potu błyszczały nad jej górną wargą. Zobaczyłem, jak mój palec zbliża się i ich dotyka. Jej oczy śmiały się do mnie i zdawało mi się, że błysnęło w nich pewne zainteresowanie.

– To był tata, prawda? – wyszeptalem. – To on kazał ci się dziś mną zająć, zająć szczególnie.

– O rany! – Wstała gwałtownie i odwróciła się. – No, leć już, mały, i pozwól mi dokończyć!

Tym razem się nie wahałem. Czuję, że ją rozzłościłem, choć nie wiedziałem czym.



Zacięła się.

Rama okienka się zacięła.

Cofnąłem się o krok. Miałem wrażenie, że bluszcz, który wspinał się po ścianie komórki, owija się wokół moich stóp.

Niecierpliwie zerwałem ciemnozielone pędy, rozrastające się bujnie wokół okna, i wyrzuciłem gałązki za krzak na rogu. Ostatnim razem okno z trudem ustąpiło, teraz jednak wyglądało na to, że zaklinowało się na dobre. Zgiąłem się w pół i pchnąłem barkiem spróchniałe drewno.

Coś trzasnęło, uderzyłem o parapet, rama puściła i stuknęła o nadproże okienne. Szyba rozbiła się z głośnym brzękiem. Zamarłem.

– Sammy? – Przez trawnik dobiegł mnie głos Hannah. Pewnie stała na tarasie, niewidocznym z tego miejsca. Brzęk szyby musiał dotrzeć aż do willi.

– Wszystko w porządku, Hannah! Pękła tylko stara szyba koło ogrodu różanego. Nic się nie stało.

Nasłuchiwałem. Nie odpowiedziała. Czy przyjdzie mnie poszukać? Nie sądziłem. Zapewniłem ją przecież, że wszystko w porządku. Ukląknę na parapecie i przełożyłem nogę do wnętrza.

*Ogród różany.* Hannah powie rodzicom o rozbitej szybie. Nie szkodzi, dopóki ojciec się nie dowie, że dobierałem się do komórki. Wszedłem do środka i schyliłem się do kółka przymocowanego do kłapy. Pociągnąłem, zaparłem się obutymi w sandały stopami i poczułem, jak napinają mi się mięśnie pleców.

Kłapa uniosła się o dobry centymetr, a potem coś ją zablokowało. Kłódka albo coś w tym rodzaju. Ktoś zamknął kłapę od dołu. Może dałoby się ją otworzyć mocnym, gwałtownym szarpnięciem? Ukląknę na podłodze, żeby lepiej chwycić za kółko, i aż przycisnąłem pięść do ust. Fala bólu popłynęła od kolana po moją twarz. Klapnąłem do tyłu i zobaczyłem ziejącą na kolanie głęboką ranę, z której w rytm uderzeń serca pulsowała krew. W podłodze sterczał odłamek szkła, a ja oparłem się kolanem o ostrą jak brzytwa krawędź. Czerwony strumień ściekał mi po łydce, brudząc kawałki szkła. Zrobiło mi się słabo. Przyłożyłem rękę do rany, dociskając jej krawędzie. Krew lepiała mi się do palców. Ściągnąłem koszulkę i owinąłem nią kolano. Ciepła ciecz z upiorną powolnością wsiąkała w białą bawełnę. Znużenie. Nagle ogarnęło mnie wielkie znużenie.

– Hannah? Hannah, mogłabyś jednak przyjść na chwilę...? – Jeszcze przed sekundą pilnowałem, by nie skaleczyć się o inne odłamki. Teraz byłem już zbyt słaby na taką ostrożność. Spomiędzy moich palców wypływała krew. Ciepła, śliska, lepka.

Wypuściłem z płuc powietrze – i zamknąłem oczy.

Kiedy ponownie je otworzyłem, było mi zimno. Słońce świeciło inaczej. Już nie zwiastowało upalnego dnia, tylko intensywnie prażyło od dobrych paru godzin. Mój kark lepił się od potu, ale ręce pokrywała gęsia skórka. Próbowalem poruszyć palcami. Krew skleiała je całkowicie, ale zdołałem je rozdzielić. Kolano miałem wciąż owinięte tkaniną.

Palilo. Mniej, niż się obawiałem, ale tak mocno, że nie potrafiłem myśleć o niczym innym. Dźwignąłem się ostrożnie i spróbowałem obciążyć skaleczoną nogę. Kulałem, ale mogłem iść. Okno nadal było otwarte. Podwinąłem zdrową nogę i podciągnąłem się na nie. Kiedy dosięgnęły mnie promienie słońca, zakręciło mi się w głowie, ale wziąłem się w garść. Zeskoczyłem na ziemię, wychyliłem się raz jeszcze do środka i zamknąłem oba skrzydła okna.

Pokuśtykałem w stronę domu.

Chciałem za wszelką cenę uniknąć spotkania z Hannah w takim stanie. Okrążyłem więc dom i skierowałem się do bocznego wejścia, o którym wiedziałem, że zamykają je tylko na noc. Na parkingu przed domem zobaczyłem samochód, który ojciec wziął z wypożyczalni. Musiał wrócić z miasta, kiedy ja leżałem w komórce.

Wąskie boczne drzwi dały się otworzyć. Zaraz obok nich znajdowała się niewielka łazienka, pierwotnie przeznaczona dla służby. Kiedy bawiliśmy się z Linusem w ogrodzie, korzystaliśmy z niej, żeby nie lecieć na górę. Zamknąłem za sobą drzwi i zasunąłem zasuwę. Oderwałem od rany T-shirt. Wyglądała nieco lepiej niż przedtem. Jedno cięcie, na jakieś trzy centymetry. Jeśli zalepię je dużym plastrem...

Obmyłem ręce i nogę, a potem otworzyłem szafkę z lustrem nad umywalką. Buteleczka ze środkiem dezynfekcyjnym, którego używała mama, kiedy wracaliśmy pokiereszowani z rozgrywek piłki nożnej, była wypełniona do połowy. Pokropiłem ranę czerwono-brązowym płynem. Ciecz spłynęła po nodze na podłogę. Ostrożnie rozwarłem brzegi rany i poprawiłem. Zapieкло, ale to było przyjemne uczucie. Najważniejsze, by rana pozostała czysta. Pośpiesznie zakręciłem butelkę, sięgnąłem po plaster i nożyczki i odciąłem odpowiedni kawałek. Zakleiłem ranę, a później papierem toaletowym wytarłem podłogę do czysta.

Musiałem jeszcze zrobić coś z ubrudzoną koszulką. Zakładałem, że tata jest w pracowni i że uda mi się przemknąć niezauważenie. Jak najciszej otworzyłem drzwi i wysunąłem głowę na korytarz. Ściszone chłopiące głosy, śmiechy. Najwyraźniej mój brat też już wrócił i przyprowadził kolegów. Wyśliznąłem się z łazienki i dyskretnie przeszedłem do schodów.

– A co za to dostaniemy? – Usłyszałem czyjś drwiący głos.

– Nie musisz tego robić – odparował mój brat. – Doskonale poradzimy sobie bez ciebie!

Pokuśtykałem na górę, minąłem drzwi pokoju Linusa i nie zwracając uwagi na zebranych tam chłopaków, wszedłem do siebie. Zamknąłem się od środka. Wetknąłem brudną koszulkę za książki na najwyższej półce regału i wziąłem z szafy świeżą. Zdawałem sobie sprawę, że nie mam czasu do stracenia. Przede wszystkim musiałem wrócić do szopy. Krew, rozbita szyba. Nie mogłem dopuścić, żeby on... Widziałem go przecież! Widziałem, jak wchodził do komórki. Słyszałem, jak mnie okłamał. Słyszałem, jakie odgłosy dochodziły z jego pracowni. To jego nogę widziałem przez dziurkę od klucza. Nie było co do tego najmniejszych wątpliwości. Jego noga! Widziałem także jej brzuch. Jej brzuch i jej misia.

Kiedy wróciłem do komórki, w ciemnym otworze sterczały z ramy ostre zęby rozbitej szyby. Kolano bolało, ale dało się wytrzymać. Włożyłem do środka, założyłem jedną z roboczych rękawic, które leżały na półce, i zacząłem zbierać zakrwawione odłamki. Na tej samej półce znalazłem parę starych szmat. Na zewnątrz już wcześniej widziałem kran z wodą. Wytarłem podłogę, wypłukałem szmaty i wyniosłem odłamki szkła do ogrodu różanego po drugiej stronie trawnika. Biorąc pod uwagę, jak zdziczały był cały ogród, raczej nikt się nie zdziwi, gdy w trawie będą leżały kawałki starej szyby. Rozrzuciłem odłamki wokół cokołu niewielkiej marmurowej figurki, ustawionej przy wejściu do ogrodu różanego, a później wróciłem do willi.

Wiedziałem z moich wcześniejszych eskapad do domowej piwnicy, że znajdowało się w niej kilka pomieszczeń z materiałami budowlanymi. Wszedłem do środka wejściem dla służby i minąwszy dolną łazienkę, dotarłem do schodów prowadzących na dół. Zaraz potem w kącie, gdzie składowano rozmaitej wielkości szyby, znalazłem taką, która mniej więcej pasowała rozmiarami. Nadal miałem założone rękawice. Wiedziałem, że z piwnicy było bezpośrednie wyjście do ogrodu. Było wprawdzie zamknięte, ale w zamku od środka tkwił klucz.

Kiedy wróciłem z szybą do komórki, oczywiście nie byłem w stanie wstawić jej w ramę, ale mogłem postawić ją na parapecie. To musiało wystarczyć. Żeby mieć pewność, że szyba nie

spadnie od podmuchu wiatru, oparłem o nią długą gałąź, którą znalazłem na stercie drewna pod ścianą. Ponieważ drewno dociskało szybę na wysokości okiennej ramy, praktycznie nie rzucało się to w oczy.

Zdjąłem rękawiczki i przysunąłem ręce do oczu. Moje palce drżały lekko.

*Yoki?* Zatarłem ślady. Ale nie mogłem marnować więcej czasu. Jeśli będę miał pecha, to jeszcze tej nocy stanie się jasne, że szyba w oknie komórki została zbita. Musiałem jak najprędzej z kimś porozmawiać. I była właściwie tylko jedna osoba, która wchodziła w rachubę.

Linus.

Kolano bolało. Pulsowało. Plaster już trochę przesiąkł, rana zaczęła lekko ropieć. Leżałem na swoim łóżku. Próba porozmawiania z Linusem zakończyła się kompletnym fiaskiem. Oczywiście wybrałem najgorszy możliwy moment. Koledzy brata – zostało ich jeszcze dwóch – właśnie zaczęli malowanie. Pokój był częściowo wyłożony folią ochronną, a na ścianie obok okna zaczęła się rozrastać czarna plama.

Ale co miałem robić? Nie mogłem przecież czekać na bardziej dogodny moment!

– Co jest, Sammy? – Linus podszedł do mnie, z pędzlem w rękę i w idiotycznym papierowym kapelusiku na głowie.

– Moglibyśmy chwilę... porozmawiać, Linus? Sami?

Ale on nie chciał. A może przeczuwał, że to nie jest sprawa na pięć minut.

– Nie rozumiem! – rozłościł się, kiedy zacząłem naciskać. – Myślisz tylko o sobie! Widzisz przecież: przyszli Jan i Paul, kupiliśmy farbę, tata w końcu się zgodził. Porozmawiamy później, dobrze, Sammy? Teraz nie mogę!

Prawdopodobnie podskórnie wyczuł, że chciałem wykonać krok, którego nasza rodzina nie przetrwa. Naprawdę nie mógł chwilę ze mną porozmawiać? Oczywiście, że mógł, w normalnej sytuacji zrobiliby to. Ale krótka rozmowa nie załatwiłaby sprawy. Linus znał mnie chyba lepiej niż ktokolwiek inny; domyślał się czegoś, może wyczytał coś z mojej twarzy, podejrzewał, że coś jest nie tak. I nie był na to gotowy. Więc instynktownie bronił się przed tym. Przede mną.

Miałem łzy w oczach, bo nie wiedziałem już, do kogo się zwrócić.

– Linus, tylko chwilę... – Nie mogłem mówić otwarcie, jego koledzy stali tuż za nim. Gdybym powiedział „W naszej piwnicy jest dziewczynka”, usłyszeliby. Nie mogłem, ale co... co miałem robić?

– Sorry, Sammy, teraz nie da rady! Pogadaj z mamą, z Hannah, z tatą... Bo ja wiem! – Nie zatrzasnął mi drzwi przed nosem, ale je przytknął. Odwrócił się i przytknął drzwi. – Sorry, mały. – Widziałem w jego oczach, że żałuje. – Sorry, mały, ale nie mogę ci pomóc. – Wiedziałem, że tak naprawdę powiedział „Sorry, mały, ale to mnie przerasta”.

A zatem leżałem na swoim łóżku, z lekko ugiętym kolanem, bo tak mniej bolało, i czułem, jak narasta we mnie niepokój.

Widziałem ją. Czarne, gładkie włosy, miękkie usta. Widziałem czerwoną zasłonę.

– Sammy, hej... – Podniosłem głowę i spojrzałem w stronę drzwi, które zostawiłem otwarte. Mama nadal miała na sobie zieloną sukienkę, w której poprzedniego dnia pojechała do miasta. Długie brązowe włosy opadały jej na ramiona, a na twarzy miała lekki makijaż. Pokój owionął delikatny zapach jej perfum. – Słyszałam, że pokłóciłeś się z Linusem.

Usiadła na krawędzi łóżka, po mojej lewej stronie, i oparła się prawą ręką o materac.

– Mama! – Usiadłem i zarzuciłem jej ręce na szyję. Jej włosy otuliły mnie miękkim ciepłem. Czułem swoją kruchość w jej objęciach. Przycisnęła mnie mocno.

– To z powodu taty, mamo, on... – *On chowa w piwnicy dziewczynkę!* – On... dziś po południu... nie, wczoraj po południu poszedłem za nim i... tam, w ogrodzie... – I już nie mogłem ich powstrzymać. Głosy i dźwięki, które słyszałem, popłynęły ku mnie i niemal mnie zalały.

„NOOOOOOO, DADDY, NOOOOOO!”.

Kwiczenie, pojękiwanie. To nie była ona, moja matka, ale z pracowni ojca dobiegało pojękiwanie kobiety, dziewczyny. Oczywiście, że nie powinienem zaglądać przez dziurkę od

klucza. Ale zrobiłem to i już nie mogłem się od niej oderwać. Z mojej piersi wyrwał się szloch, płakałem z dezorientacji, wstydu i bezsilności, zachłysnąłem się, drżałem i trzymałem kurczowo mamy.

Nic nie mówiła. Tylko trzymała mnie w ramionach i głaskała po plecach.

– Musisz porozmawiać z tatą – wyszeptałem w końcu.

– Już dobrze, Sammy, już dobrze. Wszystko jest dobrze. – Wyswobodziła się nieco z mojego uchwytu i skierowała na mnie aksamitne, brązowe oczy. – Jesteś kompletnie rozstrojony.

– Porozmawiasz z nim?

– Ale o czym, Sammy? Co się stało?

„NOOOOO, DADDY, NOOOOO!”.

Nie, nie powinna, nie mogła z nim rozmawiać! To zbyt niebezpieczne. Znowu wszystko robiłem nie tak! Wpatrywałem się w mamę szeroko otwartymi oczami.

– Nathan! – Odwróciła się lekko i zawołała w stronę drzwi. – Przyjdiesz tu na chwilę, proszę?

– Nie! – Szarpnąłem ją za ramię. – Nie! Nie tata!

Zmarszczyła brwi.

– Sammy... Sammy, co się dzieje?

– Gdzie jesteś? – Jego głos dobiegł od schodów, przemknął przez korytarz i wpadł do mojego pokoju.

– Tutaj, jestem u Sammy’ego.

– Widziałem ją – wyrzuciłem z siebie. Przywarłem do mamy i wyszeptałem jej do ucha: – Jej miś, jej miś w...

– Tutaj jesteś. – Jego sylwetka całkowicie wypełniła przestrzeń drzwi.

– Jej miś? – Mama popatrzyła na mnie i zmarszczyła lekko czoło. Miałem jednak wrażenie, że jej mina nie była do końca szczerą.

Serce podskoczyło mi do gardła.

– Hannah powiedziała, że się skaleczyłeś, Sammy? – Ojciec podszedł do łóżka i spojrzał na mnie z góry.

– Tak... – Wysunąłem nogę spod kołdry. Miałem już na sobie piżamę, więc musiałem podciągnąć nogawkę.

– Zdezynfekowałeś? – Mama ostrożnie dotknęła mojej skóry powyżej kolana i obejrzała plaster.

– Tak, tym brązowym płynem, który jest w łazience na dole.

– Boli jeszcze? – Ojciec przyciągnął krzesło od biurka i usiadł przy nas.

– Trochę.

– Mam zdjąć plaster, żebyśmy obejrzelili ranę?

– Tak, może tak... – Opadłem na poduszkę. *Cholerna rana!*

Zabolało trochę, kiedy mama odklejała plaster, potem zapiekło, kiedy zdecydowanym ruchem oderwała jego resztę. Rana lekko poczerwieniała na brzegach i zwilgotniała.

– Ojej... – Mama wstała. – Przyniosę jodynę, to na pewno nie zaszkodzi.

– Trochę poboli, ale... nie wygląda to źle – wtrącił ojciec. – Jak to się stało? – Przyglądał mi się, kiedy mama wyszła z pokoju.

„Przy ogrodzie różanym”, powiedziałem do Hannah. Tam zaniósłem odłamki.

– Przy ogrodzie różanym, koło tej kamiennej figury, potknąłem się w wysokiej trawie i upadłem. W trawie leżą odłamki szkła.

Patrzył mi spokojnie w oczy.

– Hm.

Nie śmiałem się ruszyć. W gardle miałem kluczę, która z każdą chwilą zdawała się powiększać. *Mama*. Dlaczego znów jej przy mnie nie było? Jak to się działo, że zawsze była nieobecna? Nie mogłem zamienić z nią nawet dwóch zdań. Przed chwilą zabrzmiała niemal tak, jakby wzywała go na pomoc. Jakby nie mogła ani przez chwilę udźwignąć roli osoby, która ma mnie wesprzeć.

– Sammy... ja rozmawiałem przed chwilą z Linusem. – Usłyszałem głos ojca. – Powiedział, że kiedy był z kolegami, nie chciałeś zostawić go w spokoju. Posłuchaj, przecież wiesz, bo sam też, kiedy jesteś z przyjaciółmi...

– Ja nie mam przyjaciół w Berlinie, tato.

– Tak... tak, wiem, masz z tym trochę problemów, ale zobaczysz, jak pójdziesz do nowej szkoły, to też znajdziesz przyjaciół.

*Ja* miałem problemy?

– Wiesz, ty i Linus zawsze możecie się bawić, ale musisz zrozumieć, że on czasem chce też pobyć sam z kolegami.

To jakiś obłąd! Jakbym chciał się bawić z Linusem! To było zbyt skomplikowane. Jak miałem mu to wytłumaczyć?

Do pokoju wróciła mama.

– Sammy, naprawdę, tata ma rację, nie możemy wszyscy zawsze skakać wokół ciebie.

Byłem tak skołowany, że do oczu znowu napłynęły mi łzy.

– Widzisz, teraz też oboje siedzimy z tobą. – Mama odkręciła buteleczkę. – Robię to chętnie, cieszę się, że jeszcze nie śpisz, kiedy wracam do domu... Chcę tylko powiedzieć, że nie możemy, zwłaszcza teraz, w wakacje, dzień i noc zapewniać ci rozrywki. Naturalnie, to, że w tym roku nigdzie nie wyjechaliśmy na wakacje, to też moja wina. – Pokropiła płynem ranę i dłonią zatrzymała spływające krople. – Wszyscy musimy teraz trochę wziąć się w garść, tak? – Jej oczy wpatrywały się we mnie, a ja spijałem jej spojrzenie. Uwielbiałem, kiedy na mnie patrzy.

– Tak, okay – wymamrotałem.

– Musimy jeszcze raz porozmawiać z Hannah. – Mama przeniosła wzrok na tatę. – Powinna poświęcać mu więcej czasu, zwłaszcza teraz, gdy mam próby.

– Ale przecież ona chce. – Ojciec oparł łokcie na kolanach, zwiesił lekko głowę i odwzajemnił spojrzenie mamy. – Hannah chce spędzać więcej czasu z Sammym, ale on się przed tym wzbrania! – Przeniósł wzrok na mnie. – Zgadza się? – Wypuściłem z płuc powietrze. – Na przykład dzisiaj. Chciałeś czytać samotnie w ogrodzie, tak mi powiedziała.

– Tak... tak, to prawda.

– Weźcie rowery, wybierzcie się na wycieczkę, pojedźcie na basen. Jeśli o mnie chodzi, możecie nawet wybrać się do miasta – zaproponowała mama. – Naprawdę, Sammy, płacimy Hannah, żeby się wami zajmowała, także tobą, inaczej to nie ma sensu. – Nie wiedziałem, co powiedzieć. Jedyne, co teraz wiedziałem, to to, że oczy ojca były skierowane na mnie. Mama namyślała się chwilę, przyklejając jednocześnie świeży plaster na moją ranę, po czym zwrócona do taty, ciągnęła: – Mówiłeś, że latem chciałbyś porobić z Sammym parę nagrań?

Nadstawiłem uszu i spojrzałem na ojca.

– Masz na myśli dyktafonem? – Wyglądał na odrobinę zaskoczonego.

– Tak.

– Owszem, racja. – Raz, jeszcze w Londynie, widziałem, jak ojciec na spacer zabrał maleńki dyktafon, by nagrywać nim rozmaite dźwięki. Wyjaśnił mi wtedy, że czasem wykorzystuje w pracy takie odgłosy. Szum deszczu, turkotanie metra, głosy odbijające się echem

w przejściu podziemnym. Dźwięki codzienności, które później przekształcał i poddawał obróbce. – Masz ochotę? – zapytał mnie teraz. Już wtedy, gdy po raz pierwszy zagadnąłem go o to, ustaliliśmy, że chciałbym nagrać parę rzeczy i mu je zaprezentować. – *Jasne. Zawsze miałem ochotę robić coś razem z nim. Skinąłem głową.* – Dobrze, Sammy, mam jeszcze jeden starszy dyktafon na małe kasety. Dam ci go, ty porobisz nagrania, a ja ich wysłucham. Zgoda?

– Okay.

Mama wyglądała na zadowoloną.

– O co ci chodziło przed chwilą z tym misiem? – zapytała, przykrywając mnie kołdrą i uklepując ją po bokach.

– Miś? Widziałeś go? – Tata się uśmiechnął. – Wiesz, skąd się wziął? Znalazłem go dziś przed południem w ogrodzie.

*Tak, wiem, skąd się wziął! Ona przyciskała go do siebie, kiedy ją obejmowałeś, naga i młoda. Plakała w jego futerko, ale ty zasłaniałeś jej usta, żeby nic nie było słychać!*

I to miałem powiedzieć matce? Przecież by tego nie przeżyła! Przytłoczony, obróciłem się na bok i wbiłem wzrok w ścianę.

– Chodź, Becky, pozwólmy mu zasnąć. To był długi dzień dla nas wszystkich.

Usłyszałem, jak wychodzą z pokoju i zamykają za sobą drzwi.

*Jutro przyjdę do ciebie znowu – wyszeptano coś we mnie – Yoki, jutro porozmawiamy.*

*A potem sprowadzę pomoc, obiecuję. Wytrzymaj, jeszcze tylko parę godzin i będzie po wszystkim!*

*Najgorzej jest podczas wspólnego posiłku przy stole.*

*Jego myśli już zawsze wędrowały swoimi drogami, kiedy zasiadali naprzeciwko siebie. Kiedy słyhać było pobrzękiwanie widelców na porcelanie, głosy dzieci, żucie i przesuwanie krzesel. Zawsze odpływał myślami, gdy zwracał spojrzenie ku oknu.*

*To naprawdę moje miejsce? Przy tym stole? W tej rodzinie? A jeśli odejdę? Wstanę i odejdę? Czy obchodzi mnie, co powiedzą? Czy to moje życie?*

*Właśnie to zawsze chodziło mu po głowie, kiedy odwracał wzrok ku oknu.*

*Teraz jednak jest inaczej.*

*Teraz jest naprawdę strasznie. Nie do zniesienia.*

*Teraz jest tak, jakby płonął żywcem.*

*Teraz czuje wzbierające od dołu gorąco. Czuje żar przenikający przez mury. Żar, który doprowadza jego krew do wrzenia, aż w jego głowie pojawia się myśl, że to przecież musi być po nim widać. Ale inni nie wiedzą, co wywołuje w nim tak wielką nerwowość. Nie wiedzą, dlaczego świerzbią go ręce, dlaczego ma takie dziwne uczucie w brzuchu, dlaczego bolą go dziąsła i ma mętlik w głowie. On wie.*

*To ta dziewczynka, która czeka na niego na dole. Myśli o nim. Przez calutki dzień, godzinę po godzinie. Nie wie, co ona myśli, nie rozumie jej języka. Ale wie, że myśli o nim. Że widzi przed sobą jego twarz. Że myśli o tym, o czym on myśli. Co on czuje. Jak on czuje. Wie, że jej myśli, jej uczucia, nadzieje i obawy krążą wokół niego. Wokół tego, co wywołuje w nim wściekłość, a co łagodność. Co czyni go pokornym, a co rozdrażnia. Właśnie to przebłyskuje w nim teraz, kiedy odwraca głowę od rodzinnego stołu w stronę okna. Jej dłonie. Jak przyciąga go do siebie. Jak patrzy na niego i próbuje zrozumieć. Jak się lęka i nie chce popełnić błędu. Jak do niego należy.*

*Kiedy przenosi wzrok z powrotem na stół, widzi swoją rodzinę jak przez mgłę, jak przez folię. Odsunął się od niej, oddzielił hermetyczną membraną. A to, co wrze w jego głowie, co żarzy się w brzuchu, jest po stokroć, po tysiąckroć silniejsze od tego, co się dzieje wokół niego.*

*Bo ona czeka i on też. Miarkuje, że mówi zbyt głośno, tak bardzo jest podekscytowany i tak bardzo próbuje to ukryć. Kiedy będzie mógł do niej pójść? Kiedy będzie mógł zejść na dół? Wentylacja, problemem jest wentylacja. To przez szczelność gumy. Ale ona jest w dobrym stanie, zdrowotnie nic jej nie dolega. Jest... ona rozkwita, to życie w niej rozkwita, zupełnie bez jej udziału. I to życie ma podarować jemu. A on je bierze. I dobrze mu z tym. To jest złe. Wie o tym. Ta świadomość jest jak stalowy pręt przebijający go wzdłuż. Wie, że to bardzo złe. Świat staje na głowie, świat, który upada, który się roztopia. Ale on żyje, a świat wokół niego może się rozpaść na kawałki – dla tych chwil z nią, tylko dla nich, to wszystko się opłaci.*



Posypały się drzazgi.

Wióry dosłownie fruwały w powietrzu. Postawiłem pniak tuż obok kłapy w podłodze, a na nim umieściłem stalowy trzonek siekiery, którą znalazłem w komórce na regale. Uniosłem klapę na tyle, na ile pozwalała kłódka, i wsunąłem pod nią trzonek siekiery. Kiedy napałem, tylko zgrzytnęło i zatrzeszczało. W końcu stanąłem na nim z całym impetem, wyważając klapę.

Trzasnęło. Wyrwało skobel i kłapa wyleciała do góry. Niewiele brakowało, a otworzyłaby się do samego końca, ale impet był zbyt słaby. Zamiast tego oba skrzydła uniosły się nieco, po czym rąbnęły z powrotem o podłogę.

Dzisiaj nawet nie poszedłem na śniadanie. Zaraz po przebudzeniu ubrałem się i zszedłem do ogrodu. Po drodze nikogo nie spotkałem. Nie chcą nieustannie koło mnie skakać? Proszę bardzo.

Przyjrzałem się skoblowi. Był przymocowany do desek zwykłymi śrubami. Przy odrobinie szczęścia mógłbym je przykręcić. Ale od spodu? Skobel z kłódką znajdował się po wewnętrznej stronie kłapy. Jak wyjdę z szybu, kiedy już przymocuję go do wjazdu? W tym samym momencie, w którym zadałem sobie to pytanie, przez głowę przemknęła mi inna myśl: jak wyszedł z szybu ten, kto jako ostatni zaryglował wjazd? Czyżby z podziemi było jeszcze inne wyjście? Przypomniały mi się stalowe drzwi, na które się natknąłem w tunelu. Gdyby udało mi się zdobyć do nich klucz...

Spuściłem nogi do szybu. Dlaczego kłapa tym razem była zamknięta? Kiedy poszedłem za ojcem pierwszy raz, musiała być otwarta, inaczej nie mógłby zejść do schronu przez komórkę. Kłódkę dało się otworzyć wyłącznie od dołu.

Czując narastający niepokój, zacząłem schodzić po żelaznych szczeblach. Teraz, kiedy wyważyłem klapę, nie da się już dłużej ukryć, że ktoś był w piwnicach. Że ktoś wtargnął tu siłą. Ile czasu minie, zanim wyjdzie na jaw, że to ja wyłamałem skobel? Że spotkałem dziewczynkę?

Zeskoczyłem z ostatniego szczebla i powziąłem decyzję. Porozmawiam z nią. Teraz, od razu. Wszystko jedno jak. Wytlumaczę jej, że nie mogę dłużej milczeć. Że nie mogę dłużej zamykać oczu na to, co odkryłem.

Było mi obojętne, czy ojciec zauważy, że wyłamałem kłódkę, czy nie. Nie będę dłużej udawał, że o niczym nie wiem. Już i tak milczałem zbyt długo!

Przede mną rozciągał się mroczny tunel. Wkrótce minąłem jarzeniówkę i zbliżyłem się do otworu w ścianie. Poczułem dziwne mrowienie. Niemal się cieszyłem, że znów ją zobaczę, ale przygnębiająca atmosfera w betonowej sztolni zapierała mi dech. Za pierwszym razem oboje byliśmy tak bardzo zaskoczeni i zaszokowani, że właściwie zawiodło wszystko, co tylko mogło zawieść. Tym razem chciałem zacząć inaczej. Chciałem się dowiedzieć, jak ona ma na imię. Przyniosłem jej też coś. Kredki i trochę papieru, na którym mogła mi coś napisać.

Dotknąłem płytki, przesunąłem ją na bok.

– Yoki? – Co za bezsens, nie wiedziałem przecież, jak ona ma na imię!

Nasłuchiwałem.

I w tym samym momencie poczułem obezwładniające rozczarowanie.

Było inaczej.

Snop światła mojej małej latarki rozbłysnął i oświetlił celę.

Nagą. Zakurzoną.

I pustą.

Miałem wrażenie, że betonowa posadzka, na której stoję, usuwa mi się spod nóg.

Zakręciło mi się w głowie i zatoczyłem się w lewo. Złapałem równowagę, chwytając za wybrzuszenie w ścianie. Dyszałem. O mały włos nie upadłem. Płytką wróciła do swojej pozycji wyjściowej.

Byłem sam.

Sam w tunelu.

Sam w schronie.

Wszystko, co wydarzyło się w przeciągu dwóch ostatnich dni, jakby nagle wyparowało, stało się niczym więcej, jak snem w malignie, lepką grą cieni.

Odgiałem płytkę do góry, tak by sterczała na sztorc, i ponownie poświeciłem do środka.

– Halo?

Żadnej zasłony, żadnego łóżka, żadnej dziewczynki. Ale w głębi zobaczyłem drzwi, które poprzednim razem były zakryte gumową otuliną zapinaną na zamek błyskawiczny. Bez tchu pognałem do miejsca, w którym tunel się rozwidłał. Tym razem stalowe drzwi dało się otworzyć. Wypadłem przez nie, pobiegłem korytarzem i szarpnięciem otworzyłem pierwsze drzwi, które napotkałem.

Judasz w ścianie. Ale od drugiej strony. Od wewnątrz celi. Matowe światło jarzeniówki przeświecało przez odgiętą płytkę.

Podszedłem do otworu i przyłożyłem do niego oko. W głębi rozpoznałem tunel, w którym po raz pierwszy napatoczyłem się na wybrzuszenie w ścianie.

Obróciłem się wokół własnej osi. Tam, to ta nisza, zakrywana przez czerwoną gumową przesłonę. Ściany też były nią wyściełane, ale teraz guma zniknęła. Przykucnąłem, wyczułem dłońmi ziarnisty kurz i drobinki cementu. Łóżko, stolik, toaleta? Pod ścianą stała wtedy tylko prymitywna kempingowa toaleta, od razu pomyślałem sobie, że widziałem już coś takiego na polu namiotowym. Bez odpływu, bez przyłączy, łatwo ją było unieść i przetransportować.

*Przeniósł ją! Zauważył, że tu byłem, że coś widziałem, że widziałem misia!*

Piekło mnie kolano. Objąłem ramionami nogi.

– Yoki... – Wzięłem oddech. *Nie nazywała się tak, Sam, wymyśliłeś sobie to imię!*

Czarne. Tego byłem pewien. Jej włosy były czarne. I miała oczy w kształcie migdałów, jak Chinka albo Japonka. Była młoda, miała może z piętnaście lat, ale to tylko moje przypuszczenie. Krzyczała. Słyszałem to przecież! Ale co krzyczała?

„Twój tata...”

Nie, nie „twój tata”. Nie znała niemieckiego. Krzyczała: „Daddy, daddy, no!” bo powiedziałem, że przyprowadzę tatę. Wczoraj, nie, nie wczoraj, przedwczoraj! Na pewno? A może to było parę dni temu?

Strach chwycił mnie za gardło. *Ona tu była!*

*A teraz on ją stąd zabrał.*

– Wszystko zrobiłeś nie tak! – naskoczyłem na siebie, przepelniony pogardą i nienawiścią do własnej osoby. – Miała tylko ciebie, byłeś jej ostatnią szansą! Nie wysiliłeś się, to ty jesteś winien, że ją zabrał! Dokąd? Jak myślisz, co z nią zrobi? Jak myślisz, ile ją kosztuje to, że jesteś takim słabeuszem, że jesteś taki głupi i mały? Taki zły. – Musiałem przełknąć ślinę. Tak jest. To było to. Byłem zły. Nic nikomu nie powiedziałem, bo chciałem ją mieć dla siebie. – Twoja mała tajemnica, twoja dziewczynka, tylko dla ciebie. Dlatego, to dlatego nie dałeś rady z nikim o tym porozmawiać! Chciałeś ją dla *siebie!*

Nie mogłem znieść tego dłużej. Odpowiedzialność i męka długiego milczenia prawie mnie rozdzierały. Z wykrzywioną twarzą wybiegłem z celi, wspiąłem się po żelaznych szczeblach – jęknąłem, opierając się skaleczonym kolaniem o podłogę na końcu szybu – a potem pokuśtykałem w kierunku domu.

Zamierzałem znaleźć ojca w jego pracowni, ale nie musiałem iść tak daleko. Kiedy wyszedłem z za żywoplotu na rozległy trawnik, zobaczyłem go. Szedł wzdłuż budynku w stronę basenu. Nieco pochylony, całkowicie pogrążony w myślach. Nie golił się od wielu dni, ciemny zarost nadawał mu zdziczały wygląd. Miał na sobie biały T-shirt, jeansy i schodzone tenisówki, ręce trzymał wyciągnięte przed siebie, jakby chciał palcami uchwycić jakiś kształt, który mógłby udzielić mu odpowiedzi. Odpowiedzi na pytania, które nie dawały mu spokoju.

Przycupnąłem za krzakiem i patrzyłem, jak znika za węglem.

*Zabrał ją gdzieś, a teraz do niej idzie. Leżanka, regał, zasłona i to, co za nią skrywał... Uprzątnięcie celi musiało mu zająć całą noc.*

Niemal to widziałem. Wiedziałem, że ojciec jest silny. Wtedy nie miał jeszcze czterdziestki, był wysoki, wysportowany od zawsze. Kiedy graliśmy w nogę i odbierał mi piłkę, wyczuwałem mięśnie pracujące pod jego koszulką.

*Dokąd zabrał rzeczy? Schował w jednym z przedziałów w schronie? A może wyszedł drugim wyjściem i pozbył się nędznego wyposażenia pokoju Yoki?*

Wyprostowałem się i pośpieszyłem do węgla, za którym zniknął. Dobrze pamiętałem, czym się to skończyło ostatnim razem, kiedy go śledziłem, ale nie miałem wyboru. Musiałem wiedzieć, dokąd szedł. Skręciłem za róg i wpadłem na niego.

– Co robisz? ŁAZISZ ZA MNA? – Jego oczy za szklami okularów, odbijającymi niebo, pałały żarem. Na jego gołych przedramionach wystąpiły żyły.

– Tato...

– ZADAŁEM CI PYTANIE! – Słowa siekły mnie jak rozżarzone stalowe liny. Poczułem, jak spina się całe moje ciało, nieduże i chude. Moja uwaga momentalnie skupiła się na nim. Jeszcze przed chwilą w mojej głowie krążyło tysiąc różnych myśli, teraz, kiedy stał przede mną, skoncentrowany na mnie całym sobą, wszystko przestało być ważne.

– Tato, ja... widziałem cię...

Zobaczyłem, jak pobladł, jak bierze się w garść.

– Sammy, czekaj, posłuchaj mnie, uważaj... – Szukał właściwych słów. – Zaczekaj chwilę, jesteś... boli cię kolano?

Popatrzyłem odruchowo na plaster. Nie czułem już bólu.

– Nie... nie, w porządku.

– Sammy, słuchaj, w tej chwili nie jest mi łatwo. Jeszcze tego nie rozumiesz, a ja nie chciałbym cię tym obciążać. To jest związane z moją pracą, okay? – Położył ręce na moich ramionach. – Po prostu... wiesz, że tworzę... muzykę i czasem... dźwięki, to znaczy... – Jego głos pogubił się i ucichł.

Ojciec niemal nigdy nie mówił o muzyce. Nuty, partytury, dźwięki – wszystko to zawsze było dla mnie czarodziejskim królestwem, królestwem znaków, do których nie miałem dostępu.

– Wiesz – spojrzał mi prosto w oczy – muszę zapisywać dźwięki, które słyszę. Tak? Więc robię to, zapisuję, co słyszę w swojej głowie, i im to przekazuję. Tym, którzy dają mi zlecenia. Daję im partyturę, skrzypków, fortepian, światy złożone z tonów, które usłyszałem... a oni oglądają je sobie i czasami mówią: „Grossman, to jest fantastyczne, jedyne w swoim rodzaju, jak pan to zrobił?”. A czasami, choć wszystko odbyło się dokładnie tak samo, chociaż znów tylko zapisałem to, co słyszę, czasami mówią: „Ach tak? Aha. Przykro nam to mówić, Grossman, ale tym razem wprowadził nas pan w zakłopotanie. Pana dźwięki... nie śmiemy tego osądzać, to pan

musi to robić, zdajemy sobie sprawę, tylko że, Grossman, niestety, nie wiemy, co z tym począć. Kompletnie”. – W jego oczach pojawił się ból. – Wiesz, niekiedy nazywa się to muzą, rozmawiałem ze swoją muzą, prosiłem... prosiłem ją o dźwięki, Sammy, ale nic, co mi podszeptuje, im już się nie podoba. Odsyłają mnie raz po raz i mówią „nie” i „niestety”, i „przykro nam”. – Oderwał ręce od moich ramion i zdjął okulary. Zmrużył oczy, jakby nie widział mnie zbyt wyraźnie. – A ostatnio... wyobrażasz sobie? Ostatnio człowiek, któremu podsyłałem w tej chwili swoją muzykę, podarł moje nuty. Nieumyślnie, tak powiedział, ale... Rozumiesz? Rozmawiał ze mną o tym przez telefon. „Nieumyślnie, Grossman, oczywiście, że nie. Jakże bym mógł? *Pana* muzykę? Ale to się stało, kiedy chciałem włożyć nuty do koperty. Śpieszyłem się, no i się podarły. Czy to źle? Znaczy, ma pan, oczywiście, kopię, prawda? Więc mógłby pan... nie, nie, proszę mnie źle nie zrozumieć, nie potrzebujemy już pana nut, chcielibyśmy najpierw zaangażować kogoś innego... Ależ proszę pana, Grossman, to... z pewnością pan to rozumie, chodzi tylko o to, przykro nam z powodu tych nut, ale chyba ma pan kopię? Dla siebie, nie dla nas, dla siebie samego, mam na myśli”. – Założył okulary i wyprostował się. – Jak mówiłem, nie chcę cię tym obciążać, Sammy. Rozmawiałem z tym człowiekiem i teraz mam mu przysłać coś nowego. Mówię to tylko, żebyś... żebyś rozumiał... Dla mnie to nie są wakacje, ja próbuję wykonać zlecenie, a to nie zawsze jest łatwe.

Zamilkł.

– Tak, tato.

– Dlatego nie chcę, żebyś za mną chodził.

*Tak, tato, tak. Ale...*

– ZROZUMIAŁEŚ? – Słowo znów smagnęło jak biczem, przywracając mnie do rzeczywistości.

– Tak, tato. – Z oczu popłynęły mi łzy, jakby ktoś pociągnął jakąś wajchę. – Tak, tato, ja rozumiałem, ale...

– ŻADNEGO ALE! Ja i twoja matka rozmawialiśmy z tobą wczoraj. Wiem, zawsze taki byłeś, wiem, to nie jest łatwe. Nic nie jest łatwe, ani dla ciebie, ani dla mnie.

– Ale... nie chodzi o mnie, chodzi o nią...

Poleciałem – wydało mi się, że lecę – a moje ramiona zapiekły pod jego uściskiem. Nie powiedział nic więcej, tylko poderwał mnie do góry, a jego twarz znalazła się tuż przy mojej. Czułem wściekłość, którą emanował. Nie wiedziałem, jak daleko sięga, ale zdawała się rozniecać dręczącymi go myślami i odczuciami, zdawała się niemal niepomiarowa, bo ojciec całe swoje życie spędził na tym, by skupiać się na emocjach, hołubić je, zaklinać i podsycać. Potęgować je, pielęgnować i umacniać. To dzięki temu skupiał się bardziej na swoim świecie wewnętrznym niż na otoczeniu. Aż w końcu – ta myśl pojawiła się we mnie tak gorąca, że niemal skwierczała – coraz bardziej odcinał się od swego otoczenia. Coraz bardziej zamykał w sobie. Aż... *nie pozostało mu nic poza dziewczynką w piwnicy.*

– Co?

Wymamrotałem to. *Dziewczynka w piwnicy.*

– Co powiedziałaś, Sam? – Postawił mnie na ziemi z taką siłą, że ugięły się pode mną nogi.

– Nic, tato, nic... Przepraszam.

*Zabił ją. W amoku, w którym ledwie dostrzega, co się dzieje wokół niego. Zabił ją, a później całą noc harował, żeby opróżnić pokój. Zakopał ją. Moje spojrzenie pomknęło ku iglastym drzewom w rogu posesji. Tam? Zerknąłem w stronę sterty z kompostem, znajdującej się po drugiej stronie ogrodu różanego. Albo tam? Pod kompostem? Zakopał ją, a mokra ziemia zakrywała jej twarz i otwarte martwe oczy.*

Pomknąłem wzrokiem z powrotem ku jego twarzy, na której wypisana była cała męka, która nim wstrząsała. Na skronie wystąpiły mu sinawe, pulsujące żyły, jego usta wykrzywiły się i drgały. *A jeśli powiem jedno niewłaściwie słowo, będę następny.*

I wtedy to zobaczyłem. Kurczowo trzymał ją w dłoni przypominającej szpony. Motykę, która jeszcze przed chwilą leżała na ogrodowej ławce, przy której staliśmy. Motykę, którą musiał chwycić bez zastanowienia i która teraz dygotała w jego ręce. Jeden cios. Ułamek sekundy, cień, który przemknął po jego twarzy. Jedna fałszywa nuta, którą w sobie usłyszał, krótki błysk światła i stal motyki wdarłaby się w głęb mojego mózgu.

– Nic, tato... – wyszeptalem. – To nic. – Jeszcze nigdy go takiego nie widziałem. Nie panował już nad sobą. *Jakby jego surowe mięso występowało przez skórę, a każdy dotyk, każdy powiew wiatru wywoływał w nim ból.* – Nic, tato, to nic – zawołałem jeszcze raz i cofnąłem się wzdłuż ściany budynku.

Tylko jego oczy podążały za mną – rozbiegane, zwrócone bardziej do środka niż na zewnątrz. W końcu oddzielił nas węgiel domu, a ja obróciłem się gwałtownie i popędziłem do komórki z włazem. *Skobel, łupało mi w głowie. Wylamany skobel. Muszę go jakoś przykręcić! On nie może się dowiedzieć, bo gdy usnę, zatłucze motyką.*

Cóż ja wiedziałem o swoim ojcu?

Wiedziałem, że jego muzyka jest niesamowita. Tak niesamowita, że zlecali mu udźwiękowienie najgroźniejszych, najbardziej mrocznych i okrutnych filmów. I że teraz były z tym jakieś problemy. Że miał trudności ze sprzedaniem swojej muzyki. Wiedziałem, że on dla tej muzyki żył. Dla mnie? Dla Linusa? My byliśmy tylko dodatkiem. To nie o nas chodziło.

Nie chodziło mu też o mamę. Już dawno się od siebie oddalili, nie rozstali się, tylko dlatego że Linus i ja mieszkaliśmy jeszcze z nimi. Wprawdzie nikt nam tego w taki sposób nie powiedział, ale kiedy widziałem rodziców razem, wyczuwałem to. Obchodzili się ze sobą z szacunkiem, respektowali się. Ale czy się obejmowali, całowali, czy zaglądali sobie z miłością w oczy? Tego nie robili już od lat.

Mama pozostawała w mieście do rana, kiedy wymagała tego jej praca, ojciec po nocach tłuł się w swojej pracowni. Czy mama mu jeszcze ufała? Czy puszczał mi swoją muzykę? Czy o niej mówił? Nigdy!

Otaczało go coś, co przypominało czarną aurę, siedlisko tajemnicy i ciemności. Co ja o nim wiedziałem, kiedy patrzyłem na niego, siedzącego przy naszym stole? Tylko tyle, że w jego głowie działały się zupełnie inne rzeczy, podczas gdy ja i Linus rozmawialiśmy z mamą albo z Hannah.

Ale co dokładnie działo się w jego głowie – o tym nie wiedziałem nic. Dlatego kiedy stanął przede mną z motyką w ręku, rzuciłem się do ucieczki.

A potem zająłem się kłódką. W komórce na regale stała skrzynka na narzędzia z zardzewiałym śrubokrętem. To była tylko kłódka, ale wrzeciądz nadal znajdował się po spodniej stronie klapy, toteż początkowo sądziłem, że będę mógł go przymocować śrubami tylko do spodu. Aż odkryłem, że trzpienie zawiasów, na których trzymają się oba skrzydła klapy, można poluzować.

Wybiłem je uderzeniem śrubokręta, a następnie z powrotem przykręciłem do klapy wrzeciądz wraz z wiszącą na nim kłódką. Na koniec położyłem skrzydła klapy, połączone teraz zamkiem z kłódką, z powrotem na włącz i wbiłem trzpienie w zawiasy. Kompletnie mnie to wyczerpało. Resztę dnia spędziłem, drzemiąc w swoim pokoju przy zasłoniętych oknach.

Trwało to tak długo, aż wezbrało we mnie uczucie tropikalnej gorączki, bagna i trujących pnączy, mgły płożącej się po ziemi, padliny i rojów owadów. Po domu ciągnęła się muzyka, jego muzyka. Tak, słyszałem je, dźwięki i tony, które ołowiem kładły się na mym sercu.

O, teraz! Wyłowiłem uchem pojedynczy ton skrzypiec, do których przyłączył się cichy głos innego instrumentu, którego nie umiałem rozpoznać. Do tego doszły wiolonczele, to musiały być wiolonczele, lewitowały w powietrzu, jakby schodziły do lądowania. Zawtórował im niski ton, wznoszący się i opadający ruchem przypominającym ocean, gdzie fale piętrzyły się nie na metr, lecz na wysokość domu, gdzie pływak, narażony na żywioły i szczyty fal tak wysokie, że mogły szusować po nich statki, był stracony.

Usiadłem i wsłuchiwałem się w śpiew smyczków. Ojciec od paru miesięcy pracował nad tą muzyką. Mama powiedziała, że to cała seria filmów. Zapewne były to już nagrane pasaże, do których teraz musiał jakoś nawiązać. Perkusja z łoskotem wdarła się w posuwistą melodię, dała impuls, ponagliła muzykę jak wystrzał z karabinu. Przyczaiła się, wycofała i na nowo wtargnęła między dźwięki. Jak wykrzywiona gęba pojawiająca się nagle na słonecznej ulicy. Jakby otworzyły się kulisy wypuszczające na świat skryte za nimi zło.

Sekcja dęta. Zawtórowali trębacze. Dźwięki trąbek i uderzenia kotłów, i dziwne

pompowanie, narastanie i opadanie, jak kołatanie, tętent i turkot, niknące w dali, ulatniające się i powracające na nowo.

Wstałem. Kiedy ostatnio widziałem ojca przy pracy? Tutaj, w Berlinie, jeszcze ani razu. Czy do jego pracowni przypadkiem nie można było zajrzeć przez kuchenny łącznik?

Kiedy skradałem się na dół po schodach, dom przenikał bas. Głęboki, głuchy ton, przerywany ostrymi, osobliwymi dźwiękami przypominającymi pisk samochodowych hamulców albo wagoników metra na zakręcie. Wszedłem do kuchni i ostrożnie wyjrzałem zza rogu do łącznika prowadzącego do pracowni.

Ojciec najwyraźniej spuścił żaluzje, bo pokój był pogrążony w mroku. Nie był to mrok całkowity, ale było ciemniej niż w innych pomieszczeniach. Jednocześnie ożywiały go niespokojne migotania i błysnięcia. Odwróciłem się do lodówki, wyjąłem trochę kiełbasy, podszedłem do pojemnika na chleb, wyjąłem bułkę i przekroiłem ją. *Tap, tap, tap, tap.* Z pracowni dochodziło niezmordowane łupanie, tapanie i rąbanie, dopasowane rytmem do rozbłysków, które widziałem na ścianach.

Cichaczem podkradłem się do drzwi i tak długo wychylałem głowę zza framugi, aż zobaczyłem, że ojciec włączył projektor filmowy. Wiedziałem, że ma tam prawdziwy projektor, dzięki czemu, kiedy zleceńodawcy przysyłali mu kopie, mógł oglądać filmy prawie jak w kinie. Najwyraźniej właśnie go uruchomił.

Bezszelestnie zmieniłem pozycję, aż pomału, stopniowo uzyskałem pełny widok na obraz rzucany na ścianę. Ojca nie widziałem, musiał zająć miejsce na kanapie na przeciwległej ścianie, niewidocznej dla mnie pod tym kątem. Za to dobrze widziałem zmieniające się czarno-białe obrazy, twarde kontrasty, ziarniste powierzchnie, początkowo tylko cienie i światło, rozmyte kontury i kształty, potem jazda. Jazda przez miasto? Nocą? Nie, to nie było miasto nocą – te kontury, kształty i kąty to namiot, wnętrze namiotu, u którego sklepienia niespokojnie bujała się lampa; namiot, w którym nagle odsunięto na bok zawieszoną u wejścia płachtę. Ukazała się para kobiecych rąk, sięgających do wewnątrz i biorących niemowlaka z miejsca poniżej kadru. Dziecko było golusieńkie i jeszcze pomarszczone, małeńkie piąstki dociśnięte do ust, oczka jak guziki, rzadkie włosy, a nóżki i rączki podkulone, jakby były z gumy, całkiem wygięte, okrągłe. Mały człowieczek był jeszcze kulką, rozkoszną, zaciekawioną i uważną.

*To wiejska dziewczka*, przemknęło mi przez głowę, kiedy zobaczyłem, kto bierze na ręce malucha: kobieta mniej więcej w wieku mojej matki, w stroju ludowym, w staromodnej falbaniastej sukience i fartuchu. Miała podwinięte rękawy, trzymała ostrożnie małeńką istotkę, a muzyka narastała, zmieniając się w złowieszcze łopotanie. W piłowanie i wizg, w jazgot, jakby łamały się gałęzie – albo kości – jakby pękały czaszki. Dziewka jednak uśmiechała się do niemowlaka, potarła nosem jego brzuszek, a jej twarz, pod staromodnym czepcem, pojaśniała, kiedy twarzyczka malucha się rozpromieniła.

Muzyka nie przestawała młócić i krzesać iskier, zaklinała przewroty, upadki, kanty, ciosy i cięcia, aż mimowolnie zacząłem bać się o małeństwo, które tak błogo uśmiechało się w ramionach dziewczki.

*Nie, nie rób tego*, przemknęło mi przez głowę, kiedy zobaczyłem, jak dziewczka z dzieckiem na ręku podchodzi do cebrzyka. *Zostaw malucha, przecież wcale nie jest taki brudny. Wręcz przeciwnie, wygląda idealnie czysto, przecież jest mu dobrze! Wygląda tak swawolnie, radośnie, po co ten cebrzyk?*

Ona jednak przykucnęła z dzieckiem obok stojącej na ziemi wanienki i ostrożnie zanurzyła niemowlę w mydlinach. Maluch otworzył szerzej oczy i uśmiech zniknął z jego twarzyczki. W spojrzeniu błysnęło zaskoczenie. Woda. Mokra.

Nie krzyczał, nie wierzgał nóżkami, tylko przyciskał piąstki do ust. Dziewka delikatnie

przytrzymała niemowlaka jedną ręką, drugą omywając brzusek. Jej spojrzenie stapiało się ze wzrokiem malca. Radosne rozpromienienie powróciło na twarz chłopczyka, pośród strzępków muzyki o poszarpanych krawędziach dało się słyszeć gaworzenie, mały zaświergolił, odsunął piąstki od ust, odsłaniając bezzębne dziąsła.

I wtedy muzyka runęła jak lawina. Tony, dźwiękowe światy i przestrzenie posypały się na mnie, sprawiając, że ugięły się pode mną nogi. Już samo natężenie było przygniatające. Ale to, co czyniło ją tak gwałtowną, tak złowieszczą, to jej urywana, skokowa linia.

Jednocześnie zobaczyłem, jak wesołą promienną malca zaćmił niepokój, na twarzyczce pojawił się grymas bólu, który ustąpił czystemu przerażeniu. Przerażeniu, które w okamgnieniu przemieniło buzię niemowlęcia w twarz starca.

*Nie, odezwał się we mnie zdławiony głos, wyjmij dziecko, weź ręcznik! Musisz go wytrzeć do sucha, przecież zmarznie!*

Na szyi dziewczki wystąpiły ścięgna. Uniosła się na kolanach, wyprostowała ramiona i docisnęła je w dół. Ale nie po to, by wyjąć niemowlę z wody – tylko by wepchnąć je pod wodę.

Wierzganie! Nigdy nie zapomnę tego wierzgania. Rozbryzgów wody, nabrzmiałej twarzyczki dziecka, jego ust, przed chwilą pulchnych i różowych, a teraz rozwartych desperacko, by pochwycić w płuca trochę powietrza, ale za krótko, to tylko moment, a fale zaraz łączą się nad główką. Jego oczy są wielkie i zaczerwienione, łopatki dziewczki ostre jak krawędzie szkła. To tylko niemowlę, ale ona musi zebrać wszystkie siły, by wcisnąć miotające się dziecko pod wodę. By utopić je w kałuży mydlin, podczas gdy ono przyciska rączki, grube paluszki do jej rąk, wpija paznokcie w jej skórę. Utopić je, przy celebrze muzyki mego ojca, która wzbiła się w ostatecznym punkcie kulminacyjnym, a jej dźwięki dosłownie eksplodowały. Celebra śmierci, zabijania, okrucieństwa, to właśnie się tu rozgrywało – i raptownie tapnęło. Bańki mydlane na powierzchni wody zlewały się ze sobą, tworząc litą warstwę. Plecki dziecka wypłynęły na wierzch, wierzganie ustało.

Pot ściekał mi po bokach. Muzyka ucichła. *Czy on siedzi na kanapie? Wycieńczony jak dziewczka po tym, jak jego dźwięki uczciły śmierć niemowlęcia?* Na uginających się nogach wróciłem do kuchennego stołu. Sięgnąłem po talerz z bułką, ale ręce mnie nie słuchały. Nie mogłem go utrzymać; zobaczyłem, jak upada na krawędź stołu. Bułka oderwała się od porcelany, talerz uderzył o podłogowe płytki. Skorupy raz jeszcze poleciały do góry, ale nie usłyszałem ani ich uderzenia, ani brzęku.

*Byle go teraz nie spotkać*, myślałem. Słaniając się, wyszedłem z kuchni, z krzykiem niemowlęcia w uszach – krzykiem, który nie chciał ustać. Ściany wokół się pochyliły, cała klatka schodowa, gdy wbiegałem na górę, sprawiała wrażenie płataniny krawędzi i kantów zbiegających się pod dziwnymi kątami i nachodzących na siebie.

*Przecież dawniej tak nie było, tata taki nie był! Co go tak zmieniło? Czy to te filmy, do których musi komponować muzykę? Czy to one tak na niego wpływają? Bo musi udźwiękawiać takie sceny, znajdować muzykę dla takich obrazów? Ale... chyba w Londynie też? W Londynie już też tworzył muzykę do tej serii. A może nie? Ale w Londynie nie stał przede mną ze szklanym wzrokiem i motyką w ręku.*

Biegłem dalej schodami w górę, minąłem piętro, na którym były nasze pokoje, aż na poddasze, gdzie po przeprowadzce składowaliśmy pudła i kartony. Był tam również stary wózek dziecięcy, na podłodze leżały zakurzone walizki, zdemontowany stelaż łóżka...

Nie po raz pierwszy szukałem ratunku na poddaszu. Już w pierwszych dniach, które spędziłem w tym domu, kiedy jeszcze pracownicy firmy przewozowej taszczyli do środka pudła i meble, kiedy trzeba było powiesić obrazy, poustawiać szafy i zamontować lampy, kiedy rodzice rozpaczliwie próbowali zaprowadzić w tym chaosie porządek, ja uciekałem na strych.



Skuliłem się na starym materacu pod skośnym dachem, gdzie w ciągu minionych dni urządziłem sobie coś w rodzaju tajnego obozowiska. Jego częścią były pluszowy słoń, małe tranzystorowe radio i puszka z ciastkami.

*Woda, malec, przerażający wir muzyki...*

Ciężko dysząc, przetoczyłem się na wznak i skrzyżowałem ramiona pod głową. Nigdy więcej nie chciałem oglądać filmów, nad którymi pracował ojciec. Miałem wrażenie, jakby światy złożone z dźwięków, fale i ruchy muzyki wsiąkły we mnie, jakby okrucieństwo, jakim emanowały gwałtowne skoki muzyki, wciąż wibrowało w moich kościach.

Rozkołatany, wędrowałem spojrzeniem po pograżonym w półmroku poddaszu, aż zawiesiłem je na trzech oknach, które wyrzynały się z czołowej ściany budynku, dokładnie na wprost mnie. Dolne z nich miało typowy dla stylu całej willi kształt półokręgu, zaoblonego ku górze i o prostej dolnej krawędzi. Nad nim znajdowały się dwa luki, przez które w deszczowe popołudnie mogłem oglądać niebo.

*Seria filmów... czy to jest to, co nie może się odczepić od mojego ojca?*

Moje spojrzenie się rozmyło, kąty proste dwóch górnych okien zlały się ze sobą. Łuk dolnego, półokrągłego wydłużył się w dół, niczym wygięte w podkówkę usta. Moje czoło było rozpalone gorączką. Migawki wspomnień z tatą w ogrodzie, jak stał przede mną, z zamglonym wzrokiem i motyką w ręku, zmieszały się z migotaniem obrazów, które przed chwilą widziałem w jego pracowni, ze smaganiem muzyki, krzykiem dziecka. *Filmy? Nie, to nie są filmy, przecież nad nimi pracował już od dawna...*

I nagle uświadomiłem to sobie z taką jasnością, że poczułem, jakby pot zamarzał na moim czole: To ten dom go zmienia! Dom, którego rozedrgane trzy okna najeżdżały na mnie w półmroku poddasza niczym oczy i usta jakiejś prastarej istoty. Dom, w którym zamieszkaliśmy zaledwie parę tygodni temu. Nigdy wcześniej nie widziałem ojca takim, jak w ciągu ostatnich dni. To właśnie to w niego wstąpiło, to, że zamieszkaliśmy tutaj – nie w Berlinie, ale w *tym domu*, to było winne zmianom, które tak wyraźnie widziałem. Nigdy w życiu nie zamknąłby w piwnicy dziewczynki, gdyby nie dom, nigdy nie ruszyłyby na mnie z motyką, gdyby nie padł ofiarą domu, w którym mieszkaliśmy!

– Tato?

*Więc ty wcale nie ponosisz winy za to, co się stało? Czy to dom cię do tego doprowadził?*

– Co takiego, Sammy?

Siedzieliśmy na słonecznym tarasie, mama pojechała z Linusem i Hannah na zakupy do miasta. Zwinąłem się z książką w wiklinowym fotelu, ojciec – w żółtych słuchawkach, podłączonych do sprzętu audio w salonie – siedział na ławce naprzeciwko mnie. Odchylił jedną słuchawkę od ucha i popatrzył na mnie przyjaźnie. Dobiegło mnie ciche pobrzękiwanie muzyki.

Przyglądałem mu się znad brzegu książki, jak studiował duży zeszyt leżący na jego kolanach. Partytura. Wyglądał na przygnębionego, wprawdzie nie był już taki zagubiony i nieobecny jak w ogrodzie, nie miało się też wrażenia, że nie wiadomo, co mu chodzi po głowie, ale był wyraźnie przybity.

– Tato, zawsze chciałem cię o coś zapytać! – Zerwałem się z miejsca, odłożyłem książkę, podbiegłem do niego i wskoczyłem mu na kolana. Dawniej często siadałem mu na kolanach, ale w ostatnim czasie zaprzestałem tego, gdyż czułem się już na to za duży. Tego popołudnia jednak miałem uczucie, że jeszcze mogę to zrobić, być może po raz ostatni w życiu. – Kiedy komponujesz – zacząłem, opierając się o niego plecami – jak to robisz? Chodzi mi o to... – Podniosłem na niego wzrok. Zdjął słuchawki, ale wyglądał, jakby nadal myślami był przy swojej muzyce. Jakby w głowie odgrywał niezliczone melodie, próbując zadecydować, którą wybrać. – Powiedz! – Potrząsnąłem go za rękę.

– Co? – Wyglądał, jakbym wyrwał go z marzeń.

– Kiedy komponujesz, jak to robisz, tato? Szukasz właściwego ciągu tonów, prawda? Ale jaki jest ten właściwy ciąg? Po czym go poznajesz?

Uśmiechnął się.

– Od kiedy to interesujesz się moją muzyką? – Miał rację, dotychczas zawsze gdy chodziło o jego muzykę, byłem przepełniony tak nabożną czcią, że aż sztywniałem ze strachu, że coś powiem nie tak. – Nagrywałeś już coś dyktafonem? – ciągnął, nie czekając na moją odpowiedź.

– Tak, nagrywałem. – Skinąłem głową. Parę dni temu dał mi swój stary dyktafon i kasetę. Rzeczywiście dwa czy trzy razy obszedłem posesję, nagrywając szum drzew i chlupot wody w basenie. – Zbieram jeszcze dźwięki, odtworzę ci je potem, dobrze?

Nie byłem na to gotowy, nie zebrałem jeszcze – w swoim odczuciu – wystarczająco dużo dźwięków, by móc mu je zaprezentować.

– Wybierasz najładniejszy ciąg tonów, tak? – podjąłem. – Kiedy komponujesz. Czy tak?

– Najładniejszy, jeśli chcę komponować piękną muzykę, ale czasem chcę komponować muzykę przerażającą, smutną lub wesołą.

– I wtedy... – zastanowiłem się przez chwilę – ...wtedy wybierasz nuty, które są smutne, tak?

– Wybieram... – Położył partyturę na stole przed sobą. – Nie nazwałbym tego w ten sposób. Czasami mam raczej wrażenie, że to muzyka wybiera mnie. Jakby... jakby kompozycja była już gotowa i trzeba ją było tylko zapisać. Jakbym musiał jedynie usłyszeć ją tam, gdzie na mnie czeka, i sprowadzić ją, utrwalić, żeby mogli ją usłyszeć inni. To brzmi tak łatwo, a w rzeczywistości... Wiesz, niekiedy jest tak, jakbym słyszał utwór niewyraźnie. Wiem, że gdzieś tam, w tym innym świecie... że brzmi tam i że muszę go tylko zanotować. Ale nie słyszę wyraźnie, jakie to tony, słyszę szumy i syki... i wtedy... to...

Czekałem, ale przestał już mówić.

Przypomniałem sobie, co parę dni temu powiedział mi Linus:

– Oczywiście, że martwi się też o pieniądze. Tata dostaje honorarium za swoje kompozycje, ale tylko wtedy, gdy je przyjmuje. Jeśli nie chcą tego, co skomponował, nie dostaje nic. A jak myślisz, ile kosztuje miesięcznie ta willa... znaczy jej wynajem!

– Ale mama...

– Mama też zarabia – przerwał mi Linus. – Ale jej gaża nie wystarcza na wszystko.

– Moglibyśmy przecież przeprowadzić się do mniejszego domu!

– Tak. – Skinął głową. – Jasne, ale jednak potrzebujemy trochę przestrzeni, on potrzebuje miejsca do pracy.

– Ta willa i tak jest o wiele za duża!

– Myślę, że on ma nadzieję, że ten dom go... – Linus popatrzył na mnie dziwnym wzrokiem – *zainspiruje*. – Roześmialiśmy się obaj. – Ale kiedy nie słyszy właściwych dźwięków – dodał – to wprawia go to w nerwowość. A im dłużej to trwa, im mniej zapisuje, tym bardziej nerwowo się staje.

Ojciec, siedzący na wiklinowej ławce, odrobinę zapadł się w sobie. Objął mnie.

– Tato – zacząłem cicho, tuląc się do niego – tato, czy ty nie czujesz się dobrze? – Nie śmiałem podnieść na niego wzroku, przywarłem głową do jego piersi, czułem przy uchu miękką wełnę swetra i słuchałem bijącego pod nim serca.

Nie odpowiedział. Mówiłem zbyt cicho? Nie śmiałem powtórzyć pytania. I nagle zobaczyłem to przed sobą. Płynącą falami krew. Chlustała na mnie. Krew Yoki. *Zabił ją, nie przeżyła! Nie pomogłem jej, wszystko spałalem!*

Poczułem napływające do oczu łzy. Moimi ramionami wstrząsnęło drzenie, przycisnąłem prawą pięść do ust, by zdławić szloch.

– Tato, czy ty nie czujesz się dobrze? – wyszeptalem znowu. I wtedy zobaczyłem jego rękę, odgarniającą kosmyk włosów z mojej twarzy.

– Co? – Zamrugalem, zwrócony ku niemu, a on pochylił się niżej. Jego twarz nosiła ślady udręczenia, jakby troski tępy ostrzem siekiery na nowo obciosowały jej rysy. – Co się dzieje, Sammy? – Dopiero teraz zauważył, że mam łzy w oczach. – Smutno ci? – Pokiwałem głową. – Ale czemu?

– To... – *To z powodu Yoki*, usłyszałem głos w sobie. – Dom – wydusiłem w końcu. – Ten dom jest jakiś dziwny, nie sądzisz, tato? Nie wydaje ci się?

– Dom? – Uniósł brwi i troski zdawały się na sekundę zniknąć z jego twarzy. – Czemu? Co jest nie tak z domem?

– Okna...

– Okna?

– Na górze, na strychu, jest to półokrągłe okno i dwa małe. – Zarzuciłem rękę na jego plecy i przywarłem do niego. – Tato, mnie się wydaje, że dom się do mnie szczyrzy... – Słyszałem nad sobą jego oddech. – A ty, tato...

– Co ja, Sammy? – Jego głos zmiękł, a on sam mocno mnie trzymał.

– Ja... parę dni temu zajrzałem przez drzwi od strony kuchni do pracowni... i zobaczyłem fragment tego filmu, nad którym pracujesz, kiedy go wyświetlałeś na ścianie.

– Sammy. – Uniósł mnie nieco, żeby lepiej rozłożyć ciężar na nogach. – Mówiliśmy ci już tyle razy: filmy, nad którymi pracuję, nie są dla ciebie. – Milczał przez chwilę. – Co takiego widziałeś?

– Kobieta, tę w czepku, jak topi w wanience dziecko.

– Hm.

*Unika odpowiedzi, nie chce o tym mówić.*

– Boję się, tato – wyszeptalem te słowa niemal niesłyszalnie, ale wiedziałem, że je usłyszał, bo uścisk jego ramion stał się silniejszy.

– Niepotrzebnie, Sam, wiesz? Nie trzeba się bać. Niczego i nikogo.

*Nie?* Zawahałem się. Naprawdę? A dziewczynka w piwnicy? Ona też niepotrzebnie się bała? Rodzice mówili jej to samo? I co, mieli rację? Nie, nie mieli! Nie mieli racji, że niepotrzebnie się boi. Istnieją rzeczy, które mogą się przydarzyć, przerażające rzeczy, które są tak straszne, że kiedy się dzieją, sprawiają, że z piersi nieustannie wyrывa się krzyk.

– Ale... tato? – Podniosłem wzrok, a on uśmiechnął się do mnie. – Istnieją przecież złe rzeczy, chodzi mi o to, że...

– Tak... tak, tu masz może... pewnie rację. Ale nie musisz się ich bać...

– Ale dom, wiesz, jeśli dom... jeśli to jest taki dom...

– Jaki dom, Sammy?

– Taki... nawiedzony?

– Nawiedzony?!

– Tak. Jeśli to jest nawiedzony dom, a my w nim mieszkamy, to... przecież będzie coraz gorzej, im dłużej tu będziemy. Prawda? Tak przecież będzie, mam rację?

Teraz już naprawdę się uśmiechał, można było wręcz odnieść wrażenie, że był rozbawiony.

– Jeśli to byłby dom, w którym straszy, to powinniśmy jak najprędzej stąd zniknąć. Ale to nie jest taki dom. A wiesz dlaczego? – Pokręciłem głową. Odchylił się nieco. – Komponowałem kiedyś muzykę do filmu o upiornym domu. Trochę się zajmowałem tą materią. Wszystkie historie o takich domach są jednakowe. Na początku wprowadza się rodzina...

– Widzisz? Dokładnie tak jak my!

Rozciągnął usta w uśmiechu.

– Dokładnie tak jak my, zgadza się. Ale potem wszystko toczy się inaczej. Bowiem rodzina przeżywa niesamowite rzeczy, że stołu spada talerz, albo jedno z dzieci widzi w nocy snującą się po korytarzach zbroję... – *Yoki nie była duchem*, przemknęło mi przez głowę. Nie trzymała własnej głowy pod pachą. Była żywa, z krwi i kości. Dom nie był domem, po którym krążyły duchy, to był dom, który miał we władaniu mojego tatę, który go zmienił, który wsiąknął w niego jak wyziew zarazy. – ...a potem – znowu usłyszałem jego głos, ale słowa dobiegły jakby z oddali – członek rodziny, zwykle ojciec, próbuje znaleźć na wszystko rozsądne wytłumaczenie. „To, że spadł talerz, to całkiem naturalne”, mówi. „Po prostu stał za blisko krawędzi. A kiedy przechodziliśmy obok, zdrząła podłoga, przez co talerz powoli przesunął się na brzeg, aż w końcu spadł”. Tak ojciec, całkiem spokojnie, próbuje tłumaczyć rzeczy na zdrowy rozum. Ale potem zjawiska się nasilają, aż w końcu rodzina nie może się od nich opędzić, a duchy stają się coraz bardziej zuchwałe, coraz bardziej natarczywe, coraz bardziej krwiożercze; wyciągają po nich łapy z drzwi, odpływów, rur, rys i szczelin, aż zewsząd wyłażą ramiona, ręce i szpony i zaciskają się na ich szyjach. – Nienawidziłem, kiedy tak mówił, ale nie chciałem mu przerywać. – I w końcu następuje walka na śmierć i życie. Kto zwycięży, żywi czy martwi, duchy czy ludzie? I czasami, owszem, to prawda – przejechał mi dłonią po czole – czasami walka ta nie kończy się dobrze. Dom po prostu połyka rodzinę i... beka. Potem znów stoi pusty przez parę lat, aż wprowadza się następna rodzina. – Wciągnął powietrze. – Ale tu – zakrzywionym palcem uniósł mój podbródek, by zajrzeć mi w oczy – nic z tych rzeczy się nie wydarzyło, prawda? – *Nie, oczywiście, że nie, tylko...* – Dlatego naprawdę nie sędzę, żeby ta stara willa była nawiedzonym domem.

Żywi czy martwi, duchy czy ludzie.

– Ale... – zacząłem na nowo.

– Ale co? – przerwał mi. – Ale jednak jest trochę niesamowity. To chciałeś powiedzieć? – *Tak, jednak jest trochę niesamowity i...* – Może masz rację – ciągnął, zanim zdążyłem odpowiedzieć. – A wiesz, z jakiego powodu? – Pokręciłem głową. – To przez tę okolicę. Nie z winy samego domu.

– Dlaczego?

Jego oczy przybrały niemal marzycielski wyraz.

– No cóż, historia tej dzielnicy, pełnej willi z wielkimi ogrodami, pięknymi domami, to bardzo smutna historia...

– Tak?

Położył łokieć na oparciu ławki i złożył głowę na dłoni.

– Dobrze sto lat temu, pod koniec dziewiętnastego wieku, Berlin nie był jeszcze taki duży, jak teraz, miasto rozrastało się w oszałamiającym tempie. Był boom, ścigały tu tysiące ludzi. Stolica nowej Rzeszy Niemieckiej, wszyscy chcieli tu mieszkać, a na handlu ziemią dało się sporo zarobić. Paru sprytnych pośredników kupiło ziemię w tej okolicy, na dalekich zachodnich obrzeżach śródmieścia, i podzieliło ją na duże parcele. Dzielnicę nazwali Grunewald, od lasu, który znajduje się nieopodal. Zlecili stworzenie paru sztucznych jezior, które istnieją do dziś, a dzięki połączeniu kolejowemu z Poczdamem można było szybko dojechać do starego śródmieścia Berlina. Osiedliło się tu wielu milionerów i przemysłowców, ale też wydawców i pisarzy. Ludzie wspierający swoimi pieniędzmi sztukę, dumni z tego, że organizują wystawne przyjęcia. Nabyli w nowej dzielnicy wspaniałe posesje i zaangażowali najlepszych architektów, by ci wzniesli imponujące domy. Istnieją relacje z tamtych czasów, z lat dziesiątych i dwudziestych, mówiące o oszałamiających przyjęciach fetowanych w tutejszych willach. Nawet dziś widać to po tych domach, po ich schodach i tarasach, nie sądzisz? Ale wtedy – ciągnął, kiedy skinąłem głową – nadeszły czasy nazistów. Wielu właścicieli deportowano i kwitnąca dzielnica w krótkim czasie zmieniła się w dzielnicę duchów. Wille po części stały puste, ogrody dziczały, cała okolica podupadła. Po wojnie, jak wiesz, Berlin podzielono. Wokół zachodniej części miasta zbudowano mur i tętniąca życiem metropolia lat dwudziestych stała się na wpół martwym frontowym miastem. Tutaj, w Grunewaldzie, w miejscu zbombardowanych posesji zbudowano szpetne betonowe bungalowy. Duże domy częściowo podzielono, nikogo nie było stać, żeby samemu utrzymać takie budynki. Cały ten rejon... się wykrwawiał, można powiedzieć, a po wspaniałych przyjęciach pozostały tylko ulotne wspomnienia. Teraz, po upadku muru, sytuacja się poprawiła, ale właściwie... właściwie okolica nadal jest jak wymarła. Kiedy przejdiesz się tutejszymi ulicami, zauważysz to. Tu i ówdzie spotkasz jeszcze paru emerytów, którzy suną starymi mercedesami po brukowanych ulicach, paru robotników naprawiających to i owo, i to wszystko. Żadnych sklepów, żadnych przyjęć, żadnego ruchu. Cała dzielnica tańczy taniec śmierci. – Poskubał brew, zapatrzonego w ogród. – To bardzo smutna historia, ale dla mnie... mojej muzyce taki smutek czasem służy.

*Wsysa go, pomyślałem. Smutek, którymi emanują stare wille.*

– Także muzyce do filmu, nad którym teraz pracujesz?

– Hm.

– O czym w ogóle jest ten film?

Wziął głęboki wdech, głębszy niż poprzednio, jakby już sama myśl o pracy dusiła go niczym nocny koszmar.

– To historia z dawno minionych czasów. Ludzie w wiosce, w której rozgrywa się jego akcja, wierzą, że niemowlę, które widziałeś, nosi w sobie zło. Dlatego kobieta je topi. I okazuje się, że to prawda. We wsi rzeczywiście żyje coś złego, co zagraża jej mieszkańcom. Kiedy

człowiek ogląda, jak ona topi dziecko, w pierwszej chwili myśli, co za potwór z tej kobiety. Ale kiedy ogląda dalej, zaczyna rozumieć, że to nie kobieta jest potworem, tylko dziecko. Że zagrożeniem nie jest ta, która je topi, tylko ono. Że to kobieta słusznie musi się przed nim bronić.

...*słusznie musi się przed nim bronić*. Słuchałem, jak wybrzmiewają jego słowa.

– Ty – odchrząknąłem, bo ledwie wychrypiałem to „ty” – ty nigdy byś nam nic nie zrobił, prawda, tato? Mnie i Linusowi. Choćby nie wiem co się stało, prawda?

Zobaczyłem, jak przełyka ślinę.

– Martwisz się, że... że mógłbym ci coś zrobić?

Sięgnąłem po jego rękę, która była co najmniej dwa razy większa od mojej, ale nie patrzyłem mu w oczy.

– Ostatnio... miałeś w ręku motykę.

– Ale przecież tylko dlatego że zauważyłem ją na ławce, Sammy! Zostawiliśmy ją tam.

Narzędzia zostawione na powietrzu rdzewieją.

*Tak, oczywiście*. Położyłem jego dłoń na swoim ramieniu i zwinąłem się w kulkę w jego objęciach. Nic by nam nie zrobił, nagle poczułem całkowitą pewność, że tak właśnie jest. Niepotrzebnie się zamartwiałem. A Yoki... kiedy o niej myślałem, sam już nie byłem pewien, czy naprawdę ją widziałem, czy może tylko o niej śniłem.

Tej nocy nie spałem dobrze.

Wieczorem ojciec pokazał mi jeszcze pożyczony od właściciela domu album, wypełniony dużymi zdjęciami z czasów świetności willi. Nabożnie przewracałem sztywne, pożółkłe stronicę i studiowałem stare fotografie. Elegancki mercedes z wygiętymi błotnikami stojący na żwirowym podjeździe, za kierownicą roześmiana kobieta w okrągłym kapeluszu. Obok samochodu, z ręką na drzwiach od strony pasażera, również uśmiechający się do obiektywu mężczyzna, z zaczesanymi do tyłu, wypomadowanymi włosami, z nogawkami spodni podwiązany poniżej kolan. Na kolejnych stronach były zdjęcia z letniego przyjęcia, które wydano w willi dziesiątki lat temu. Kobiety w długich, przylegających do ciała, białych sukniach, z perłami we włosach. Mężczyźni, którzy w swych idealnie skrojonych garniturach przypominali pingwiny. Goście trzymali kanciaste kieliszki koktajlowe lub spoczywali na wiklinowych fotelach, które do dziś stały na słonecznym tarasie, tyle że wtedy jeszcze nie łuszczyła się z nich farba, a plecionka nie była na połę postrzępiona.

– Pan Bastian odwiedzi nas jutro – powiedział ojciec, kiedy oglądaliśmy album. – Właściciel willi, wiesz? Przyjdzie po album i żeby wyjaśnić mi jeszcze raz, jak działa pompa cyrkulacyjna w basenie. Jeśli chcesz, możesz się z nim przywitać, może opowie ci jeszcze trochę o domu.

*Jeszcze trochę o domu...*

Był środek nocy, kiedy coś wyrwało mnie ze snu. Leżałem w ciemności i patrzyłem na migocący odblask sadzawki na suficie. Co mnie zbudziło? Nie wiedziałem. Parę minut wierciłem się w łóżku z nadzieją, że zaraz zasnę. Ale w mojej głowie krążyło coś, co do tego nie dopuszczało.

W końcu niecierpliwie odrzuciłem kołdrę, wstałem i przyniosłem sobie z łazienki szklanek wody. Wypiłem łyk i wśliznąłem się z powrotem do łóżka.

*Jeszcze trochę o domu...*

Było gorąco, tak bardzo, że moje plecy pokrywała cieniutka warstewka potu. Przed pójściem spać otworzyłem okna na oścież, ale powietrze z zewnątrz też nie przyniosło ochłody.

I nagle zorientowałem się, że stoję na trawniku. Musiałem chyba zasnąć. Czułem, że śpię, ale pod moimi stopami było wilgotno, w podeszwy łaskotała mnie trawa, a ja spoglądałem do góry – na balkon znajdujący się przy moim pokoju. Widziałem czarne szyby i wiedziałem, że leżę za nimi, w swoim łóżku, z zamkniętymi oczami, z rozkopaną kołdrą. A mimo to jednocześnie stałem tu, na trawniku.

Była noc, ogrodu nie oświetlał księżyc, przez żywopłot przeświecała tylko poświata dwóch ulicznych latarni, które stały przy naszej posesji. Widziałem zarysy ciemnoszarych chmur, pędzących nade mną po czarnych niebie, słyszałem szum drzew i czułem otaczającą mnie mroczną duchotę.

Jak się tu znalazłem? Góra od piżamy wydała mi się nagle o wiele zbyt luźna, łopotała na ciepłym wietrze, który się zerwał.

Mój wzrok przyciągnęło światło w salonie. Zobaczyłem stojącą za oknem kobietę. Patrzyła w moją stronę. Miała dość krótką fryzurę, a jej włosy układały się w miękką falę nad uszami i na czole. Była ubrana w jedną z tych przylegających do ciała sukienek w stylu charleston, które widziałem w albumie z fotografiami, a na przegubach jej dłoni błyszczały bransoletki. Dopiero teraz, w blasku światła, które wlewało się do ogrodu, dostrzegłem walające się w trawie butelki i szkło, małe stoliki, z których częściowo pozsuwały się obrusy, popielniczki

pełne niedopałków, talerze z resztkami jedzenia.

– Ja... właśnie chciałem zanieść to do kuchni – wyjąkałem, patrząc na kobietę, która wyszła przez przeszklone drzwi i zeszła po schodkach do mnie. – Tylko trochę patrzyłem na chmury. Ale teraz przypomniałem sobie, co miałem zrobić, miałem zanieść kieliszki i puste butelki do kuchni.

Nie mogłem oderwać od niej wzroku. Czułem zimny, niewytłumaczalny lęk, który we mnie budziła.

– Widziałeś moją córkę? – zapytała zdecydowanym, prawie niegrzecznym tonem, zbliżając się do mnie. – Kim ty w ogóle jesteś?

– Sam... Sammy, ja... ja tu mieszkam.

Popatrzyła na mnie, jakbym powiedział coś nieprzyzwoitego.

– Od kiedy?

– O trzech tygodni... albo czterech, dokładnie nie wiem.

– Czy widziałeś moją córkę, Sammy? Chciała... powiedziała, że coś jej wpadło do sadzawki i chciała to wyłowić.

*Przy sadzawce... jej córka...*

Usiłowałem przypomnieć sobie, czy w ogóle kiedyś widziałem jej córkę. O kogo mogło jej chodzić?

– Nie widzisz, że wszyscy już poszli? Nie możesz tu zostać, Sammy.

– Chciałem tylko szybko posprzątać szklanki i talerze, a potem iść, pani... pani... – Jak ona się nazywała? Nawet nie znałem jej nazwiska.

– Zostaw to szkło, Sammy, i tak jest już za późno. Idź już lepiej. Albo nie... – urwała. – Mógłbyś sprawdzić koło sadzawki, czy jest tam moja córka?

Jej oczy były ciemne, a kiedy zajrzałem w nie głęboko, by przekonać się, czy mówi poważnie, zauważyłem, że nie było w nich źrenic, a całe tęczówki wypełniała bezdenne czerń, nawet białko jej oczu było czarne, wpatrywały się we mnie dwie czarne dziury, a nie oczy. W tym momencie oświeciło mnie, skąd ją znam.

– Pani dziecko... to niemowlę to było pani dziecko, prawda? – Mój głos zaczął drżeć. – Ja... widziałem.

– Co widziałeś, Sammy?

– Widziałem, jak pani utopiła niemowlę w cebrzyku. Ale ja nie wierzę, że to dziecko było potworem, pani... pani... – *Myszę, że to pani nim była.*

– Widziałeś mnie?

– Tak...

– Ale mojej córki nie widziałeś? Chciała wyciągnąć z sadzawki coś, co jej tam wpadło.

Odruchowo przeniosłem wzrok na czarną taflę sadzawki między mną a domem. Po jednej stronie brzeg był umocniony kamiennym klombem, po drugiej jednak opadał łagodnie ku powierzchni wody. Czerwone smugi błyskały spod lustra wody, *złote rybki, to muszą być złote rybki*, a lilia wodna zarastała ciemnozielonymi liśćmi pół stawu.

– Chcesz, żebym cię utopiła w sadzawce?

Wystraszyłem się tak bardzo, że wciągnąłem ostro powietrze przez usta, wprawiając w wibracje wargi. *Nie... nie chcę.*

Kobieta przywarła do mnie czarnym wzrokiem i podeszła jeszcze o krok bliżej.

– Chcesz, żebym wepchnęła cię pod wodę, żeby twoje płuca wypełniły się szlamem? Żeby w twoich ustach kłębiły się złote rybki? *Nie?* To postaraj się znaleźć moją córkę, Sammy! Chciała poszukać czegoś w stawie, może ty będziesz mógł to dla niej wydobyć.

– Ja... ja chcę wrócić do swojego pokoju, pani... – *Ale nie mogę iść do pokoju, nie*



*powinienem tu być.* – Kim pani jest? – wyrzuciłem z siebie.

– Jestem właścicielką tego domu, Sammy, i nie zapraszałam cię tutaj.

*Nie, nie zapraszała mnie pani.*

I nagle stanąłem na brzegu płytkiego bajorka, palcami gołych stóp dotykając wody. Oczywiście miałem skierowane na taflę, pod którą widziałem prześlizgujące się złote ryby. Woda była cieplejsza, niż myślałem, niemal oleista w dotyku. W nozdrza uderzył mnie zapach gnijących warzyw, fermentacji i rozkładu. Pośród cieni ryb jednak, pomiędzy brązowymi ziarnami pływającymi w szlamowatej wodzie, dobre dwa metry od siebie, dokładnie w centrum sadzawki, zobaczyłem coś połyskującego blado. Jakiś mdły poblask, przebłyskujący od czasu do czasu spod lilii wodnej, kiedy jej liście obracały się powoli.

Ropuchy, płazy, żabi skrzek. Miałem wrażenie, że cały brzeg sadzawki poruszał się powoli, kotłował, przesuwiał, kiedy ostrożnie brnąłem do przodu, po łagodnie opadającym brzegu, uważając, by nie wdepnąć w coś, co mogło zakopać się w przybrzeżnym mule.

*Wystarczy, że trochę przykucnę, a jakoś dosięgnę tego białego czegoś, co tam błyszczy.*

Woda sięgała mi już do kolan, a ja nie zbliżyłem się nawet do środka sadzawki. Czuję, jak dziwnie nabrzmiałe cielska ryb muskają mnie, przepływając obok, widziałem na powierzchni pająkowate nartniki, które nie umykały przede mną, lecz pędziły na mnie i mnie dotykały. Jeden zaczął nawet wspinać się po mnie, aż musiałem go strącić gwałtownym ruchem. Między palce moich stóp wdzierał się szlam, czułem, jak otula moje nogi i jak głębiej, na dnie, przepływają chłodniejsze prądy.

Woda sięgała mi do piersi. Smród był nie do zniesienia, jakby całe bajoro kiśniało, jakby sadzawka już trawiła coś dużego, wciąż żywego, co musiała uśmiercić swymi sokami. Jakby cała sadzawka zaczęła trawić *mnie*, kiedy brnąłem ku centrum stawu, nie odrywając wzroku od białawej poświaty, którą widziałem teraz na ukos ode mnie. Tam, w dole, pod liliami wodnymi, rozpoznawałem biały ciek, coś unosiło się tam leniwie, ale powierzchnia wody była pełna żabiego skrzeku oraz pływających po niej i ślizgających się owadów, zbyt niespokojna, bym mógł naprawdę uchwycić ruch. *Jeszcze chwilkę, zaraz, przecież nie jest tak głęboko.* Wmawiałem sobie, że nie zamknę oczu, że tylko przykucnę na moment, przyklękę, wyciągnę rękę po biały welon i wydobędę go na powierzchnię.

W tym momencie jednak się odwróciłem, wyciągnąłem ramiona przed siebie i głową dałem nura w toń. Jednym mocnym pociągnięciem rozgarnąłem wodę i wśliznąłem się w ciepłą wilgoć, ku welonowi, przez ławicę złotych rybek, które wypłynęły mi naprzeciw, jakby chciały mnie powstrzymać przed zanurkowaniem tam. Odepchnąłem łuskowate ciała na bok, tuż przed sobą miałem ich zimne, prawie martwe oczy. Czuję, jak oślizgłe badyle lilii wodnej owijają się o moje ręce, jak piżama, przesiąknięta na wylot wodą, ciężko zwisa na mym ciele. Ale byłem bliżej welonu, widziałem go pośród chwytnych pędów lilii wodnej, widziałem płynny ruch białej tkaniny. Bo to była tkanina, która zaplątała się na dole w korzenie wodnej rośliny, tkanina, która jednak nie była pusta czy luźna, tkanina, która była... wypełniona.

Ciałem.

Popłynęła w moją stronę. Białawo-fioletowa, aż nie ośmielałem się jej dotknąć. Dłoń, wyglądająca spod tkaniny jak z rękawa. Nagle miałem pewność. Córka, to była córka kobiety z fryzurą na pazia. Dotykała mnie ciepła płynność tkaniny, musiałem odsunąć ją z twarzy, bo zaczęła się owijać wokół mnie.

*Uważaj, Sammy, uważaj tylko, żebyś się nie zaplątał w ten materiał, bo nie wydostaniesz się z wody!*

Musiałem jednak zajrzeć jej w twarz, musiałem zobaczyć oblicze córki. Miałem jeszcze w płucach trochę powietrza. Jedną ręką odpychałem więc śmierdzącą, oleistą wodę, by nie

wypłynąć na powierzchnię, a drugą pociągnąłem gładki, przesiąknięty materiał, przez który zaczęły przebijać oczodoły, nos, uszy i usta.

Buchnęły tumanem, pękającym niczym nieskończenie powolna eksplozja: jej włosy, niezliczone, długie włosy, wydobywające się spod tkaniny i kładące na moich dłoniach, oplatające ramiona, wpychające się do twarzy i ust. Czarne włosy – i wtedy się domyśliłem, czyje ciało unosi się w wodzie. To była Yoki, dziewczynka, którą widziałem w podziemnej celi.

*Zacząłem krzyczeć.*

Siedziałem na łóżku i krzyczałem, ale woda... nie, to był tylko pot.

*To tylko pot.*

Byłem kompletnie mokry. Trzymałem kurczowo kołdrę, podciągniętą pod same usta. Krzyk, który z siebie wydałem, zdawał się jeszcze wisieć w powietrzu.

– Sammy? Wszystko w porządku? – Głos mamy.

Dygotałem.

*To tylko sen. To jest... to był tylko sen.*

Świeciło słońce, parkiet koło dywanu błyszczał złotem, a ja widziałem jasnozielone wierzchołki drzew za oknem.

– Tak, mam, wszystko dobrze – wymamrotałem. *To był tylko sen.*

– Zejdiesz na dół? Przyszedł właśnie pan Bastian. Chciałeś chyba towarzyszyć tacie, kiedy będzie pokazywał mu urządzenia przy basenie.

*Tak, racja.* Spróbowałem odrzucić kołdrę, ale zaplątała się w moje nogi.

*Tylko sen.*

Gwałtownie zdarłem ją z siebie, a w mojej głowie rozległ się dźwięk przypominający pęknięcie surowego jajka.

Była cała w szlamie!

Kołdra. Była cała w szlamie. Błoto zaschło już trochę, ale miejscami wciąż było czarne od wilgoci.

– Aaaaaa!

– Sammy! – Tym razem usłyszałem, jak wchodzi po schodach. – Sammy, co się dzieje?

– Mama! To... TO PRZECIEŻ BYŁ TYLKO SEN!

Zobaczyłem ją w drzwiach. Serce łomotało mi tak mocno, że widziałem przez skórę pulsujące żyły.

– To tylko sen, mam, ja nie chcę do sadzawki, tam jest tak bagnoście, tamta woda żyje!

Oczy mamy rozwarły się w przerażeniu.

– Sammy, na litość boską! – Jednym krokiem dopadła do łóżka i chwyciła mnie mocno. Ale łomot mego serca nie ustawał. – Uspokój się, Sammy, jesteś cały roztrzęsiony!

Ponad jej ramieniem widziałem swoje stopy. Pobrudziły białe prześcieradło. Mulista ziemia z dna stawu przywarła do tkaniny.

Kurczowo trzymałem się mamy.

– Mam, dziś w nocy byłem w sadzawce – wyrzucałem z siebie zniekształcone słowa – dziś, zobacz, moje nogi! – Nie wypuszczając mnie z objęć, mama odsunęła się trochę i obróciła ku moim nogom. – Szlam, przyniosłem szlam do łóżka! – Przez chwilę miałem przed oczami tylko tył jej głowy. – Mam?

Powoli odwróciła się z powrotem, a ja odniosłem wrażenie, że jest okropnie zmęczona.

– To... Sammy, to przecież nic takiego. – *Ale mogłem utonąć*, przemknęło mi przez głowę i przez jeden straszliwy moment pomyślałem, że nie mogę oddychać. *Ja utonąłem, prawdopodobnie już utonąłem.* – Sammy, miałeś tylko zły sen. – Usłyszałem głos mamy, ale nie nadałem za sensem jej słów. – To nic takiego, po prostu przyśniło ci się coś złego.

– Ale popatrz na moje stopy! – Podciągnąłem je, by jej pokazać, że są całe w zaschniętym błocie, i w tym momencie poczułem w rękach i nogach ciarki, jakbym włożył je w mrowisko. Moje stopy były całkowicie czyste. – Mamo, mamo... – szlochałem. – Przecież wyraźnie widziałem! Były całe w szlamie... moje stopy... bo byłem w sadzawce.

Poczułem na plecach ciepłą dłoń mamy. Z moich oczu płynęły łzy. *Moje stopy, przecież wyraźnie czułem, jakie są zimne i lepkie od błota.*

*A twarz w stawie, mamo, oczy i usta, kiedy w końcu odsunąłem z niej materiał – to były oczy i usta Yoki.*

W kościach wciąż jeszcze czułem lekkie wibracje, ale na dworze było już tak jasno i gorąco, że miałem wrażenie, jakby sen wyparował z mej głowy jak płytka kałuża w słońcu.

Stałem na tarasie przylegającym do salonu i spoglądałem w dół na ogród. Ojca i pana Bastiana jednak nie widziałem.

– Są już w pompowni przy basenie. – Usłyszałem wołanie mamy z wnętrza domu.

Kiedy spojrzałem w tamtym kierunku, zobaczyłem, że drzwi do małego domku, który ustawiono na końcu basenu, rzeczywiście stały otworem.

– Sammy, mój najmłodszy syn. – Tata odwrócił się do mnie, kiedy wszedłem do pompowni.

Obok niego stał okrągły mężczyzna o rzadkich włosach. Trzymał w ręku brudną szmatę, zajęty objaśnianiem tacie zasad działania aparatury. Zrobiłem krok w jego stronę i wyciągnąłem do niego rękę. Kiedy odwrócił do mnie głowę i przeniósł na mnie wzrok, wydało mi się, że odruchowo drgnął. Uścisnęliśmy sobie dłonie, poruszył ustami, ale nie odezwał się.

Skonsternowany, cofnąłem rękę i popatrzyłem na tatę. On też zauważył zmieszanie mężczyzny.

– O co chodzi, panie Bastianie? Mój chłopak już coś zmalował?

– Nie! Nie, ależ skąd! – Właściciel domu przejechał dłonią po ustach i odwrócił się.

– Wyglądał pan, jakby coś się panu nagle przypomniało – naciskał ojciec.

– Nie! – Pan Bastian obcesowo machnął ręką. – Powiedziałem przecież, że to nic. Nie chciałem być niegrzeczny, panie Grossman – dodał – ale zaraz mam inne spotkanie. Może więc raz dwa objaśnię panu, jak to działa.

– Co to właściwie jest? – Wprawdzie zaskoczyła mnie reakcja właściciela domu, lecz ciekawość przeważała. Pokazałem na budę dla psa, którą odkryłem w pompowni parę dni temu. Trochę oblaźł z niej kolor, ale kiedyś musiała być pociągnięta farbą o ładnym niebieskim odcieniu, z namalowanymi czerwonymi dachówkami. Moją uwagę przykuło jednak wejście do budy, a właściwie to, co widniało na tabliczce nad nim. Był na niej napis „Nemo”.

*Nemo.*

Tylko cztery litery, a jednak w dziwny sposób mnie poruszyły. Mimowolnie pomyślałem o czarnym dogu, którego spotkałem kilka dni temu w tunelu.

– Czy mieszkał tu kiedyś jakiś pies? – Uważnie popatrzyłem na pana Bastiana.

– Tak, właśnie. – Usłyszałem głos stojącego za mną ojca. – Wspominał pan chyba ostatnio, że miał tu miejsce jakiś incydent z psem.

Nie patrząc na nas, mężczyzna wytarł ręce w brudną szmatę, złożył ją i ułożył starannie na jednej z rur ciągnących się wzdłuż ścian pompowni.

– Nemo, tak, zgadza się. W okolicy wiele osób trzyma psy. Zwierzaki mogą się wybiegać w dużych ogrodach, dla psów to oczywiście wspaniała rzecz.

– Co się stało z Nemo? To był pana pies?

Dog zjawił się tak nieoczekiwanie, był taki wielki... i czarny, że wzbudził we mnie strach, ale tak w ogóle to lubiłem psy. A jego buda, buda Nemo... z samych jej rozmiarów można się było domyślić, że musiał być ogromny.

– O, proszę, tato! Może my też kupimy sobie psa? – Wiedziałem, że tata w dzieciństwie miał psa, więc nauczyłby mnie wszystkiego, a ja mógłbym bawić się z nim w ogrodzie przez cały dzień.

– ...to raczej niezbyt dobry pomysł. – Usłyszałem głos pana Bastiana, który razem z tatą

wyszedł z pompowni.

– Czemu? – Wybiegłem za nimi.

Mężczyzna odwrócił się ku mnie, a kiedy się odezwał, jego słowa były dziwnie rozciągnięte i urywane:

– Naprawdę chcesz wiedzieć, chłopcze?

– No pewnie, że tak! Prawda, tato? – Przekręciłem głowę i spojrzałem w górę na tatę. – Oczywiście tylko jeśli ty też chcesz, tato, ale ja naprawdę tak bardzo chciałbym mieć psa.

– Chodźcie za mną, to tu, niedaleko – powiedział pan Bastian. – Zaraz obok basenu, pod sosnami.

Poprowadził nas krótkim chodnikiem wzdłuż błękitnego basenu ku grupce wyrosniętych sosen. Ziemia pośród pni była miękka i brązowa, igły utworzyły gruby dywan, nie rosła tu trawa.

– Wypatrzyłeś już tę kamienną płytę?

Pan Bastian zatrzymał się na końcu dróżki. Podczas gdy kamienie, którymi była wyłożona, miały najróżniejsze kształty, płyta, wpuszczona w ziemię na końcu ścieżki, była zwyczajnym prostokątem. Mężczyzna przykucnął i przetarł ręką szary kamień.

– Nemo.

Znowu te cztery litery. Wyłoniły się spod zmiecionych igieł. Cztery litery i daty: „19731977”.

Podszedłem do pana Bastiana i popatrzyłem na kamienną płytę.

– Tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty siódmy to był rok, w którym kupiłem willę. – Popatrzył na mnie, a potem na stojącego obok mnie ojca. – Za naprawdę niezłą cenę, jak na tamte czasy.

– Ach, ile pan dał? – zapytał ojciec, ale mężczyzna zbył go gestem.

– Wyda się to panu śmieszne, ale wtedy, w latach siedemdziesiątych, domy w Berlinie wcale nie były drogie. – Przeniósł wzrok z powrotem na płytę. – Ale to nie dlatego właściciel chciał się go pozbyć i był gotów zaakceptować niemal każdą cenę.

Przykucnąłem obok niego nad płytą i przejechałem palcem po literach.

N-E-M-O.

– Człowiek ów otrzymał dom w spadku po jakimś dalekim krewnym i sprowadził się tu wraz z rodziną – z boku dochodził głos pana Bastiana. – To było całkiem niedługo przed tym, jak sprzedał ten dom mnie. Miał czworo dzieci, poznałem tę rodzinę, naprawdę uroczy ludzie.

Czworo dzieci i... – popatrzył na mnie w górę i tym razem zatrzymał wzrok na dłużej – ...pies.

Nemo. Wilczarz irlandzki. – Popatrzyłem mu w oczy. Wilczarz irlandzki. Wspaniały!

Wiedziałem, że wilczarze są olbrzymimi psami, może nawet większymi od dogów. Nic dziwnego, że buda musiała być taka duża. – Dostali go, jak był szczeniakiem, należał do rodziny od lat – ciągnął pan Bastian, spoglądając teraz na mojego ojca. – Fantastyczny pies, najlepszy przyjaciel dzieci, ogromne zwierzę, to prawda, ale między innymi dlatego postanowili się tu wprowadzić, żeby Nemo miał gdzie biegać. Dzieci, trzy córki i Philipp, najmłodszy syn, naprawdę kochały to zwierzę i bawiły się z nim od małego.

– Super! – Wstałem, zadarłem głowę i oparłem się o nogi taty.

– Ale parę miesięcy po przeprowadzce... Początkowo wydało im się dziwne tylko warczenie, warczenie Nemo, czego zupełnie nie znali, a potem... Kiedy przechodzili obok poduszki, na której spał, zaczynał się trząść, trzęsła się jego mord... a kiedy pochylali się nad nim, widzieli, jak pod powiekami poruszają się gałki oczne.

– Gałki oczne psa.

– Tak... tak, właśnie. Aż... – Pan Bastian zakasłał i wstał znad płyty, nad którą przykucnął.

– Co? – Nie zrozumiałem, co powiedział. Zerknąłem na ojca. Ten pobałdł nagle, a jego twarz wykrzywiła się osobliwie.

– Co? Co takiego, tato?! – Chwyliłem go za rękę i zacząłem szarpać, ale ojciec patrzył na pana Bastiana.

– Rozszarpał – usłyszałem ponownie głos mężczyzny – on rozszarpał małego Philippa... Chłopiec miał zaledwie sześć lat, był niewiele większy od Nemo. Chwilę przedtem kąpał się w basenie i miał na sobie same kąpielówki. Pies rozszarpał malca na kawałki. – Zachwiałem się i przytrzymałem ręki taty. – Matka Philippa... kiedy rozmawiałem z nią, minęło już parę miesięcy, ale... widziała wszystko z salonu. Pierwsze, co zobaczyła, to kosmate futro psa. Początkowo myślała, że dorwał kota sąsiadów. Wyszła z domu i zawołała go, ale pies jej nie słuchał. Pobiegła przez trawnik i nagle uświadomiła sobie, na czym pies opiera przednie łapy. To była naga pierś jej syna. – Dłonie taty musnęły moją szyję i spoczęły na piersi. Przyciskał mnie do swych nóg, zasłaniając rękoma. Patrzyłem na stojącego przede mną pana Bastiana i widziałem, że to, o czym nam opowiadał, nie dawało mu spokoju. – Kobieta rzuciła się w stronę psa. W tamtym momencie Philipp miał na tułowiu tylko parę zadrapań. Nemo jeszcze nigdy nikogo nie zaatakował, ale teraz stał łapami na piersi chłopca. Było widać, że powalił go na ziemię. Matka widziała po oczach syna, że jest w szoku. Zbliżyła się do zwierzęcia, w głowie musiała mieć gonitwę myśli. Znała tego psa, zawsze miała psy, ale nigdy nie przydarzyło się jej coś takiego. Wiedziała, czym to grozi, widziała przecież, że Philipp ma na sobie tylko spodniki kąpielowe, że jego ciało jest kompletnie bezbronne wobec kłów zwierzęcia. Ale coś jeszcze wzbudzało w niej strach. To były ślepie zwierza. Ten wzrok! – Pan Bastian z namysłem przetarł dłonią łysinę, na której błyszczały kropelki potu. – Mówiła potem, że to nie były normalne ślepie. Pies zazwyczaj odwraca wzrok, kiedy się na niego patrzy, ale Nemo nie tylko wytrzymał jej spojrzenie, on wpatrywał się w nią wyzywająco. Jakby wiedział, co robi, jakby wiedział, że jest matką Philippa i być może właśnie przeżywa najgorsze, co może przeżywać matka. Jakby wiedział to wszystko i to akceptował. „Zostaw mojego synka, Nemo, zostaw mi go” ... Tylko szeptała, nie chodziło o to, by wydać psu rozkaz, chodziło o to, by go poprosić. Poprosić, żeby oszczędził tę bezbronną istotę, którą trzymał pod łapami. Ale nie zrobił tego. – Pan Bastian spojrział zaczerwienionymi oczami na tatę, na mnie wyraźnie nie ośmielał się już patrzeć. – Nie oszczędził go, rozumie pan? Rozwarł paszczę i ugryzł chłopca w bok. W nagie, bezbronne ciało. Wtedy kobieta rzuciła się na zwierzę, zatopiła ręce w jego sierści, próbowała z całych sił odciągnąć psa od chłopca, ale nie dała mu rady. Wyczuwała napięte mięśnie pod sierścią psa, słyszała jego mlaskanie, czuła smród z jego pyska. I widziała twarz swego syna, z rozwartymi szeroko oczami, źrenicami wywróconymi pod górne powieki. – Mężczyzna zamilkł. Odwróciłem się i schowałem twarz w nogi taty, czułem jego dłoń na swej głowie. – W końcu musiała zrozumieć, że nie poradzi sobie z bestią. Była sama, inne dzieci poszły do szkoły, mąż do pracy. Wołała, krzyczała, ale... Było lato, tak jak teraz, sąsiedzi wyjechali, nikt nie przyszedł jej z pomocą. – Wziął wdech. – Podźwignęła się na nogi i pobiegła po łopatę. Jednym ciosem rozplatała zwierzęciu grzbiet. Ale było za późno. Mały...

– Niechże pan już przestanie – przerwał mu ojciec, a jego ręka docisnęła mnie mocniej do nóg. – Mój syn już dość się nasłuchał.

Odwróciłem się i rzuciłem okiem na pana Bastiana. Podniósł rękę i przyłożył ją do czoła.

– Tak, ma pan rację. – Pomilczał i podjął po chwili: – Wie pan, rozmawiałem o tym też z ojcem Philippa, pytałem go, dlaczego pogrzebali psa akurat tu, na posesji.

Popatrzyłem na kamienną płytę.

– Powiedział mi coś, czego nigdy nie zapomniałem. – Pan Bastian chrząknął, jakby musiał uwolnić od czegoś gardło. – Wie pan, co odpowiedział?

Czekałem, ale ojciec milczał.

– Powiedział – znów usłyszałem głos pana Bastiana – że zawsze miał uczucie, że Nemo w jakiś sposób należy do tego domu. Przez wszystkie te lata, mówił, Nemo był zupełnie normalnym psem. Aż do dnia, kiedy się tu wprowadzili. Dopiero wtedy zaczął się zmieniać. Dopiero wtedy stał się prawdziwą bestią. Jakby po przeprowadzce w to biedne stworzenie wstąpiło coś, co z miłego zwierzęcia uczyniło prawdziwego diabła.

Odkąd dowiedziałem się, co się kryło pod płytą pod sosnami, szary kamień przyciągał mnie niemal w magiczny sposób. Oczywiście myślałem o dogu, którego widziałem. Od jakiegoś czasu po drugiej stronie muru okalającego tyły naszej posesji słyszałem szczekanie psa i głosy dzieci i byłem pewien, że dog, którego widziałem, należał do domu po tamtej stronie ogrodzenia. Ale chociaż Nemo był martwy od paru dziesiątków lat, podczas gdy dog żył, to do Nemo ciągle wracałem myślami. Wyobrażałem sobie nawet jego szczątki pod nagrobną płytą. Nie żebym znajdował przyjemność w delektowaniu się wszystkimi szczegółami, skołtunioną sierścią, zgasłymi ślepiami – nie, widok ten dosłownie wpełził do mej głowy. Nocami leżałem w łóżku ze wzrokiem utkwionym w suficie, a obrazy dopadały mnie ze wszystkich stron. Łapy zwierzęcia, pysk z uniesionymi fąflami, martwe ciało zasypane ziemią. Wzięli jakąś trumnę, owinęli zwierzę tkaniną? Pewnie nie. Ale kupili nagrobną płytę. I nie był to zwykły beton, ale prawdziwy kamień, granit albo marmur. I kazali wyryć w nim daty: 19731977.

Ale ja nie tylko widziałem martwego Nemo – jego wysuszone truchło, widziałem go żywego, kiedy był jeszcze przyjacielem rodziny. Widziałem go, jak stał obok Philippa, przewyższając wzrostem małego chłopca, jak dokazywał z nim w ogrodzie, po którym się wałęsałem, jak szczekał i patrzył na nich – i jak patrzył na malca tamtego popołudnia, kiedy Philipp wyszedł z basenu, chucherko w mokrych kąpielówkach, ze skórą pokrytą kroplami wody.

Nagrobek emanował działającą na mnie magiczną siłą, gdyż leżał pod nim pies, a ja nie mogłem przestać myśleć, co ten pies mógł mieć wspólnego ze wszystkim tym, co w starym domu było niesamowitego i złowieszczego. Odnosiłem wręcz wrażenie, jakby pod płytą mieszkało coś, co w jakiś sposób ożywia willę. Jednocześnie czułem, że nie do końca otrząsnąłem się z koszmaru, a moje czoło jest trochę gorące.

Nie mogłem tego dłużej wytrzymać. Znowu wyruszyłem w drogę. Do komórki na końcu bukowego żywopłotu. Drzwi były zamknięte, ale przecież szybę tylko oparłem o framugę od zewnątrz. Wszystko było nietknięte – albo tak wyglądało. Jak mogłem się przekonać, czy w międzyczasie ktoś tu był, zdjął szybę i wszedł do środka? Widziałem jedynie, że szybka nadal stała oparta o parapet. Co się działo w komórce, kiedy mnie tu nie było, kto tu wchodził i wychodził, kto podnosił klapę w podłodze i zniknął pod nią – o tym nie miałem pojęcia.

W napięciu zszedłem w głąb szybu, pobiegłem tunelem i odsunąłem płytkę judasza. Pomieszczenie ziało czernią. Zapomniałem wziąć latarkę, ale czułem to. Od mojej ostatniej wizyty nic tu się nie zmieniło. Cella za judaszem była pusta.

Czyżbym wszystko to tylko sobie wyobraził? Podejrzenie to nasuwało mi się automatycznie, kiedy widziałem przed sobą martwą celę. Lecz wtedy pomyślałem o Nemo i o tym, co powiedział pan Bastian.

Pies przez długie lata bawił się z dziećmi. Aż wprowadzili się tutaj, do tej willi. Dopiero tu zwierzę zaczęło warczeć, dopiero tu zaatakowało małego chłopca.

Znowu stanął mi przed oczami ojciec – z motyką w ręku, z dziwnie nieobecny wzrokiem. Czyż sam tego nie doświadczyłem, śniąc o sadzawce? Jak dom cię chwyta, wsiąka w ciebie, wdusza swoją zgniłą emanację pod skórę, do krwiobiegu? Oczywiście, że tego doświadczyłem. A dawne podejrzenie, dręcząca nieufność wgryzały się we mnie coraz głębiej.

*To ten dom objął we władanie mojego ojca, to dom zmusił go do zamknięcia w piwnicach dziewczynki.*

Kiedy mogłem, próbowałem go czytać. Obserwowałem, jak jadł, obserwowałem, jak szedł do pracowni, obserwowałem, jak rozmawiał z mamą albo wsiadał do samochodu, żeby



pojechać do miasta. Obserwowałem go, kiedy byliśmy w supermarkecie i kiedy wieczorem wychodził z łazienki. Byłem ostrożny i nie rzucałem się w oczy – ale oczywiście nie byłem niewidzialny. Raz, kiedy przyglądałem się mu ukradkiem, napotkałem jego spojrzenie i wydało mi się, że się dziwi. Na pewno zauważył, że mu się przypatruję. Miałem nieomal wrażenie, że słyszę jego myśli: „Co tak się na mnie patrzysz, Sammy? Co jest, obserwujesz mnie?”

Trwało to tylko chwilę, potem nasze spojrzenia oderwały się od siebie, a on odwrócił głowę. Nie podszedł do mnie i nie zapytał, co się dzieje. Nie, on tylko się zdziwił, a potem odwrócił bez słowa, choć przecież obaj wiedzieliśmy, że patrzyliśmy na siebie i że było w tym coś dziwnego. Wiedziałem co – ta dziewczynka w piwnicy. *To* było dziwne, nie tylko dziwne, to było przerażające. A także motyka, pies, odgłosy dochodzące z jego pracowni. Wiedziałem to. Czyżby on nie? Czy nie musiał tego wiedzieć? Że coś było nie tak? Że coś tu się działo, a my tylko udawaliśmy, że wszystko jest w najlepszym porządku? Tak, czy on nie musiał wiedzieć, że ja wiem? Wiem o wszystkim?

Zmęczony, niemal wycieńczony tą ciągłą nieufnością, która napędzała mnie i nie dawała spokoju, pewnego wieczoru, kilka dni po wizycie pana Bastiana, leżałem w salonie na dywanie, obojętnie śledząc na ekranie telewizora program, który chciał oglądać Linus. Zawsze lubiłem oglądać to, czym interesował się mój brat, nawet jeśli dziś nie potrafiłem sobie przypomnieć, co to była za audycja. Za to dobrze pamiętam sposób, w jaki Linus popatrzył na mnie, kiedy niespodziewanie usłyszeliśmy głos ojca:

– Linus? Pozwól na moment, proszę!

Musiał stać na górze przy barierce. *Pozwól na moment, proszę!* To oznaczało, że Linus miał iść na górę na rozmowę. W połowie audycji, którą chciał obejrzeć. Zobaczyłem to w oczach brata od razu. Że nie pójdzie. Nie tym razem.

Bez słowa odwrócił się do telewizora i dalej śledził to, co się działo na ekranie. Nadstawiłem uszu. Nasłuchiwałem bardziej tego, czy ponownie rozlegnie się głos z góry, niż tego, co było w telewizji. Wiedziałem, że polecenie ojca było absolutnie jasne i jednoznaczne i że nie można mu się sprzeciwić bez konsekwencji. „Nie słyszałem cię, tato!” – było dla mnie jasne, że Linus tak właśnie będzie się usprawiedliwiał, kiedy ojciec przyjdzie dać mu reprimendę, jednocześnie było tak samo jasne, że ta wymówka nie chwyci. Nigdy nie chwyciła.

Nagle znalazł się przy nas. Kątem oka zauważyłem ruch, odwróciłem się gwałtownie i sekundę później zobaczyłem latające w powietrzu nogi. Nogi mojego brata. Zobaczyłem jego wciśniętą w dół głowę, zwichrzone włosy, rozcapierzone sztywno palce rąk. Ojciec musiał chwycić go za rękę i straszliwym szarpnięciem ściągnąć z kanapy. Nie krzyczał, nie było słychać żadnych głosów, tylko dyszenie mojego brata, który raptem znalazł się obok kanapy, na nogach, wyprostowany. Podkuliłem nogi pod siebie, wcisnąłem się w poduszki, na których leżałem, i jak zelektryzowany patrzyłem na nich dwóch. Usłyszałem głuche uderzenie i zobaczyłem, jak ojciec zadaje mu mocny cios pięścią w pierś. Z ust Linusa trysnęła ślina i pod bratem ugięły się nogi.

Przeżony i zaszokowany – ojciec nigdy przedtem nie bił nas w taki sposób – wskoczyłem na kanapę i zacząłem krzyżeć:

– Nie, tato! Proszę! – W mojej głowie coś zachrząściło, słowa wypływały ze mnie zupełnie bez udziału mojej woli. – *Nie rozszarpuj go na strzępy, tato.* – Głos mi się załamał, a przed oczami błysnęły światła. – Nie rozszarpuj go, przecież on nie może się bronić!

Ojciec, tak samo nagle, jak się zjawił, odwrócił się i nie patrząc na mnie ani na brata, odszedł.

Kiedy patrzyłem na Linusa, który z wysiłkiem próbował wstać z dywanu, w uszach szumiała mi krew. Nagle wydało mi się, że widzę wszystko całkiem wyraźnie. Zupełnie jakby ukryte oblicze domu, zasłonięte do tej pory, jednym szarpnięciem zostało obnażone.

*On jest jak Nemo. Mój ojciec jest jak Nemo. Dom przeniknął mu do kości, zatrul go i teraz on bije mojego brata, złamie mu kości i kark.*

Linus z trudem oddychał. Trzymał się za pierś, dusił, dyszał, rzęził. I był kompletnie rozstrojony. Także dlatego że chyba zupełnie nie spodziewał się ataku. Podpierałem go trochę, kiedy wyszliśmy z salonu i skierowaliśmy się na górę. W swoim pokoju padł na łóżko i dalej z trudem łapał powietrze. Przysiadłem obok niego, ze złożonymi rękami, wciśniętymi między kolana. Nie wiedziałem, co robić.

– Wiesz, gdzie on teraz jest? – wydusił z siebie między dwoma płytkimi oddechami. – Wiesz? – Podparł się ręką, zwracając twarz w dół. Nie miałem pojęcia, o co mu chodzi. – Dlatego tak uderzył! Bo wie, że to nie w porządku.

– Co?

Pokiwał głową i wolną ręką przetarł usta.

– Jest u Hannah, na tyłach domu, w jej pokoju. Jak zawsze, kiedy mama jest na mieście. *U Hannah*. Zastanowiłem się nad tym.

– Oni... oni to robią, u Hannah na łóżku. Wiedziałeś o tym?

Nie, nie wiedziałem.

– *Posuwa ją*, tak się na to mówi, wiesz?

Owszem, wiedziałem, że tak się to nazywa. Nawet jeśli za każdym razem, kiedy ktoś używał tego słowa, robiło mi się nieprzyjemnie.

– *Posuwa ją*, a mama o tym nie wie. Gdyby wiedziała, odeszłaby od nas. Od niego. Zakołowało mi się w głowie.

– Dlatego uderzył. Bo dowiedziałem się o nim i Hannah. I teraz się boi, że powiem mamie. – Linus dyszał, z twarzą zwróconą ku materacowi. Coś kapalo na prześcieradło: ślina, smarki? – Hannah pozwala mu na to, nie zamyka przed nim drzwi, bo nie chce stracić pracy u nas. – Pociągnął nosem. – Tak sędzę. – Popatrzył mi w oczy. – On jest świnią, Sammy. Nasz ojciec to świnią. *Posuwa Hannah*, chociaż ona należy do mnie.

– Do ciebie? – Oczy mojego brata błyszczwały, a cała jego twarz zdradzała dziwne napięcie. *Dlaczego do ciebie? Jego słowa zabrzmiały kompletnie niestosownie. Dlaczego Hannah należy do ciebie? Dlaczego w ogóle miałyby do kogoś należeć?*

– Ja... mnie i Hannah coś łączy, ale on tego nie rozumie. Przecież jest dla niej za stary. – Odnosiłem wrażenie, że mój brat naprawdę jest mocno skołowany. – Jak myślisz? Czy się przejmuje mamą? Jemu kompletnie na niej nie zależy. *Posuwa Hannah*, a potem każe jej prac prześcieradła. Hannah ma prac prześcieradła. I to w tej samej pralce, w której mama pierze swoje ubrania.

– A skąd to wiesz?

– Co?

– Że tak mówi Hannah.

Brat pokręcił głową. „Jak możesz być takim idiotą”, zdawał się myśleć.

– Nie wierzysz mi? To twój problem. To prawda. I ja o tym wiem.

– Skąd wiesz, że... że on i Hannah...

– WIEM O TYM, OK?! – krzyknął, ze wzrokiem tęnym i rozbieganym jednocześnie. Potem opadł na poduszkę.

– Hannah ci powiedziała, że ona i tata...

– Nie. Oczywiście, że nie. – Linus zasłonił ramieniem twarz. – Ale wystarczy, że popatrzysz na nią, kiedy on wchodzi do pokoju. Nie rzuciło ci się w oczy?

Pokręciłem głową.

– W jego obecności jest totalnie spięta. Z nami jest na luzie, śmieje się, ja... rozmawiamy ze sobą dużo, kiedy cię nie ma. Rozumiemy się... – Milczał chwilę. – Rozumiemy się naprawdę dobrze, wiesz? – Uniósł odrobinę rękę i zerknął na mnie spod niej. – Ale kiedy on jest w pokoju, staje się zupełnie inna. Skrępowana.

– Hm.

Teraz, kiedy Linus to mówił... Rzeczywiście, kiedy ojciec był z nami, nie wyglądaliśmy się aż tak bardzo z Hannah, ale czy to naprawdę znaczyło, że...?

– Dlatego z całej siły rąbnął mnie w pierś. Chce mi pokazać, że mam się nie wtrącać. – Ręka znów zakrywała oczy, za to usta Linusa były odsłonięte. – Nie wytrzymam tego dłużej. – Wciągnął powietrze. – Jak myślisz, powinienem powiedzieć mamie?

– O tym z Hannah?

– Tak.

– Jesteś całkiem pewien? Znaczą... bo potem... jeśli to nie tak...

– On z nią sypia, Sammy, możesz być pewien.

*Czy powinienem powiedzieć mamie.* Mama... co by zrobiła mama? Nie bardzo wyobrażałem sobie, co by to oznaczało. Ale mój brat, mama, tata, ja i Hannah... To miało swoją prawidłowość. Prawidłowość, która, jak stwierdziłem po zastanowieniu, nie mogła zostać zakłócona.

– Nie wiem. – Gapiłem się na swoje gołe palce u nóg, wystające z sandałów.

– Teraz, w jej pokoju. Mogę... słyszę, jak stękają.

Rozciągnąłem usta w uśmiechu.

– No co ty?

Brat ze złością wyprostował się i usiadł obok mnie na brzegu łóżka.

– A, a, a...

Szturchnąłem go łokciem w bok i przestał.

– Ale że z tatą coś się dzieje, to też zauważyłem – rzuciłem po chwili.

Linus nic nie powiedział, ale wiedziałem, że mnie usłyszał.

– Nie sądzisz? – Zerknąłem na niego z ukosa.

– Że jak, „coś się dzieje”? – mruknął, lekko zezłoszczony.

– Noooo... Dawniej, znaczy, przed Berlinem, coś takiego nigdy się nie zdarzało. Żeby cię uderzył, mam na myśli. On cię kompletnie znokautował! Dawniej tego nie robił.

– Nieeee, no jasne, mówię przecież...

– Ale dlaczego? Przecież w Londynie Hannah też była z nami.

– Tam... wtedy jeszcze tego nie robił.

– Czego?

– No wiesz, że chodzi do jej pokoju, że ona...

– Dobra, okay, w porządku – przerwałem. Wiedziałem, co Linus ma na myśli, powtarzał to wystarczająco często. – Dokładnie – dodałem i oparłem się o niego. – Przecież mówię. To się zaczęło w Berlinie, on się zmienił tutaj. Zmienił się dopiero *tutaj*.

– Tak uważasz?

Przytaknąłem.

– Myślę, że to ma związek z domem, z tą willą.

Brat zmarszczył czoło i uniósł kąciki ust, jakby chciał zapytać: „Co ty wygadujesz?”

– Opowiadałem ci, co mówił właściciel? O psie i chłopcu? – Oczywiście

zrelacjonowałem Linusowi historię o Nemo i Philippie. Miałem jednak wrażenie, że brat nie wziął sobie tego tak bardzo do serca jak ja. „Tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty siódmy rok to było dawno temu”, powiedział. „Kto wie, co tak naprawdę się wtedy wydarzyło”. – Ten pies,

Nemo – dokładnie ważyłem słowa, ale byłem pewien, że znajduję się na właściwym tropie – zawsze był dobry i grzeczny, aż sprowadzili się tutaj. I parę miesięcy później zaatakował chłopca.

Linus patrzył między kolanami w podłogę.

– Tak po prostu zagryzł go na śmierć.

– Tak, wiem.

– To był dom, Linus, ten dom. Nawiedził psa, a teraz, kiedy my tu mieszkamy, nawiedził tatę. Dlatego. To dlatego uderzył cię pięścią.

Brwi Linusa powędrowały trochę do góry, ale nie odpowiedział.

– A to dopiero początek. – Zniżyłem głos. – Jeśli nie będziemy uważać, będzie coraz gorzej. On będzie coraz dzikszy, coraz bardziej bezwzględny, i to na nas będzie się wyżywał.

Mój brat pokręcił głową.

– Musimy mu pomóc, Linus, musimy pomóc tacie. On nie chce źle, on wcale tego nie chce. On jest raczej, tak jakby... przez to opętany, a my... my musimy mu pomóc – powtórzyłem.

– On nie chce źle?! Najpierw mnie bije, a potem idzie do Hannah i... ją posuwa, Sammy. To właśnie się dzieje. Widziałeś ją kiedyś? W kostiumie kąpielowym? Oczywiście, że widziałeś. Ale chodzi mi o to, kiedy się przebiera. Czasami widać, jak zdejmuje mokre bikini. Widziałeś ją kiedyś?

Co? Jak się przebiera? Jasne, że widziałem.

– Widziałeś, że tam na dole – Linus niezdarnie pokazał palcem między nogi – że jest tam ogolona? Całkowicie. Goła jak mała dziewczynka. To jest to, co tacie uderzyło do głowy. – Szukał właściwych słów, unikając mojego wzroku. – Nie tak dawno temu, może z dziesięć dni albo coś koło tego, byłem z nią sam w basenie. Wyszła z wody, ja jeszcze zostałem, ona się wytarła, ja pływałem tam i z powrotem, jak gdyby nic. A potem ona zdjęła bikini na trawniku, zaraz przy basenie. Jakby to była najnormalniejsza rzecz na świecie. Najpierw górę, facet, mówię ci, jest na co popatrzeć. Myślałem, że się utopię. Młóciłem w wodzie nogami, zresztą w tym momencie i tak nie mógłbym wyjść z basenu, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

Miałem mgliste wyobrażenie, o co mogło mu chodzić.

– Więc młóć tymi nogami, ona zakłada suchą górę od bikini, a potem... trach, zdejmuje mokre majtki! Nie mogłem oderwać wzroku. Wszystko gładko wygolone, widać było... wszystko. I myślisz, że sięgnęła prędko po ręcznik, żeby się zakryć? Nie sięgnęła! Udawała, że nie widzi, jak na nią patrzę. – Zwinął dłonie w pięści. – Przysięgam ci, w tym momencie najchętniej wyskoczyłbym z wody i rzucił się na nią. Bez wycierania. Na trawniku. Nie mogłem myśleć o niczym innym, tylko o tym, jak by to było leżeć na niej. Mieć przed sobą jej oczy, jej piersi, skórę, która musiała być jeszcze całkiem zimna od wody. A to, co ma tam, na dole, jak się tam ogoliła, to było takie mocne, ten impuls, żeby ją dopaść, był tak silny, że nie mogłem inaczej. „Hannah”, zawołałem, cicho, żeby nie było słychać w domu. „Jesteś prześliczna”. Tak, tak właśnie powiedziałem, a ona popatrzyła na mnie. I uśmiechnęła się, a potem jednak sięgnęła po ręcznik i się zakryła. – Linus oparł łokcie na kolanach i zanurzył dłonie we włosach. – Ale przedtem pozwoliła mi wszystko obejrzeć, dobrze wiedząc, jak to na mnie działa. Wiedziała i zrobiła to specjalnie.

*Ale dlaczego, pomyślałem, dlaczego miałaby robić to specjalnie?*

– Zrobiła to, bo mnie lubi, Sammy, i to dlatego tata mnie uderzył. Bo wie, że ona mnie lubi, a on chce ją mieć dla siebie.

*Nie, przemknęło mi przez głowę. Przykro mi, Linus, ale jakoś sobie tego nie wyobrażam. Hannah jest wprawdzie młodsza od taty, ale ty nie jesteś nawet w połowie tak duży jak ona!*

– To nie ma nic wspólnego z domem, że tata tak się zachowuje, Sammy. – Usłyszałem z boku głos brata. – Zapomnij o tym, to bzdury. Coś takiego może się zdarzyć na filmie, ale nie naprawdę.

– A właśnie że może – wyrwało mi się. *Tylko ty tego nie rozumiesz*, chciałem dodać, ale Linusowi odeszła ochota na rozmowę na te tematy. Sprawiał wrażenie, jakby uznał, że i tak powiedział już za dużo.

– Weź, Sammy, przestań już – mruknął. – Jesteś na to za mały. – Wstał i popatrzył na okno. – Zostaw mnie na chwilę. Muszę pobyć trochę sam, okay?

– Tak, jasne. – Ja również wstałem i podszedłem do drzwi, ale w progu jeszcze się zatrzymałem.

– Linus?

Już się nie odwrócił.

– Porozmawiamy jutro, Sam. – Oparł się dłońmi o parapet. – Ale o domu zapomnij, to głupota.

W ciągu paru dni po rozmowie z Linusem lekko podwyższona temperatura, którą odczuwałem tamtego ranka, kiedy obudziłem się z kosmaru, wzmożła się i przerodziła w nieprzyjemną gorączkę. Rano, kiedy wyspany, odświeżony i w dobrym humorze wyskakiwałem z łóżka, wydawało mi się, że minęła, ale po południu wracała, a wieczorem, kiedy po wielu godzinach namysłów, obserwacji i przypuszczeń, kompletnie wycieńczony, padałem z powrotem do łóżka, czułem, jak na nowo chwyta mnie w swoje gorące, zaczerwienione łapy. Ale nie chciałem się uskarżać. Jasne, na pewno nie byłoby żadnym problemem udać się do najbliższego pediatry – choć jeszcze nie mieliśmy żadnego – ale nie chciałem obciążać mamy tymi kłopotami, dopóki co rano miałem uczucie, że tego dnia gorączka może jednak nie powróci. Niewiele jednak jadłem. Po prostu nie miałem apetytu.

Chociaż mało jadłem i ze względu na temperaturę w gorące noce niezbyt dobrze spałem, nie miałem wrażenia, że bym był osłabiony lub otumaniony, miał nadwątlone siły lub był jakoś chory. Wręcz przeciwnie. Wydawało mi się, że mój umysł znajduje się w szczególnej gotowości, moja głowa jest wolna i lekka, moja uwaga szczególnie wzmożona, wręcz wyostrowana. Nic mi nie umykało, wszędzie miałem uszy i oczy. Reagowałem szybko, błyskawicznie, nadstawiałem uszu, gdy coś słyszałem, odwracałem się raptownie, kiedy ktoś szedł za mną przez pokój. Byłem nieustannie pobudzony, gotów do wszystkiego, przygotowany w zasadzie na każdą ewentualność. Tylko nie na to, co nastąpiło.

Była niedziela, jeden z tych dni w długim łańcuchu spokojnych letnich dni, w których miasto zdawało się uśpione. Powietrze stało w miejscu, niebo było bezchmurne. Hannah uruchomiła kilka zraszaczy, rozstawionych po całym ogrodzie, i poza brzęczeniem owadów słyhać było tylko ich miarowy odgłos, gdy metalowy bolec uderzał raz po raz o strumień wody, by rozpylić go na jak największej powierzchni.

Siedziałem na krawędzi basenu z nogami zanurzonymi w wodzie, po chwili jednak wstałem i – jak często w ostatnich dniach – udałem się do kamiennej płyty pod sosnami. Psia mogiła wciąż przyciągała mnie w magiczny sposób. Przesiadywałem przy płycie, leżałem, zwinięty w kulkę, a nawet gołymi rękami wydrapywałem igły na jej krawędziach, by zbadać, jak głęboko sięgała.

Tym razem przystanąłem przy szarym kamieniu i przypatrywałem się, jak wędrują po nim słoneczne punkty, kiedy wiatr poruszał gałęziami nad grobem. Zmrużyłem oczy i obserwowałem jasne i ciemne plamy na płycie, powoli zacierające się i zlewające ze sobą. Pograżony w myślach, wbiłem gołe palce nóg w ciepłą leśną ziemię.

*Krrrr.*

Chrzęst – cichy, lecz wyraźny.

Kamień o kamień.

Wtuliłem nieco głowę w ramiona. Odgłos zraszacza. Brzęczenie pszczoł i trzmieli. I chrzęst, jakby ciężki kamień przesuwiał się po kamieniu. Z przestrawieniem otworzyłem szerzej oczy.

*Płyta u mych stóp, słoneczne plamki, brązowe igły.* Wydawało mi się, jakby przez leśne podłoże przeszedł impuls, nieznaczna fala, lekkie pompowanie, jakby ziemia ciut się zakołysała – i nagle zahuštała silniej. Rozwarłem oczy i cofnąłem się gwałtownie.

– Mamo! – wyrwało mi się z krtani. Nie spuszczałem wzroku z nagrobka.

Odwróciłem się prędko. Z cienia pod sosnami widziałem zalaną słońcem powierzchnię trawnika z basenem, a w głębi – okna, załomy, wykusze i skośne dachy willi. Szyby były niemal

czarne, dachówki spłowieło czerwone.

– Mamo!

Rzuciłem się przez ciepłą murawę ku schodom na taras, skokami przesadziłem terakotowe płytki i wpadłem do stosunkowo chłodnego salonu, rozciągającego się w zaciemnieniu i ciszy. Mama leżała na kanapie, z głową odchyłoną do tyłu, jedną ręką spoczywającą na brzuchu, drugą zwróconą wnętrzem dłoni ku górze na poduszce obok niej.

– Mamo, mogłabyś pójść ze mną do płyty pod sosnami, proszę?

Wiedziałem, że nie powinienem jej budzić, że wróciła do domu późno w nocy, ale byłem przerażony do szpiku kości. Ani ojciec, ani Linus czy Hannah nie umieli mnie uspokoić.

– Sammy – jej głos zabrzmiał jak sklejonny, odniosłem też wrażenie, że ledwie zdołała unieść powieki – przecież spałam...

– Tylko na chwilę, mamo, proszę, to zaraz obok basenu, tam z tyłu, możesz zobaczyć z okna. – *To była fala, fala, która przechodziła przez miękką ziemię*, szeptał głos w mojej głowie, ale nie powiedziałem tego. – Proszę, tam coś się rusza...

– Naprawdę? – Uniosła się trochę, przykładając lewą rękę do czoła, tak że jej długie, piękne włosy opadły na policzek. – Może kret, Sammy, pan Bastian też to mówił. Że w ogrodzie jest parę kretów...

*Kret.*

Słyszałem chrzęst, chrzęst kamiennej płyty. Więc płyta przesunęła się pod własnym ciężarem, bo kopało pod nią jakieś zwierzę?

– Sammy, posłuchaj, ja... – Podniosła wzrok, a ja zobaczyłem, że jej oczy były zasnutę mgłą. – Wzięłam tabletkę na sen, jestem trochę otumaniona. Te rzeczy... – Dostrzegła, jak się w nią wpatruję. – To nic takiego, muszę tylko się przespać parę godzin, zobaczysz, dziś wieczorem będę całkiem wypoczęta. – Łagodnie przesunęła grzbietami palców po moim policzku.

– Proszę, mamo, tylko na chwilę! Zaraz będziesz mogła spać dalej.

Położyła mi rękę na karku i przyciągnęła do siebie moją głowę, drugim ramieniem objęła mnie i przytuliła.

– Ja... jeszcze spadnę ze schodów, jeśli będę w tym stanie potykać się po ogrodzie. Sammy, chyba tego nie chcesz.

*Nie, oczywiście, że nie.*

– Coś z tą płytą jest nie tak, mamo, ja... ja naprawdę myślę, że lepiej, żebyś to zobaczyła.

– A cóż ma z nią być, Sammy? Nie słyszysz owadów? Jest taki piękny letni dzień. –

Odsunęła mnie nieco, żeby móc popatrzeć mi w twarz. – Masz piękne wakacje?

Patrzyłem na nią. *Proszę.*

I wtedy dała mi klapsa w tyłek – jak małemu dziecku! W tyłek!

– No już, biegnij, chłopcze, złap tego kreta! To by dopiero było. Wiesz, jakie są słodkie? – Jeszcze zanim skończyła mówić, jej powieki znów opadły. – Tylko uważaj, żeby cię nie ugryzł – wymamrotała.

Stałem obok kanapy i przyglądałem się twarzy matki. Była kompletnie bez makijażu, a teraz, kiedy przypatrywałem się, jak poddaje się sztucznej senności po proszkach, dostrzegłem, jak bardzo musiała ją wycieńczyć przeprowadzka do Berlina. Ostrożnie chwyciłem jej rękę leżącą na kanapie. Miała mięciutką i ciepłą skórę. Poczulem, jak lekko ściska palce, jakby chciała pozdrowić mnie ostatni raz, zanim ostatecznie odejdzie w błogi świat snów.

– Kocham cię, mamo.

Jej usta się rozchyliły i usłyszałem jej cięższy oddech.

Kochałem ją, tak samo jak tatę, tak samo jak Linusa, kochałem ich wszystkich troje, ale...



nie rozumieli mnie. Mogłem się starać ile sił, zdawali się słyszeć moje słowa, ale nie chwytały sensu, który próbowałem im przekazać. Nie wiedziałem tylko, dlaczego tak było. Czy wina leżała po mojej stronie – czy po ich?

Wyszedłem z powrotem na słońce. Wychynałem ze świata cieni salonu, w którym słychać było oddech mojej mamy, w dzień, w skwar, na oślepiające światło.

*Spróbuj złapać kreta, ale uważaj, żeby cię nie ugryzł.*

Podskakując niezdarnie, jakby ziemia, którą dotykałem stopami, parzyła, albo jakby kołatał się we mnie jakiś ciężar, pobiegłem z powrotem w stronę sosnowego zagajnika. Uważając, żeby nie zmoczył mnie zraszacz, zatrzymałem się dobre dziesięć kroków od mogiły, tuż obok krawędzi basenu, tam, gdzie żaden cień nie chronił mnie przed palącym słońcem, ale skąd widziałem już grób.

Płyta – przesunęła się na cokole! Widziałem to wyraźnie. Nagrobek nie leżał już płasko na ziemi, tylko lekko wznosił się w jednym rogu. Kret? Duży jak...

Poczułem, jak moje oczy rozwierają się szeroko.

Przesuwała się dalej! Płyta. Chrzęściła, drżała, podnosiła się!

W uszach mi dzwoniło, w mojej piersi nierówno łomotało serce. Lecz nie mogłem się ruszyć. Słońce paliło mi czoło, a żar łączył się z gorączką, która trawiła mnie od środka.

– Mamo... – wyszeptalem, jakbym mógł wśliznąć się do jej snu i powiedzieć jej, co tu się dzieje. – Zobacz, co stamtąd wychodzi...

Coś wypełzało z grobu, spod płyty, której tylna krawędź obsunęła się głębiej, podczas gdy przednia sterczała do góry. Chwyciło pokrytą igłami ziemię i wysunęło ramiona spod kamienia. Było umazane krwią – spoglądałem w otwarte rany. To nie był pies, nie miał sierści ani łap. To był chłopiec, może sześciolatek. Chłopiec, któremu brakowało połowy twarzy, bo wygryzło mu ją jakieś zwierzę.

– Sammy – usłyszałem, jak mnie woła – proszę, Sammy... – Zobaczyłem jego oczy. Jedno zdrowe, a drugie rozszarpane przez psa. Widziałem, jak mnie szukają. – Sammy, proszę, zaczekaj na mnie! – Chłopiec odsunął płytę do końca i wyswobodził się, jak noworodek wychodzący z ciała matki. – Nemo nie jest zły, Sammy, wcale mnie nie skrzywdził. – Podparł się o ziemię i wyprostował. Jego ciało było woskowato blade, choć skóra przed laty musiała być opalona. – Tak się cieszę, że tu jesteś, Sammy. – Wydawał się o połowę mniejszy ode mnie, był o połowę młodszy, ale z raną w boku, której brzegi poruszały się łagodnie. – Masz, możesz włożyć tu rękę. – Miał wysoki, chłopięcy głosik. – Już nie boli, będzie ci tu ciepło. – Powoli podszedł do mnie, prawą ręką chwycił się za bok i wsunął palce do środka rany. – Dotknij! – Obrócił się do mnie bokiem i uniósł kawałek tkanki, spod której wyłoniło się kłębowisko narządów i czerwonej masy. To nie było tylko poszarpane ciało, w środku coś się poruszało.

Poczułem, jak znów zdejmuję mnie drzenie, jak moje ramię w lekkich konwulsjach wychyla się na bok, i w końcu rozpoznałem wijące się w ranie robaki, zobaczyłem ich drobne kształty drążące jego ciało, ich ślizgające się ruchy, patrzyłem, jak znikają w chłopcu, podczas gdy na górze, powyżej głębokiej rany, spoglądało w moją twarz jego zdrowe oko.

*Kret, brzęczało mi w głowie, tylko kret mógł przesunąć płytę nagrobka.*

A jednak widziałem go przed sobą – stał z okiem skierowanym na mnie, widziałem, jak się uśmiecha, jak jego wargi odsłaniają dziąsła, widziałem robaki wypełniające jego usta i wbijające się w tkankę między zębami.

*To nie on, przemknęło mi przez głowę. On tu nie stoi!, krzyczało we mnie i łąjało mnie, podczas gdy sam wydawałem z siebie zaledwie urywane dźwięki, poszarpane sapanie. Jego tu nie ma! To obłąd, który sięga po mnie, ten chłopiec jest obłądem, który chce mną zaważnąć. Ale ja nie mogę popaść w obłąd.*

– Dziewczynka. – Poczulem, jak to słowo wydobywa się z moich ust i szybuje ponad rozgrzanym przez słońce ogrodem. – Przecież tu była, widziałem ją na własne oczy w podziemiach. – Obróciłem się gwałtownie i popatrzyłem na dom pod jaśniejącym letnim niebem. – Nie uroiłem sobie tej dziewczynki! – Pognałem przez trawnik w stronę tarasu i wbiegłem po schodach.

– WIDZIAŁEM JĄ NA WŁASNE OCZY! – krzyczałem, wpadając do salonu. W półmroku dojrzałem leżącą mamę. Poruszyła się powoli, jakby wisiały na niej ciężary. Minąłem ją i popędziłem do holu. – WIDZIAŁEM JĄ! – wrzasnąłem i pchnąłem drzwi do pracowni ojca. – Tato! W piwnicy, dziewczynka!

Zerwał się z krzesła. Na uszach miał żółte słuchawki.

– W piwnicy! Więziłeś ją tam!

Szarpnięciem zdjął słuchawki. Z jego twarzy wyczytałem, że bardzo go zaskoczyłem.

– W piwnicy, rozmawiałem z nią... – Miałem wrażenie, że rozszarpany chłopiec wczołgał się za mną do domu, że wyciągał po mnie swoje zakrwawione ręce, jakby robaki, które widziałem w jego dziąsłach, wpełzały mi już do nozdrzy. *Tylko tak, gotowało się we mnie, tylko tak mogę uratować się przed obłędem, który mnie dopada – wykrzykując wreszcie to, co jątrzyło mnie jak trucizna od wielu dni, tygodni.*

– Sammy, chłopcze, uspokój się! – Ojciec jednym susem wypadł z za biurka.

– NIEEEEEEEEE, TATO, NIEEEEE! – wykrzyczałem cienkim, dziecięcym głosem, ale widziałem przecież, widziałem całkiem wyraźnie, że nie powstrzymam go w ten sposób. Dlatego śmignąłem z powrotem przez drzwi na korytarz, po kamiennych płytkach do holu, szarpnąłem za klamkę drzwi i zbiegłem po schodach.

*Jest szybki, zatrzyma mnie, łomotało mi w czaszce. On mnie zatrzyma. Nie dam mu rady!* Minąłem ogrodową furtkę i dopadłem ulicy. Pędziłem ile tchu po gorącym chodniku.

W głowie miałem mętlik, młóciłem rękami, słyszałem plaśnięcia swoich stóp na asfalcie. Jeszcze nigdy nie dotarłem w takim tempie do najbliższego skrzyżowania. Biegłem w dół szerokiej ulicy, do przystanku, o którym wiedziałem, że przeważnie stoją tam ludzie. Lecz nie tym razem. Już z oddali widziałem, że nikogo tam nie ma. Żółte oznakowania, prosta wiata, ławka – były kompletnie puste.

– Pomocy! – wyrzuciłem z siebie, jakbym się dusił. – Na pomoc! On mnie dogoni!

Stałem już na ulicy, na samym środku jezdni, na rozżarzonej asfalcie, widziałem nadjeżdżające samochody i wyrzuciłem ramiona do góry. Usłyszałem zniekształcone trąbienie, pisk hamulców. Zamknąłem oczy, przygotowany na straszliwe uderzenie, którym zbliżający się samochód na pewno mnie powali. Lecz usta, moje usta były otwarte, więc wrzasnąłem jeszcze:

– MÓJ OJCIEC, MÓJ OJCIEC ZAMKNAŁ W PIWNICY DZIEWCZYNKĘ!

## Część II

Byli nadzwyczaj dyskretni, to nie ulega wątpliwości. Przyjechali po cywilnemu. Nie było ani mundurów, ani nawet radiowozu. Zamiast tego od razu przywieźli ze sobą pracownika Urzędu do spraw Młodzieży.

Samochód, który stanął, gdy ślaniając się, wypadłem na ulicę, był taksówką. Kierowca wyskoczył ze środka. Był upały, więc miał na sobie szorty i przepocony T-shirt. Widziałem, że bardzo się przejął.

– Zejdź z jezdni, mały! Oszalałeś?! – Chwycił mnie za ramię i pociągnął na chodnik, podczas gdy jego beżowy mercedes warkotał przy krawężniku.

– W piwnicy, ukrył ją w piwnicy! – wyrzuciłem z siebie, patrząc na taksówkarza wielkimi oczami. Wiedziałem, że moja twarz jest umorusana od łez i wzburzenia, w końcu jeszcze przed chwilą gapiłem się na usta pełne robaków, a jednak zdawałem sobie sprawę, że istniała różnica między ustami pełnymi robaków a stojącym przede mną taksówkarzem. Zdawałem sobie sprawę, że popadnę w obłęd, jeśli w końcu nie wykrzyczę z siebie tego, co ciążyło na mnie od wielu dni. – Widziałem ją na własne oczy, dziewczynę z czarnymi, długimi, prostymi włosami, bardzo młodą...

Taksówkarz patrzył na mnie z troską. Było jasne, że to, co mówiłem, stanowiło problem, ogromny problem. I było mu mnie żal, nie potrafił tego ukryć.

– Spokojnie, mały. Chodź, usiądź w mojej taksówce. Ja muszę najpierw zatelefonować.

Usiadłem na tylnym miękkim siedzeniu mercedesa i przysłuchiwałem się, jak kierowca rozmawia przez telefon przytłumionym głosem. Z jednej strony czułem się, jakbym zrzucił z serca ogromny ciężar, z drugiej jednak zaczynało mi świtać, że to, co właśnie zrobiłem, zachwieje posadami mojego życia. Bowiem tym, co do tej pory trzymało w ryzach i formie moje życie, byli rodzice. Rodzice, którym właśnie wbiłem nóż w plecy, i to z takim impetem, z taką mocą, że nawet oni – jakkolwiek w moich oczach wydawali się tak bardzo pewni siebie – prawdopodobnie długo nie będą mogli się po tym pozbierać.

A przecież próbowałem wszystkiego, usiłowałem rozwiązać tę sprawę w inny sposób, starałem się nie przeholować. To po prostu nie było możliwe.

*Przecież ją widziałem!*

Trawiło mnie to od środka. I w końcu się wydostało, czy tego chciałem, czy nie.

Teraz byłem rad, że pobiegłem tak daleko, a rodzice nie mogli wiedzieć, w którą stronę się udałem. W ten sposób upłynie przynajmniej parę minut, zanim mnie znajdą.

Lecz policja była szybsza.

Trzy, może pięć minut po tym, jak taksówkarz wykręcił numer pogotowia, obok taksówki zatrzymał się patrol policji. Kiedy dziś wracam do tego myślą, widzę wszystko jak przez mgłę. Wzburzenie szumiało mi w uszach. Jeszcze długo po tym, jak zatrzymałem taksówkę, miałem trudności z zapanowaniem nad urywanym oddechem i przywróceniem mu normalnego rytmu.

– On zaraz przyjdzie, dotrze tu lada chwila i mnie zabierze – wyszeptalem do funkcjonariusza w niebieskim mundurze, który pierwszy się nade mną pochylił. Na twarzy miał ten sam wyraz konsternacji co taksówkarz. Ale policjant lepiej poradził sobie z sytuacją, najwyraźniej nawykł do rozmawiania ze spanikowanymi ludźmi.

– Weźmiemy go do naszego wozu. – Dał znak kolegom.

Teraz siedziałem na tylnym siedzeniu radiowozu, obok policjanta, który jako pierwszy ze mną rozmawiał. Powoli jechaliśmy ulicami dzielnicy, ale nie w kierunku willi, tylko do centrum miasta.

– Spokojnie, chłopcze, zrobiłeś wszystko, jak należy. Spotkamy się z jedną miłą panią i ona się tobą zajmie. – Mężczyzna obok próbował ze mną rozmawiać, ale ja wolałem już wrócić do nich, do rodziców. Chciałem im wszystko wytłumaczyć, zwłaszcza mamie. Czułem się tak, jakbym zbił okropnie drogi wazon, jakbym popełnił straszliwy błąd, a jednak nie chciałem od nich odchodzić, tylko do nich wrócić.

Tymczasem młodszy z funkcjonariuszy, który siedział za kółkiem, zaczął wzywać posiłki przez radiotelefon. Ustalili miejsce spotkania z pracownikiem Urzędu do spraw Młodzieży i kolegami z policji kryminalnej. Miałem jak najszybciej zostać poddany oględzinom eksperta, który orzeknie, jakie kroki przedsięwziąć.

Ostatecznie w samochodzie, którym pojechaliśmy z powrotem do willi, siedzieli pani psycholog z Urzędu do spraw Młodzieży i dwóch policjantów z wydziału kryminalnego. Nie był to radiowóz, tylko wyglądający całkiem normalnie pojazd cywilny. Najwyraźniej chcieli wziąć poprawkę na sąsiadów i nie dopuścić, by po okolicy rozeszły się plotki. Jednocześnie mój wybuch miał zostać potraktowany jak najbardziej poważnie. Już przedtem nawiązano kontakt telefoniczny z moimi rodzicami. Wiedzieli, że nic mi się nie stało, wiedzieli, że krzyczałem i zatrzymywałem samochody, wiedzieli, że sprawą zajęła się policja. Mnie samemu sytuacja, do której doprowadziłem, wydawała się rozciągniętą w czasie chwilą, w której coś się zachwiało, tylko nie wiedziałem jeszcze dokładnie co.

Tamtego powrotu do rodziców nigdy nie zapomnę. Stali za ogrodzeniem i spoglądali w naszą stronę, kiedy zaparkowaliśmy przy krawężniku. Ojciec obejmował mamę ramieniem, oboje wyglądali, jakby się skurczyli. Wysiadłem z wozu. Kończyny mi ciążyły, jakby były z ołowiu. Widziałem, jak na mnie patrzą, i czułem się tak, jakbym nagle ich zgubił w ciemności.

*Czy to są moi rodzice? A może dwoje całkiem obcych ludzi? Może nigdy nie byłem ich dzieckiem?*

Mama była kompletnie roztrzęsiona. Ojciec przywitał się z funkcjonariuszami. Razem z policjantami i psychologką przebiegłem przez bramę i wygiąłem plecy w łuk, kiedy mama mnie objęła. Tata mnie nie dotknął. Wyglądał, jakby dostał cios w głowę. Na końcu podjazdu stali Linus i Hannah. Spoglądali w naszą stronę. Byłem samotny, osamotniały tak nagle, w uszach mi szumiało.

Policjanci zachowywali całkowity spokój; słyszałem, jak przytłumionym głosem rozmawiają z rodzicami. „Taksówkarz... na ulicę... możemy zostawić chłopca z koleżanką z Urzędu do spraw Młodzieży?”. Wychodziło na to, że chcieli porozmawiać z rodzicami na osobności, podczas gdy mną miała się zająć pani psycholog.

Zgodzili się, a ja byłem niemal zadowolony, że zostaliśmy rozdzieleni, bo czułem nieznośną presję. W pokoju psychologka, którą miałem nazywać Gabriellą, rozejrzała się spokojnie, po czym poprosiła, żebym usiadł przy biurku, podczas gdy sama usadowiła się na łóżku. Punkt po punkcie jeszcze raz omówiła ze mną to, co się wydarzyło, a ja grzecznie wszystko powtórzyłem: jak zszedłem za ojcem do szybu w komórce prowadzącego w głąb ziemi, jak odkryłem tunel z judaszem w ścianie – i dziewczynkę. Pilnowałem się, żeby nie nazywać jej Yoki, choć to imię w nieunikniony sposób pojawiało się w mojej głowie. Wymyśliłem je sobie tylko, o czym dobrze wiedziałem.

Wolałem trzymać się tego, co widziałem. A widziałem zasłonę, instrumenty, pryczę, regał, misia. Zrelacjonowałem, że drugi raz zobaczyłem pluszaka w pokoju ojca i że dotknąłem dłoni dziewczynki – oraz że pomieszczenie w piwnicy zostało uprzątnięte do czysta.

Gabriella, trzeba przyznać, ani przez chwilę nie dawała mi poczucia, że wygaduję bzdury. Na moje wywody przez cały czas reagowała przychylnością i powagą. Odnosiłem wrażenie, że naprawdę interesowało ją to, co mam do powiedzenia. Wypytywała nie tylko o spotkanie

z dziewczynką, ale też o przeprowadzkę z Londynu do Berlina, o to, jak się zaaklimatyzowałem w nowym mieście, co poza tym robiłem w wakacje, jak się dogadywałem z matką, ojcem, ale też z bratem i Hannah. Chciała wiedzieć, czy już kiedyś przeżyłem coś podobnego, pytała nawet o książki, które miałem w swoim pokoju, a także kazała sobie pokazać obrazki, które ostatnio namalowałem. Pomimo że rozmowa na pozór była luźna, ani razu nie miałem wrażenia, że Gabriella zadaje dowolne pytania, o wiele bardziej dręczyło mnie poczucie, że wszystkie jej słowa i dociekania podążają za jakimś konkretnym planem. Zupełnie jakby założyła mi na szyję pętlę i powoli ją zaciskała. Jakby nasza rozmowa zmierzała w złym kierunku. Jakby wszystko, co mówiłem, w momencie, gdy opuszczało moje usta i szybowało ku niej, obracało się w powietrzu i stawało bronią, która ostatecznie zwróci się przeciwko mnie.

Dlatego unikałem wspomniania o moim podejrzeniu, że to dom mógł mieć coś wspólnego z tą sprawą. Nie wspominałem o historii opowiedzianej przez pana Bastiana – o Nemo, o śmierci małego chłopca, o tym, że widziałem robaki w jego ustach. Wszystko to przemilczałem. Wiedziałem przecież, jak by to zabrzmiało. Gabriella na wszystko odpowiedziałaby tym swoim niezmiennym, podejrzanie niewinnym głosem, którym zareagowała na informacje o Yoki. A na koniec rzekłaby: „Tak samo jak sobie wymyśliłeś te robaki, wymyśliłeś i dziewczynkę”.

A wiedziałem przecież, że istniała różnica między tymi wydarzeniami. Wprawdzie miałem trudności z wytłumaczeniem sobie samemu, na czym ona polegała, ale w głębi duszy miałem poczucie, że potrafię je odróżnić. To, że widziałem w piwnicy Yoki, wprawilo mnie we wzburzenie. Wywołało gorączkę. Dałem się czemuś ponieść... To, że zobaczyłem robaki, było już obłędem. Ale to, że dotykałem Yoki – nie.

A może jednak? Ależ tak, na pewno, tak musiało być! Nie byłem przecież wariatem!

W tym czasie dwaj funkcjonariusze policji kryminalnej rozmawiali z moimi rodzicami. Kiedy Gabriella i ja zeszlśmy na dół, wiadomo już było, że ojciec musi pojechać z nimi do wydziału kryminalnego w mieście. Po ich postawie widziałem jednak, że to nie było aresztowanie. W ich postawie, gdy stali obok niego, nie było nic groźnego. Najwyraźniej willa, salon, w którym przebywali, sposób prowadzenia rozmowy przez moich rodziców – wszystko to wywarło na nich spore wrażenie. Nie lustrowali już rodziców tak nieufnie jak na początku. Kiedy wraz z psycholożką wszedłem do salonu, było raczej tak, jakby linia, jakiegokolwiek była natury, nie przebiegała między rodzicami a policjantami, lecz między czworgiem dorosłych a mną. Byłem nieufnie taksowany wzrokiem, i to zarówno przez rodziców, jak i przez policjantów. Ja, który nie zrobiłem nic innego. Przecież tylko w końcu wykrzyczałem to, co powinno zostać powiedziane już dawno.

Gabriella została wprawdzie przy mnie, ale ponad moim ramieniem, co wyraźnie wyczuwałem, nawiązała kontakt z pozostałymi dorosłymi i sygnalizowała im coś oczami. Wszyscy porozumiewali się ze sobą bez słów. I to na mój temat. Ja byłem tym, o kogo tu chodziło. Właśnie takie przemożne uczucie mną zawładnęło. A tu przecież powinno chodzić o mojego ojca. Nawet otworzyłem już usta – ale czy miałem zawołać, spontanicznie, tak jak spontanicznie uderzyła mnie ta myśl: *To JEGO powinniście wykluczyć, nie mnie!* Czy miałem spróbować wyjaśnić, że to nie *mną* powinni się zająć, lecz *nim*?

Zrezygnowałem z tego. W tym samym momencie, w którym weszliśmy do salonu, wiedziałem: cokolwiek powiem, zwróci się przeciwko mnie. Najlepiej, jeśli będę milczał.

I tak nie padło wiele słów. Już w chwili naszego przybycia atmosfera była zatruta, teraz jednak stała się zupełnie nie do zniesienia. Kiedy funkcjonariusze odebrali mnie od taksówkarza, wyczuwałem w nich współczucie. Teraz nie pozostał po nim najmniejszy ślad. A niepewność policjantów, moich rodziców i Gabrielli ustąpiła miejsca chęci załatwienia sprawy tak, by powstało przy tym jak najmniej szkód i komplikacji. Przy czym sprawa polegała najwyraźniej na tym, że jedenastoletni chłopiec – czyli ja – przeszedł coś w rodzaju załamania nerwowego.

Mimo wszystko jedna rzecz była jeszcze do zrobienia. Minęło parę minut, podczas których psycholożka odbyła w osobnym pokoju rozmowę w cztery oczy z jednym z policjantów, zapewne informując go o tym, co powiedziałem i jakie zrobiłem na niej wrażenie. Wkrótce potem policjant ten poprosił, bym zaprowadził go do pomieszczenia w piwnicy, w którym widziałem dziewczynkę. Zapytali mamę, czy się zgadza, żebym bez rodziców wskazał drogę jemu i Gabrielli. Mama, z zaczerwienionymi oczami, włosami zebranymi w węzeł, w cienkim bawełnianym swetrze, owiniętym ciasno wokół ciała, skinęła tylko głową, podczas gdy ojciec w pracowni przygotowywał się do wyjazdu do miasta.

Ruszyliśmy. Ja, Gabriella i funkcjonariusz. Zaprowadziłem ich do komórki i pokazałem szybę, którą postawiłem na parapecie. Mama dała nam klucz, dzięki czemu mogliśmy wejść do środka drzwiami. Pokazałem im klapę w podłodze; zdjęliśmy zawiasy, otworzyliśmy ją i zeszlśmy do szybu. W tunelu minęliśmy świetlówkę i dotarliśmy do judasza.

Tego chyba się nie spodziewali. Widziałem to po nich, gdy dali się oprowadzić w milczeniu. Policjant robił zdjęcia, wspomniiał jednak, że starsze schrony przeciwlotnicze często były wyposażane w judasze lub wizjery. Potem zaprowadziłem ich do drzwi na końcu korytarza i pokazałem celę, w której widziałem dziewczynkę – teraz pustą, z zakurzoną podłogą i nagimi, betonowymi ścianami. Pomieszczenie sprawiało wrażenie tak bardzo opuszczonego, że ta pustka była niemal namacalna. Wyczuwałem, że wrażenie, jakie zrobiła na funkcjonariuszu droga do

celi, się zatarło.

– Bawiłeś się tu na dole? Twoi rodzice wiedzieli o tym? To ty wyłamałeś klapę w podłodze? Jak często tu bywałeś? – zasypywał mnie pytaniami.

Sam musiałem przyznać, że cela, w której staliśmy, ani trochę nie wyglądała na celę, w której widziałem Yoki. Była raczej zwyczajną opuszczoną piwnicą, do której od lat nikt nie wchodził.

W końcu poszli. Zabrali ojca, a Gabriella zapewniła, że wrócą jeszcze tego samego dnia, by omówić całą resztę.

Do wieczora stałem się więc niejako zbędny. Wzburzenie przetoczyło się przeze mnie jak pożar przez las. Niezbornie wygadywałem jakieś rzeczy bez ładu i składu, obejmowałem mamę, wypłakiwałem się w jej szyję, desperacko próbowałem się bronić, ale moje myśli były splątane, a dusza bolała jak otarta do krwi.

– Co zrobiłeś? – Kiedy pod koniec tego ciągnącego się w nieskończoność dnia siedzieliśmy we dwóch w kuchni, Linus spojrział na mnie, jakby mnie widział po raz pierwszy w życiu. Mama poprosiła Hannah, żeby zrobiła nam coś na kolację, a sama zaszyła się u siebie. A i Hannah, kiedy już rozłożyła na kuchennym stole trochę chleba, ser i wędliny, zostawiła nas samych. – W tych piwnicach pod komórką? – Linus nie mógł powstrzymać szerokiego uśmiechu. – Tata trzymał w celi dziewczynę?

W milczeniu żułem chleb.

– Dlaczego nic mi o tym nie powiedziałeś?

– Chciałem, ale...

– Powiedziałeś *dom* – wszedł mi w słowo. – Powiedziałeś, że to dom go zaczarował.

Skrzywiłem się. Wszystko się poplątało.

– Oczywiście nie wziąłem tego na poważnie. – Położył parę plasterów szynki na swojej kromce. – Powiedziałeś im o tym, o czym ci mówiłem?

Hannah. To o Hannah i tacie. Od razu wiedziałem, co miał na myśli. Ale o tym nawet nie pomyślałem.

– Nie.

– Hm. – Przeżuwał, namyślając się chwilę. W końcu jego twarz spoważniała. – Naprawdę w to wierzysz? W to z dziewczynką?

Popatrzyłem na niego. Jak jeszcze miałem to powiedzieć? Widziałem ją. Przeniosłem wzrok na swój talerz. Nie miałem ochoty przerabiać tego jeszcze raz, skoro wszystko, co mówię, obraca się przeciwko mnie.

– Widziałem ją. Miała najwyżej piętnaście lat. – Podniosłem na niego wzrok. – Kiedy powiedziałem, że przyprowadzę tatę, zaczęła krzyczeć „DADDY, NOOOOOO!”.

Linus patrzył na mnie z zainteresowaniem.

– Ładna była? – Znow nie mógł pohamować uśmiechu.

Skinąłem głową. *Owszem, i to jak.*

– Miała czarne włosy, Chinka, albo Japonka czy coś w tym rodzaju. Ale nie znała niemieckiego.

– W co była ubrana?

– W T-shirt i jeansy.

Myślał przez chwilę.

– Szaleństwo.

Skinąłem głową, żując. Spozrzegłem, że łypnął na mnie ukradkiem.

– Nieźle dopiekleś mamie i tacie tymi swoimi rewelacjami. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę?



Wypuściłem powietrze z płuc. *Tak, zdaję sobie sprawę.* Bezwiednie wgrzyłem się w kanapkę. Do czego zmierzał? Chciał stanąć razem z nimi po drugiej stronie linii, zamiast trzymać moją stronę, wyczuwałem to wyraźnie. Znałem to. Było coś, co sprawiało, że Linus zawsze, kiedy przychodziło co do czego, brał stronę rodziców. Może dlatego że był starszy, nie wiedziałem tego.

Oczywiście zdawałem sobie sprawę, że w ten sposób powstawała rażąca nierównowaga. Z jednej strony moi rodzice i Linus, i z pewnością również Hannah, z drugiej – ja sam. Ale nie przejmowałem się tym. Powiedziałem tylko, co widziałem. Byłem rad, że w końcu otworzyłem usta. Nawet jeśli dotarło do mnie, że ulga, jaką sprawił mi mój wybuch, została zniwelowana przez nieznośną atmosferę, która po nim zapanowała.

Nic, nic, nic.

Nic nie znaleźli. Przeszukali piwnice. Kilka razy rozmawiali z ojcem. Rozmawiali z mamą i z Linusem. Ustalili, że mam regularnie odwiedzać na mieście Gabriellę. Ale nic nie znaleźli. Nic, co choćby w przybliżeniu potwierdzało to, co widziałem i o czym im opowiedziałem.

Upłynęło parę dni, zanim ogłoszono wyniki dochodzenia. Klamka jeszcze nie zapadła, choć ja już przeczuwałem, czym to się skończy. I wreszcie wszystko było wiadomo. To już nie były moje przeczucia, teraz wszystko zostało oficjalnie przypieczętowane.

– Sammy, chodź do salonu, proszę. Ojciec i ja chcemy z tobą porozmawiać – mama zawołała mnie z ogrodu.

Jej postawa w pewien sposób się umocniła. Widziałem po niej, że teraz już wie, jaki obrać kurs. Że omówiła to z moim ojcem. Że nie poszli na łatwiznę, ale mimo to czas powątpiewania i zaczerwienionych oczu się skończył. Teraz chodziło o to, by obwieścić mi to, co postanowili.

– Nie wiem, co się dzieje w twojej głowie, chłopcze. Jest to dla mnie kompletnie niepojęte. – Ojciec skierował na mnie swoje ciemne oczy. Wydawało mi się, że w nich tonę. Był niedzielny poranek, po śniadaniu. Hannah i Linus wsiedli na rowery i pojechali na przejażdżkę. Mnie nie zabrali, ponieważ było jasne, że rodzice chcą przeprowadzić ze mną rozmowę. – Zawsze próbowałem z tobą rozmawiać, Sammy – ciągnął ojciec – ale zauważyłem też, że od rozpoczęcia wakacji byłeś niespokojny, niezdorczy, zdekoncentrowany, jakby coś się z tobą działo. – Rzucił spojrzenie na mamę, która usiadła obok mnie na kanapie. – To, co się stało, zapewne będzie nas zaprzętać jeszcze przez długi czas. Jestem pewien, że ty też masz świadomość, jak poważna jest ta sprawa. Że my, twoja matka i ja, bardzo się o ciebie niepokoiimy.

To było okropne. Czułem, jakby coś płonęło mi w piersi. I znów pod powieki napłynęły mi łzy. Chciałem poderwać się i rzucić w objęcia taty, ale nie miałem odwagi.

– Gabriella odbyła z nami rozmowę – znów usłyszałem jego głos – i wspólnie podjęliśmy decyzję, że musimy przejść z tobą terapię. Terapię polegającą na regularnych rozmowach z Gabriellą, wspartą zażywaniem leku.

Spojrzałem na mamę. Już trzymała je w ręku. Pudełko, pudełko z tabletkami.

– Risperdal – ciągnął tata. – Początkowo masz zażywać lek tylko przez parę tygodni, potem zobaczymy.

Tabletka. Instynktownie się zjeżyłem, ale wiedziałem, że opór nie wchodzi teraz w grę.

– Słuchasz, co mówię, Sam?

– Tak, tato.

– Chcę, żebyśmy się rozumieli. To dość silny neuroleptyk, środek, który działa na twoją psychikę. Mamy nadzieję, że ci pomoże.

*Chcicie przemycić do mojej głowy instrument powodujący, że przestanę jasno widzieć.*

– Gabriella stwierdziła oznaki depresji, ale też epizody maniakalne. Risperdal stosuje się u dorosłych w przypadkach schizofrenii, ale...

– Nathan, przecież on nie musi tego wszystkiego wiedzieć. Nie wszystko na raz! – zaoponowała mama.

Z każdym fachowym pojęciem, którym rzucał ojciec, wyciekało ze mnie trochę sił.

– Dobrze już, masz rację – zgodził się. – Masz, Sammy. – Wyjął pudełko z ręki mamy

i otworzył je. – Najlepiej od razu weź jedną tabletkę. – Wyłuskał pigułkę z opakowania i podsunął mi ją.

Trwałem w bezruchu.

– Prawda? – Ojciec zerknął na mamę, lecz ona schowała twarz w dłoniach i płakała. – Becky, powiedzieli przecież, że powinniśmy zacząć od dzisiaj.

– Tak, oczywiście! – Poderwała się z kanapy. – Jak ma ją połknąć? Tak? Bez wody? – Wybiegła do kuchni, żeby, jak przypuszczałem, przynieść mi szklankę wody.

Ojciec odłożył tabletkę do opakowania. Trzymał pudełko w dłoni i wpatrywał się w widniejące na nim napisy, złożone drobnym drukiem.

*Nie chcę mnie takim, jaki jestem, dlatego dają mi tabletki. Żebym stał się taki, jakim mnie chcą.*

Czułem się trochę tak, jakbym wyszedł z własnej skóry.

– Tato?

Podniósł wzrok.

– Tato, czy jak będę brał te tabletki, będzie mi źle?

W jego oczach pojawiło się współczucie. Ale tylko na chwilę, bo przez współczucie zaraz przebiło się coś innego.

– Sammy... co mamy robić? Nie możemy dopuścić, żebyś wybiegał na ulicę. Ostatnio prawie rozjechał cię samochód i...

*Ale ja mam dopiero jedenaście lat.*

– Mam nadzieję, że nie będziesz musiał brać ich długo, ale...

– Ale co?

– Prawdę mówiąc, synu, jestem wstrząśnięty tym, co zaszło. Czy mogę jeszcze na tobie polegać? Co zrobisz następnym razem? Co będziesz o mnie wygadywał następnym razem?

Płakałem ze spuszczoną głową.

– Masz, Sammy. – Mama, ze szklanką wody w ręku, dotknęła mojego ramienia.

Nachyliłem się i wyjąłem opakowanie tabletek z ręki ojca. Patrzyłem, jak śledzą mnie wzrokiem, kiedy popijałem proszek odrobiną wody.

– Może się zdarzyć, że przybierzesz trochę na wadze. – Ojciec popatrzył mi w oczy. – Może się zdarzyć, że będziesz bezwiednie wykonywał niewielkie ruchy, że będziesz dygotał... to... – jego twarz się ściągnęła – ...całkiem normalne. Uważam, że to ważne, abyś o tym wiedział, żebyś się nie wystraszył, kiedy to nastąpi.

Płakałem. Bałem się. Bałem się, że utracę siebie. *Widziałem ją, jąkało coś we mnie. Widziałem dziewczynkę. Nie uroiłem sobie tego. Musiałem to wykrzyczeć. A teraz faszerujecie mnie prochami, a mnie będą się śniły koszmary. Utonę w błocie, które zrobicie z moich myśli.*

– Zostaw go, Nathan. Naprawdę zostaw go już. – Mama ponownie usiadła obok mnie i otoczyła mnie ramieniem. Objąłem ją i przycisnąłem twarz do jej boku, czułem, jak lek rozpuszcza się we mnie, jak rozpuszcza Sammy'ego, którym zawsze byłem.

– Boję się, mamo... Ja... nie chciałem tego, nie chciałem tego mówić o tacie, nie chciałem przysparzać wam kłopotów. – Słowa wydostały się z mojego gardła nieco zdławione. Czułem, jak jej dłoń gładzi mnie po przeпоconych włosach.

– Wyrzuć z siebie wszystko, Sammy. Jestem przy tobie, nie musisz się bać. Wszystko będzie dobrze. Musimy tylko trzymać się razem, a wtedy wszystko będzie dobrze, przejdziemy przez to. Razem.

– Jeśli zechcesz, możesz też na parę miesięcy pójść do zakładu, w którym się tobą zajmą. – Usłyszałem głos ojca. – Gabriella nam to zaproponowała. Jeśli tu jest dla ciebie zbyt strasznie. Jeśli uważasz, że ja...

– Nathan! Czy to naprawdę konieczne?  
– Tak, konieczne! Co ty sobie myślisz? Że będę po prostu czekał na to, co się stanie następnym razem? Sammy?  
– Tak? – Rzuciłem się do tyłu, miotając na niego wściekłe i zarazem rozpaczliwe spojrzenie.  
– Co myślisz tak naprawdę? Że ja... tę dziewczynkę w piwnicy... to mi nawet nie chce przejść przez gardło. Naprawdę w to wierzysz?  
Wpatrywałem się w niego. W mojej głowie kotłowały się myśli. To był mój ojciec, na wprost mnie siedział *tata*.  
– Tak. Nie. Nie, ja... Ja przecież... sam nie wiem!  
Podniósł wzrok na mamę. „Widzisz?”, zdawał się pytać. „Oczywiście, że nie wie. Jest kompletnie zdezorientowany. Musimy uważać, żeby nie pogubił się do reszty”.  
*Tak, widziałem ją!*, krzychało we mnie, ale ile razy jeszcze miałem to mówić?  
– Więc jak, chcesz iść do tego ośrodka? – ponownie zwrócił się do mnie. – Gabriella jest zdania, że inne dzieci czują się tam bardzo dobrze. To jest w górach, świeże powietrze, przyroda, mają tam nawet konie.  
– Inne dzieci?  
Przytaknął.  
– I wszystkie muszą łykać takie pigułki? – Popatrzyłem na niego pytająco.  
– Myślę, że tak.  
Poczułem, jak mama kładzie rękę na moim ramieniu.  
*To jest obóz zrozpaczonych dzieci, które zażywają lekarstwa. To horror.*  
– Możesz się jeszcze zastanowić – powiedział ojciec. – Naprawdę, Sammy, to jest twoja decyzja.  
– Wolałbym tam nie iść – wyjąkałem.  
– Nie, oczywiście, że nie. Zostaniesz z nami. – Mama podniosła moją rękę do ust i pocałowała jej grzbiet. – Ja też myślę, że tak będzie najlepiej.  
*Tak, usłyszałem siebie, tak będzie najlepiej. Dopóki nie powiem, co naprawdę myślę.*

*Wie, że jest po wszystkim. Płytką przy judaszu została odgięta do góry. On jej nie wygiął. Ona jej nie wygięła. Przedtem płytka nie była wygięta. A teraz jest.*

*Stoi w korytarzu pod jej drzwiami. Musi to dokończyć. Musi sprawić, by rozplynęła się w powietrzu.*

*Guma, pręty, to jest... jak worek na śmieci.*

*Ona żyje.*

*Jak królik. Boi się. On też się boi. Tak bardzo, że oblewa się zimnym potem.*

*„Ona mnie wyczuwa. Czuje, że stoję pod drzwiami”.*

*To wydawane przez nią dźwięki interesują go najbardziej. Łkała, kwiliła, dyszała. Gorący oddech wyrwał się z niej, kiedy wypychał z niej powietrze.*

*Ale ten prawdziwy dźwięk, o który tak naprawdę chodziło, miał dopiero wybrzmieć.*

*Podczas demontażu. Podczas...*

*To worek na śmieci. Widział to przecież, kiedy przeciągał otwory. Guma jest gruba. Nie rozedrze się. A on już go przyniósł.*

*Wilka do mięsa.*

*Solidne urządzenie z wielką gardzielą i ostrzami ze stali nierdzewnej.*

*Wniósł maszynę do mielenia mięsa, kiedy spała, ale teraz już pewnie się obudziła i ją zobaczyła. Resztę miał ze sobą.*

*Elektryczny nóż i młynek do rozdrabniania kości. Przydałaby się piła łańcuchowa, ale nie wiadomo, jak dźwiękoszczelne są te korytarze. Piła ręczna musi wystarczyć.*

*Jeszcze jej usta. Miał ze sobą taśmę, będzie musiał zakleić jej usta.*

*Mimo wszystko będzie coś słyszeć. Przez taśmę. Dźwięk piły i wilka do mięsa. Terkotanie ostrzy. I mlaskanie psa.*

*Dzisiaj jeszcze go ze sobą nie wziął. Ale pies to zeżre. Psa nie będą mogli przesłuchać. Jego ślepia. Czy to będzie widać w jego ślepiach? Raczej nie. Rzuci się na to, pożre, odeśle w niebyt.*

*To się rozplynie w powietrzu.*

*Pot. Ilekroć jest tu, na dole, spływa lepkiem potem. Jego włosy kleją się do skóry głowy, a niektóre krople kapią z brwi na zakurzoną podłogę.*

*Kładzie rękę na klamce i otwiera drzwi.*

Po wizycie policji ojciec wydawał się niemal... zraniony. Przedtem w pewnym stopniu był dla mnie nietykalny, bez mała nieosiągalny, jak żywiol, w pewnym sensie. Teraz jednak ten wizerunek został zarysowany. Kiedy natykałem się na niego w domu, nie szedł dalej, zajęty swoimi sprawami, tylko najpierw mierzył mnie uważnym spojrzeniem. Dawniej z miłością głaskał mnie po głowie, teraz miał na mnie oko. Dawniej odnosiłem wrażenie, że interesuje go tylko jedno: by wszystkie siły i cały czas poświęcić pracy. Wykonanie zlecenia zdawało się treścią jego życia, podczas gdy my wszyscy – mama, Linus, ja i Hannah – byliśmy dodatkiem, otoczeniem, które musiało zostać stworzone, by mógł lepiej komponować.

Teraz nagle dostrzegałem, z jakimi trudnościami się zmagał. Po raz pierwszy pojąłem, że tworzenie muzyki do tych filmów, które nawet nie leciały w kinie, tylko ukazywały się wyłącznie na wideo, nigdy tak naprawdę nie było dla niego celem. Że po prostu tak się złożyło, bo w ten sposób musiał i mógł zarabiać na życie. I że tak naprawdę zawsze marzył o komponowaniu symfonii, które grałby w wielkich salach koncertowych świata. Widziałem, że w pewien sposób gardził komponowaniem niesamowitej muzyki do niesamowitych filmów. Że gardził swą pracą. A tym samym niejako i sobą. Bolało go to, że mama odnosiła o wiele większe sukcesy. Mama nie pracowała przy produkcjach drugo- lub trzeciorzędowych, mama śpiewała w najlepszych operach, dlatego przecież przeprowadziliśmy się do Berlina – to ona swoją pracą zarabiała prawdziwe pieniądze.

Przedtem tego wszystkiego nie rozumiałem. Odczuwałem jedynie magię, która przenikała przez zamknięte drzwi pracowni, kiedy rozbrzmiewała jego muzyka. Miałem ją za coś maksymalnie wielkiego, a jego samego za mistrza, bo ją tworzył. Teraz widziałem na twarzy ojca zmarszczki, widziałem zaszczucie czające się czasem w jego wzroku. Byłem świadkiem tego, ile godzin dziennie nie spędzał przy swoim biurku, bo nie mógł komponować. Byłem świadkiem tego, jak opowiadał mamie o trudnościach z bieżącym zleceniem, jak jeździł do miasta, by spotkać się ze swymi mocodawcami, i jak po paru godzinach wracał, przybity. I zauważyłem, jaki nieufny się stał w stosunku do mnie.

– Sammy, wiem, że najwyraźniej nie mówisz o tym, co ci chodzi po głowie – powiedział pewnego popołudnia, kiedy spotkał mnie w ogrodzie. Stał przede mną, z zapadłymi policzkami, niemal zgięty, z podkrążonymi oczami, a jego długie palce tańczyły przed moją twarzą. – Ale w tym jednym punkcie chciałbym mieć absolutną jasność.

– Biorę tabletki, tato. Biorę je codziennie! – Nienawidziłem ich, ale je zażywałem. I zgodnie z ustaleniami odbywałem z Gabriellą sesje terapeutyczne.

– Nie to miałem na myśli. Chodzi mi o coś zupełnie innego. Żebyśmy się dobrze zrozumieli, słyszysz? Nie wolno ci z nikim mówić o tym, co tu zaszło. Czy to jasne? – Usiadł na oparciu ogrodowej ławki, przy której przystaliśmy. – Rozumiesz to, prawda? – W jego oczach żarzyły się dawne życzliwość i ufność, za którymi tak tęskniłem i które tak kochałem. – Jeśli się rozniesie, że była u nas policja, nigdy się od tego nie uwolnimy. Nie chcę, żebyś wspominał o tym nowym kolegom ze szkoły. Ani o tym, że przechodzisz terapię albo że musisz zażywać lekarstwa. Twoi koledzy, gdyby się dowiedzieli, nie przestaliby zadawać pytań. Zażywanie takiego leku to prawie jak stygmat. Lepiej o tym nie mówić. – Popatrzył na mnie z namysłem. – Wiesz, co to jest stygmat?

Nie wiedziałem.

– To rodzaj znaku. Gdyby się rozniosło, że musisz zażywać tego typu leki, ludzie już zawsze byłiby wobec ciebie nieufni. A co dopiero nauczyciele! Coś takiego wydawałoby się im

podejrzane. I my też wydalibyśmy się im podejrzani, mama i ja. I Linus. On za żadne skarby nie chce, by w klasie wiedzieli, co tu się działo.

Wyobrażałem to sobie.

– Mało tego. Wiesz, gdyby zrobiło się głośno o tym, że była u nas policja, że oglądała część naszego domu, nie wiem, czy to nie miałyby konsekwencji nawet dla mojej pracy.

Popatrzyłem na niego pytająco.

– Kto raz miał do czynienia z policją, nawet jeśli w niczym nie zawinił... coś takiego przykleja się do człowieka. Również do twojej mamy. Jak myślisz, czy opowiedziała w pracy o tych incydentach?

– Nie.

Skinął głową.

– Więc się rozumiemy?

– Tak, tato.

– Z Hannah i Linusem już rozmawiałem. Dla Hannah to też jest nadzwyczaj nieprzyjemne.

– Nic nie powiem, tato, naprawdę.

Popatrzył mi w oczy.

– Dobrze. – Podniósł się. – Mam nadzieję, że można na tobie polegać. – W jego głosie pobrzmiwało powątpiewanie.

Chociaż wiedziałem, że podjęto wszelkie starania, by zatuszować całą sprawę, dobitność, z jaką ojciec nakazał mi milczeć, jednak mnie zaskoczyła. Może powinienem zareagować bardziej przekornie, krnąbrnie, opornie. Ale wydarzenia te dziwnie mnie wycieńczyły. A może to nagłe zmęczenie było winą tabletek, które musiałem zażywać?

Cokolwiek było prawdziwym tego powodem, po rozmowie z ojcem tylko bardziej zamknąłem się w sobie. Wszystko się zmieniło po tym, jak wybiegłem na ulicę. Nic nie było już oczywiste, wszystko stało się skomplikowane, wyczerpujące, uciążliwe. Wycofałem się. Miałem też wrażenie, że pozostali członkowie rodziny, Linus i Hannah, z pewnością i mój ojciec, a może i mama, byli z tego całkiem zadowoleni. Czuli ulgę, że nie muszą cały czas się zastanawiać, w jaki sposób mnie traktować, nawet jeśli nie chcieli mi tego okazywać. „Czy jego stan się nie pogarsza? Czy on knuje właśnie coś nowego? Czy źle z nim?”. Tak właśnie zdawali się myśleć, ilekroć byłem z nimi w tym samym pomieszczeniu. Nie mogłem tego znieść. Dlatego się wycofałem. I zacząłem trenować. Czyż nie musiałem mieć się na baczności, po tym, co zaszło?

Ojciec zachowywał się tak, jakby mi współczuł. Ale czy to nie była kompletna maskarada? Musiałem być silny, musiałem wyrobić sobie mięśnie! Miałem dopiero jedenaście lat, ale byłem nieźle zbudowany – chudy, jednak wiedziałem, że moje mięśnie są twarde. Wyczuwałem je, kiedy biegałem po trawniku albo pokonywałem basen kraulem. Wyczuwałem je, kiedy kopałem w ogrodzie dołek, w miejscu, w którym nikt go nie zauważy.

Oczywiście chęć stawienia czoła ojcu, gdyby naprawdę zechciał mnie uderzyć albo zastosować wobec mnie przemoc, była bezcelowa. Ale czy nie musiał nienawidzić mnie za wszystko to, co mu zrobiłem? Wołałem zadbać o swoją kondycję fizyczną. Biegałem po okolicy, rąbałem drewno i spędzałem wiele godzin na podnoszeniu ciężarków, które znalazłem na poddaszu.

Sukcesy nie kazały długo na siebie czekać. Już niebawem było tak, że stawałem się niespokojny i nie w sosie, jeśli nie zaliczyłem codziennej porcji ćwiczeń. Odbywałem długie wycieczki rowerowe, pochłaniałem z apetytem kilka porcji przy każdym posiłku i postawiłem sobie za cel wspiąć się na każde drzewo w ogrodzie, które się do tego nadawało.

Właśnie podczas jednej z tych wspinaczek na posesji zobaczyłem ją po raz pierwszy. Tuż

obok starego garażu, który stał przy tylnej granicy działki, rósł potężny kasztanowiec, którego do tej pory nie udało mi się pokonać, bo bez pomocy nie mogłem dotrzeć do najniższych gałęzi. Ponieważ jednak jakiś czas temu udało mi się wspiąć na wszystkie inne drzewa w ogrodzie, pewnego wietrznego, ale słonecznego popołudnia postanowiłem, że wezmę z garażu chwiejną składaną drabinkę, by za jej pomocą pokonać trudną odległość od dolnych gałęzi.

To nie Yoki zobaczyłem, kiedy dotarłem do konaru, ale dziewczynę w białym kostiumie kąpielowym, która nie mogła być starsza ode mnie. Dziewczynę o mokrych włosach, opalonych ramionach i nogach, i zadumanej twarzy. Dziewczynę, która przeskakiwała przez zraszacz po drugiej stronie muru, ponad którym mogłem spoglądać z gałęzi i który oddzielał naszą działkę od sąsiedniej. Dziewczynę, którą, jak byłem całkowicie pewien, wielokrotnie słyszałem zza muru, ale jeszcze nigdy nie widziałem. A u jej boku – ogromnego doga o błyszczącej, czarnej sierści i poważnym spojrzeniu, którego spotkałem w tunelu na początku wakacji.

Oczywiście znałem już domy i należące do nich ogrody oraz mieszkańców po obu stronach naszej działki, ale na ogród, który znajdował się na tyłach i był zasłonięty murem, nie zwracałem dotąd uwagi. Również dom nie rzucił mi się do tej pory w oczy. Przez liście kasztanowca widziałem go tylko częściowo, mimo to zdołałem rozpoznać, że musiał być zbudowany wiele lat później niż nasz. Zamiast zaczarowanej willi z wykuszami i wieżyczkami, stał niczym nieozdobiony klocek z płaskim dachem i niemal kwadratowymi oknami.

Jakkolwiek niepozorne wrażenie sprawiał dom, dziewczyna, przeskakująca przez nieustannie obracający się strumień zraszacza, mnie zafascynowała. Ze swymi mokrymi włosami, ładnie skrojonym kostiumem kąpielowym i życzliwą twarzą wyglądała jak marzenie, które właśnie się ziszcilo.

*Tuż obok! W moim wieku!*

Wyglądała sympatycznie. Z miejsca poczułem do niej pociąg. Nie tylko dlatego że od paru tygodni praktycznie nie miałem styczności z nikim w swoim wieku. Ale dlatego, a to zdawało się ważyć dużo więcej, że najprawdopodobniej była zdana na samotne zabawy w swoim ogrodzie, zupełnie tak jak ja. Czy nie musiała się nudzić? Wiedziałem przecież, jak monotonne jest skakanie przez zraszacz. Przyjemna ochłoda, ale ile razy można to powtarzać, nie tęskniąc z całego serca za odrobiną odmiany?

I nagle mnie oświeciło. Od gałęzi, na której siedziałem, do muru dzielącego nasze posesje było nie więcej niż dwa metry. Zacząłem ostrożnie przesuwając się do przodu. Gałąź ugięła się podejrzanie, ale wytrzymała. Zaraz potem znalazłem się nad murem, obiema rękami obejmując gałąź, na której wciąż siedziałem, i zacząłem się zsuwać, aż dotknąłem sandałami ogrodzenia. Zerknąłem ukradkiem na sąsiednią działkę. Dziewczyna stała obok zraszacza – z rękami zwieszonymi po bokach i twarzą zwróconą w moją stronę. Zauważyła mnie. Ostrożnie puściłem jedną ręką konar i pomachałem jej lekko, nie mówiąc słowa. Odwzajemniła pozdrowienie tym samym gestem.

– Jak się wabi? – zawołałem, kiwając głową w stronę doga, który podniósł się i również patrzył na mnie do góry.

– Devil? – Dziewczyna zaintonowała to tak, jakby zadawała pytanie. *Devil*. Pasowało, bo pies był czarny jak diabeł.

Przeczesałem umysł w poszukiwaniu innego pytania.

– Nie macie basenu? – wykrztusiłem w końcu i w tym samym momencie rozżłościłem się na siebie, niepewny, czy zabrzmiało to grzecznie.

Zaraz zobaczyłem jednak, że dziewczyna kręci głową, a na jej twarzy wykwitła nieśmiały uśmiech.

– Jeśli chcesz, możesz przyjść się wykąpać do nas. – Uśmiechnąłem się szeroko.



Od wzajemniła uśmiech.

Marina. Nazywała się Marina. Marina Kaplan. Odtąd widywaliśmy się częściej.

Wówczas nie wiedziałem jeszcze – dowiedziałem się o tym dopiero parę lat po opuszczeniu willi – że pierwotnie posesje Mariny i mojej rodziny były ze sobą połączone, a po stronie Mariny również stała willa, taka jak nasza. Pewien zaprzyjaźniony lekarz, któremu opowiedziałem o wydarzeniach tamtego lata w Berlinie i który sam miał krewnych w tym mieście, pokazał mi plany budowlane całej nieruchomości. W dziewiętnastym wieku na obu posesjach wzniesiono dwie bliźniacze budowle, ale dom po przeciwnej stronie został zniszczony przez bombę podczas drugiej wojny światowej. W latach pięćdziesiątych rozebrano ruiny pozostałe po willi i w jej miejsce postawiono zwyczajny prostopadłoscian – ten, w którym mieszkała Marina wraz z rodziną. Ojciec dziewczyny pracował we władzach miejskich, a mama zajmowała się Mariną i jej trzema starszymi siostrami.

O tym wszystkim dowiedziałem się jednak później. Marina przysłała do nas zaraz tamtego dnia, kiedy poznaliśmy się przy murze. Całe popołudnie spędziliśmy w słońcu na naszym basenie.

Nazajutrz przypomniałem sobie o dyktafonie, który dostałem od ojca, i o tym, że chciałem porobić jeszcze parę nagrań. Zapytałem Marinę, czy nie miałaby ochoty mi towarzyszyć, i zaczęliśmy nagrywać rozmaite odgłosy. Dźwięki, jakie wydawał z siebie Devil, kiedy się drapał albo jadł, odgłosy powstające przy skakaniu przez zraszacz, przy bieganiu boso po trawie albo wspinacze na drzewo. A na koniec nagraliśmy nasze głosy.

Byłem szczęśliwy. Dziewczyny, które znałem, czasami dziwnie zmieniały głos, siliły się na wesołość i zdawały się bez przerwy podrygiwać. Marina była inna. Sprawiała wrażenie naturalnej. Kiedy coś mówiła, nie trzeba było zgadywać ukrytego sensu, bo miała na myśli dokładnie to, co znaczyły jej słowa. „Pójdziemy jeszcze raz się wykąpać?” nie znaczyło, że się nudziła, że byłem głupi, że powinienem coś wymyślić, znaczyło po prostu, że miała ochotę przyjść do nas, żeby wykąpać się w basenie. I tak zrobiliśmy. I było wspaniale!

– Można się tam wdrapać?

To było trzeciego lub czwartego dnia od naszego pierwszego spotkania. Staliśmy na wielkich kamiennych płytach naszego słonecznego tarasu przy sadzawce i spoglądaliśmy w górę – na dach altanki, przy której wyciągała ku niebu swe czerwone liście japońska wiśnia. Mama wyjaśniła mi kiedyś, że projektant ogrodu zaplanował trasę spacerową po posesji, biegnącą przez poszczególne atrakcyjne punkty – do ogrodu różanego, do platformy widokowej przy zachodniej granicy działki, ku sadzawce i na mały drewniany taras po jej drugiej stronie, gdzie stała drewniana altanka. Stąd widać było przeświecającą przez liście willę na drugim krańcu posesji, oddaloną jednak na tyle, by nikt nie przeszkadzał nam w rozmowie.

Chyba ja zadałem to pytanie. A na myśli miałem dach altanki. Musiał się stamtąd roztaczać wspaniały widok na ogród i okolicę. Marina stała obok mnie i sceptycznie przyglądała się belkom, na których spoczywał dach.

Altana była wykonana z masywnego drewna, na jej tylnej ścianie, na poły zarośniętej bluszczem, zawieszono włoskie oplatane butelki, a na kamiennych płytach ustawiono stare meble ogrodowe. Dla dorosłego mężczyzny wspięcie się na niemal płaski dach z pewnością nie byłoby większym problemem, ale Marina i ja byliśmy dużo mniejsi, wątpilem więc, czy nam się uda. Zaparłem się jednak o drewniany słupek i splotłem dłonie, żeby mogła na nich stanąć. Złapała mnie za szyję, a ja wypchnąłem ją do góry, dzięki czemu mogła dosięgnąć krawędzi dachu pokrytego papą. Ale nie zdołała wciągnąć się o własnych siłach. Dopiero kiedy ja

zaryzykowałem, by z jej pomocą podciągnąć się po starym przewodzie elektrycznym, który zasilał lampę w altance, udało mi się dźwignąć na dach, spuścić rękę i pomóc Marinie wejść.

Ciężko dysząc, leżeliśmy pod gałęziami ozdobnej wiśni na starych liściach, które od lat zbierały się na dachu, i mrużyliśmy oczy, wpatrując się w letnie niebo. Legowisko na strychu było moją tajemną kryjówką, ale miejsce na dachu altany było idealne dla nas obojga. Mieliśmy widok na całą posesję, mogliśmy stąd zaglądać nawet do ogrodu rodziców Mariny, a jednocześnie, jeśli położyliśmy się płasko na dachu, pozostawaliśmy niewidoczni. Był to kącik, z którego oba nasze ogrody wyglądały niemal jak królestwa.

– Moja mama mówi, że była u was niedawno policja.

Ani drgnąłem. Przez chwilę myślałem, by udać, że nie słyszałem. Nikt nie mógł się dowiedzieć. Funkcjonariusze byli dyskretni, a rodzice, o ile wiedziałem, nie rozmawiali o tym z nikim z sąsiedztwa. Ale zdaje się, że zajście nie pozostało niezauważone.

– Skąd twoja mama o tym wie? – spytałem w końcu, nie odrywając wzroku od białych obłoczków na niebie.

Marina oparła głowę na prawym ramieniu i popatrzyła na mnie.

– Nie pytałam ją o to. A to prawda?

*Nie?* Miałem powiedzieć, że nie i ją okłamać? Lubilem ją, ufałem jej. Byłem szczęśliwy, że ją znalazłem.

– Tak, ale nie wolno mi o tym mówić.

W milczeniu trawiła to, co usłyszała.

– Nic wielkiego się nie stało – dodałem. – Tylko coś obejrżeli i zaraz odjechali.

Położyła swoją małą dłoń między nami.

– Ale dlaczego u was byli?

Oczywiście, że chciała wiedzieć. Czy to nie byłoby dziwne, gdyby nie chciała? Zamiast udzielić odpowiedzi, obróciłem się na brzuch i popatrzyłem na nasz ogród.

– Jeśli nie wolno ci o tym mówić, to w porządku, Sammy.

– Musimy przynieść tu sobie coś do picia. I może karty do gry – zauważyłem.

– Tak. – Uśmiechnęła się.

– Wybiegłem na ulicę – mruknąłem po chwili – i odstawiłem cyrk. Dlatego przyjechała policja. Mama powiedziała ci i o tym?

Pokręciła głową, teraz już całkiem poważna i skupiona.

– Próbowałem rozmawiać o tym z rodzicami, z bratem, ale... jakoś nie było to możliwe.

Aż w końcu nie wytrzymałem.

Zobaczyłem, jak jej dłoń przesuwają się po powierzchni dachu i chwytają moją. Ścisnąłem jej palce i nie puściłem. Nie pamiętałem, bym kiedykolwiek trzymał czyjąś rękę – inną niż ręka mamy, ojca, Hannah albo brata. Jasne, w szkole musieliśmy czasem brać się za ręce. Ale tak po prostu, bez polecenia dorosłego?

To było ekscytujące, a jednocześnie napełniało mnie przyjemnym spokojem. Miałem uczucie, że nie muszę zaraz odchodzić, jakby Marina zatrzymywała mnie odrobinę przy sobie. Nasze splecione ręce leżały między nami. Przetoczyłem się na bok.

– Moi rodzice nie chcą, żebym o tym mówił – mruknąłem – ale mnie nieustannie chodzi to po głowie.

– Co?

– To, co widziałem. Dlatego zatrzymałem na ulicy samochód... Jeśli ci o tym opowiem, powtórzysz swojej mamie? – Zerknąłem na Marinę z ukosa. Jeśli nie opowiedziałaby o tym nikomu, sprawa pozostałaby między nami. W jej oczach zauważyłem jednak strach. – Nieważne – wycofałem się.

Puściła moją rękę, położyła się na brzuchu i popatrzyła z dachu w dół.

– Zawsze mówię o wszystkim mamie.

– O wszystkim *wszystkim*?

– No...

– A czy o czymś jej nie powiedziałaś?

– O tym dachu. Nie wiem, czy jej powiem. Jeszcze mi zabroni tu wchodzić.

Odczekałem, czy jeszcze coś doda, a kiedy milczała, podjąłem:

– Próbowałem rozmawiać o tym z bratem, z Hannah... Ale zawsze, kiedy zaczynałem, miałem wrażenie, że się wykręcają, jakby nie chcieli mieć z tym nic wspólnego. Widzisz, z tobą teraz jest tak samo. – Wypuściłem powietrze z płuc.

Marina położyła głowę na swojej prawej, wyciągniętej ręce.

– Nie musisz mi o niczym mówić, jeśli nie chcesz.

Ależ chciałem! Chciałem wreszcie z kimś o tym porozmawiać.

– Nie mogę. Jeśli moi rodzice się dowiedzą, że powiedziałaś o tym mamie albo komuś innemu...

– To naprawdę coś tak strasznego?

Poczułem, jak zgroza ścina mi twarz.

„DADDY, NOOOOO!”.

– Od tamtej pory muszę łykać pigułki.

Patrzyła na mnie wielkimi oczami.

– Bo mi nie wierzą. – Mój głos stał się nagle chrapliwy. Słowa ślizgały się przez moją krtań jak wyszczerbione, stare ostrza. – Ale nie możesz powiedzieć o tym mamie ani tacie, nikomu, rozumiesz?

Marina wyprostowała się nieco i niepewnie skinęła głową. Jej ładna, miła twarz spoważniała w napięciu.

– Widziałem coś, ale nikt mi nie wierzy. A kiedy przyjechała policja, też nic nie znalazła. Dlatego muszę teraz brać tabletki, bo mówią... że znikowałem. Widziałem coś, a teraz muszę łykać pigułki. – Wychyliłem się w jej stronę, prawie czułem jej ciepło. – Ale to nic nie zmienia w tym, że...

Urwałem. Że ją widziałem. *Że widziałem Yoki*, chciałem powiedzieć, ale tego słonecznego dnia, u boku tej dziewczyny, wydało mi się to tak nierzeczywiste, że się zawahałem.

– Co takiego widziałeś, Sammy? – wyszeptwała. Jej usta poruszały się tuż przy mojej twarzy.

– Zachowasz to dla siebie? Nikomu nie powiesz?

Skinęła głową.

– Widziałem – ja też zniżyłem głos do szeptu – widziałem dziewczynę. Trochę starszą od nas. Miała czarne włosy i migdałowe oczy, Chinka albo coś w tym stylu, w piwnicy, znaczy w jednym z pomieszczeń na dole. Jak się pójdzie do tamtej budki – wskazałem na komórkę, której dach widać było kawałek dalej, nieopodal ogrodu różanego – i zejdziesz na dół takim szybem, wejdzie się do tunelu i z tego tunelu odchodzi to pomieszczenie. Tam ją widziałem. I rozmawiałem z nią. – Mój głos załamywał się i podnosił, choć bardzo się starałem go poskromić. Ale obraz Yoki był coraz bardziej wyraźny. – Miała w celi pryczę, regał... – *...a za nią była czerwona gumowa kotara*. – Nie mogłem dostać się do niej, do środka, widziałem ją tylko przez wizjer. A potem, kiedy wróciłem tam dwa dni później, pomieszczenie było puste. Zniknęła.

Marina wciąż patrzyła szeroko rozwartymi oczami. Zdawała się ledwie oddychać.

– Widziałem ją całkiem wyraźnie i... – *Widziałem ojca, widziałem z nią mojego ojca*,

przemknęło mi przez głowę, ale... Znałem Marinę dopiero od paru dni, a jednak... Nie czułem tego? Ojciec zachowywał się wobec mnie nieufnie. Czy nie powinienem się mieć przed nim na baczności? – Myślę, że mój ojciec ją tam uwięził. – Przytknąłem rękę do ucha Mariny. Niemal dotykałem ustami jej małżowiny, gdy szepnąłem: – Dlatego bałem się o tym mówić. On... ja się go boję.

Odsunąłem się odrobinę, chcąc zobaczyć, jak przyjęła moje słowa. Na jej twarzy malowało się poruszenie.

– Naprawdę myślisz, że twój ojciec...?

Skinąłem głową.

– Ale policja niczego nie znalazła. A teraz muszę łykać pigułki, a mój ojciec zachowuje się, jakby nic się nie stało. – Byłem tak poruszony rozmową o tym, że bałem się, iż spadnę z altany. Nogi miałem jak z waty. Nie było mowy o tym, żebym teraz zszedł z dachu. – Nikt mi nie wierzy. – Czułem w gardle łomotanie serca. Nagle spojrzałem jej w twarz. – A ty mi wierzysz?

Drgnęła. Widziałem, jak jej drobne palce się zwinęły. Minęła mnie spojrzeniem.

– Wierzysz mi, Marino?

– Widziałeś ją, tę dziewczynę, tak?

– Tak, widziałem ją, tak jak teraz widzę ciebie.

Pochyliła się i objęła mnie za szyję. Czułem bicie jej serca, kiedy przytuliła się do mnie na moment.

– Ale nikomu nie możesz o tym mówić! – Trzymałem ją mocno.

– Boję się, Sammy – wyszeptała do mego ucha. – Proszę, nie mów już o tym.

– To niemożliwe! Jasne, że nie! Co za wariactwo! – Zagłębiłem ręce we włosy. – To... musiało mi się przywidzieć! – Podniosłem wzrok, napotykając niebieskozielone oczy Mariny.

Minęło parę dni, odkąd na dachu altany rozmawialiśmy o moich przeżyciach. Jednak zupełnie jakby ta rozmowa w dziwny sposób zmaćla moje wspomnienia, to, o czym jej opowiedziałem, wydawało mi się coraz bardziej niepojęte, im dłużej nad tym myślałem. A może wreszcie zaczęły działać lekarstwa? Leczyły moje rozkojarzenie, w którym trwałem do tej pory? Może tabletki rozwiewały woal, który przedtem kazał mi widzieć rzeczy, których nie było?

– Tak jak ten chłopiec, Philipp. Syn poprzedniego właściciela! – O nim też opowiedziałem Marinie. – Widziałem go, tak jak ciebie teraz. Tylko że z jego ust wypełzały robaki...

Marina wykrzywiła twarz. Sięgnęła po tkwiący pośród traw kamyk i wrzuciła go do sadzawki, na której brzegu siedzieliśmy. Mój wzrok powędrował obok niej i spoczął na dogu, który leżał za Mariną. Devil. Zwykle przychodziła sama, ale dziś przyprowadziła ze sobą psa.

– Wasz dog, Devil. – Skinąłem głową w kierunku zwierzęcia, patrząc, jak zwraca ku mnie łeb i nadstawia uszu. – Jego też raz widziałem w podziemiach. Na samym początku, parę dni po tym, jak się tu sprowadziliśmy.

– Tak, mój tata też to mówi – odpowiedź padła jednocześnie z pluśnięciem kolejnego kamyka, który Marina wrzuciła do wody.

Kropla wystrzeliła w powietrze i spadała. Po tafli rozniosły się małe, koncentryczne fale.

– Co mówi twój tata?

– Że Devil czasem łązi po starym schronie.

– Naprawdę?

Przytaknęła.

– Nie lubi, jak Devil się wałęsa, ale uważa, że nie może trzymać go dzień i noc w zamknięciu. – Położyła rękę na karku czarnego doga i podrapała go. – Nie możesz jednak mylić tych rzeczy, Sammy. Devila widziałeś, chłopca i robaków nie. Dogi kręcące się po korytarzach istnieją, chłopcy powstający z grobów nie. – Zrobiła przerwę i popatrzyła na mnie. – Ale dziewczynki więzione w piwnicach też istnieją. W Ameryce czy Austrii znajdują je bez przerwy. Są trzymane przez mężczyzn, miesiącami, czasem latami. Ciągłe się o tym słyszy.

– Wiem. – Dłubałem suchym patykiem w trawie. – Dlatego prawdopodobnie to sobie uroiłem. Bo znam te historie...

– Pomyśl chwilę – przerwała mi. – Niektóre z tych dziewczyn są więzione po dziesięć lat, ale tylko co dwa lata którąś znajdują. Wyobrażasz sobie, ile z nich siedzi zamkniętych w jakimś pomieszczeniu, o którym nikt nie wie, i zostanie znalezionych dopiero za parę miesięcy albo lat? – Popatrzyła na mnie błyszczącymi oczami. – Może wołają o pomoc właśnie w tym momencie? To nie są urojenia, to się dzieje. Tylko najpierw trzeba je odnaleźć. Te wszystkie zaginione dziewczęta, których ciała nigdy nie zostają odnalezione. Jak myślisz, gdzie są? Wiele z nich zostaje uśmierconych i zakopanych. Ale nie wszystkie. Tak myślę. Parę jeszcze żyje gdzieś na świecie. Teraz, w tej chwili. Tylko nikt nie wie gdzie. Nikt poza tymi, którzy je uwięzili.

– Ale przecież nie mój ojciec – wydusiłem chrapliwie. – Nie tu, nie w środku miasta – zniżyłem głos. Jeśli dalej będę mówił tak donośnie, usłyszą mnie w domu.

– Widziałeś tę dziewczynę czy nie?

– Tak. Ja... ja... Tak, widziałem ją, ale było ciemno...

– Nie możesz ustąpić, Sammy. – Podwinęła nogi i objęła kolana. – *My nie możemy ustąpić.*

Jak ślepy wodziłem wzrokiem po trawniku i sadzawce.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Musisz porozmawiać z twoją mamą.

– Ale przecież już rozmawiałem!

– Musisz porozmawiać z nią jeszcze raz, bez wzburzenia, na spokojnie...

– Po co? – przerwałem jej. – Przecież byli tu ludzie z policji, rozglądali się. Nic nie znaleźli. Prawdopodobnie dlatego że rzeczywiście byłem... jak się wyrazili... z lekka wyczerpany. Przeprowadzką, długimi upalnymi samotnymi dniami w tym domu, sam nie wiem czym! Może taki już się urodziłem!

Marina potrząsnęła głową.

– Co mam jeszcze zrobić?! – zaciętrzewiłem się. – Jeśli zacznę od nowa... mój ojciec i mama tylko będą smutni i stwierdzą, że terapia nie działa. I może znów zaczną mówić o tym – schowałem głowę w ramionach – żeby mnie stąd odesłać. Oznajmią, że nie wiedzą już, co robić...

– Ale twój ojciec przecież wie, że to nie twoja wina. – Popatrzyła na mnie uważnie. – Wie, że nie wymyśliłeś sobie tego wszystkiego.

Zawahałem się.

– Tak, jeśli to prawda, jeśli on rzeczywiście...

– Jasne, te przypadki w Ameryce... to byli dziwni faceci uwikłani w te sprawy, ale ten Austriak był zupełnie normalnym człowiekiem, miał rodzinę, ładny dom, sąsiedzi go lubili... Tylko w piwnicy, w ukrytych pomieszczeniach, trzymał dziewczyny...

Poczułem, jak owiewa mnie zimny podmuch.

– Co ty w ogóle wiesz o swoim ojcu, Sammy?

*Wiem, że stał na wprost mnie z motyką w ręku.*

– Oczywiście chce, żebyś sądził, że wszystko to sobie uroiłeś. Naturalnie chce, żebyś brał tabletki, żeby cię skołować do reszty. Ja bym się tak prędko nie poddawała. Jak myślisz, co zrobi następnym razem? – Z troską omiotła wzrokiem moją twarz. – Musisz uważać, Sammy. Wiem, może najlepiej byłoby, gdybyś uwierzył, że się myliłeś. Ale jeśli to, co mówisz, to prawda, a myślę, że tak jest, to on cię obserwuje, kiedy tego nie widzisz, i myśli sobie „Sammy wie, Sammy ją widział”. Musisz się strzec.

– Ale mój ojciec nigdy by mi nic nie zrobił!

*Motyka, on ją trzymał w ręku tak tylko!*

– Jesteś pewien?

– Ależ tak!

Patrzyła na mnie, sceptyczna, nieprzekonana. Potem się odwróciła i wrzuciła kolejny kamyk do stawu.

– Uważacie, że mnie to nie interesuje, tylko dlatego że nie gram na żadnym instrumencie, tylko dlatego że nie wyszło z grą na pianinie. Ale to nieprawda! Mnie bardzo interesuje, czym zajmuje się tata. – Podciągnąłem obiema rękami kołdrę aż po brodę. W telewizji leciały jeszcze napisy kreskówki, którą razem z mamą oglądaliśmy w łóżku rodziców. – Chcę wiedzieć wszystko o tacie! Pewnie nie jestem taki muzykalny jak wy, ale może jeszcze się nauczę na czymś grać!

Obróciłem głowę, tak by móc ją widzieć. Mama jeszcze nie przebrała się w koszulę nocną, tylko leżała obok mnie w ubraniu.

– Ależ oczywiście, Sammy, tylko to nie musi się odbywać wszystko na raz. Gabriella

mówi, że najpierw powinieneś się zaaklimatyzować w Berlinie...

– *Gabriella* mówi? – Popatrzyłem na nią poruszony. – A co ty mówisz, mamó?

Przetarła oczy dłońmi.

– Ja też, Sammy, ja też.

*Ja też – co?*

Przywarłem do niej.

– Kiedy ty masz spektakl, mamó – drążyłem – to go oglądamy. Ale kiedy tata – wcisnąłem obie pięści pod brodę i wbiłem jej głowę pod ramię, tak że sam ledwie się słyszałem – udźwiękawia jeden ze swych filmów, to nie możemy go obejrzeć. Nie ma premiery, nie ma braw, są tylko zamknięte twarze i drzwi! – Wyswobodziłem głowę spod jej ramienia i położyłem na jej brzuchu. Nie musiałem na nią patrzeć, a jednak byłem całkiem blisko i mogłem mówić dalej: – Dlaczego z nim jest inaczej niż z tobą?

– Nie zawsze tak było. – Usłyszałem jej odpowiedź. – Twój tata dawniej też pracował dla dużych producentów, ale potem...

– Potem?

– Nie zawsze wszystko jest takie proste, Sammy. – Poruszyła się pode mną, zapewne żeby zerknąć na zegarek. – No już, do łóżka. Uzgodniliśmy przecież: jeden film, a potem spać.

Ale ja nie chciałem dać się spławić. Ojciec był na dole, w swojej pracowni, Linus nie chciał oglądać kreskówki. To był dobry moment na rozmowę.

– Co potem było z tatą?

– Naprawdę nie wiem, czy powinniśmy teraz o tym mówić.

Wyprostowałem się i odwróciłem do niej.

– Dlaczego nie?

– Po tym wszystkim, co się stało? Pozwól, że najpierw porozmawiam z *Gabriellą*...

– Przestań już z tą *Gabriellą*! No, mamó!

Popatrzyła na mnie natarczywie.

– On... Poznałam tatę na Akademii Muzycznej...

– Przecież wiem!

– Był... Wszyscy myśleli, że komponuje przepiękną muzykę... ale już wtedy... wiesz, taka piękna muzyka, ona nie przychodzi znikąd, słyszą ją w sobie niezwykli ludzie. I ci ludzie muszą czasem... – zastanowiła się – walczyć ze swymi demonami, wiesz? Tak to można chyba wyrazić. Także twój ojciec.

Znowu położyłem się na jej brzuchu.

– Zakochałam się w nim od razu... Nigdy tego nie żałowałam, ale...

Skuliłem się nieco. *Ale?* Miałem wrażenie, że byłem o krok od usłyszenia czegoś, czego jeszcze nie wiedziałem.

– To było niecałe dwanaście miesięcy od naszego pierwszego spotkania – ciągnęła. – Wtedy oboje byliśmy jeszcze na akademii... Ale potem już go tam nie chcieli. Wyrzucili go.

– Po czym? Po tym, jak się w nim zakochałaś? – O tym jeszcze mi nie opowiadali.

– Nie, nie... – Poczułem, jak nieco zmienia pozycję. – Nie chcę teraz o tym mówić, chcę tylko powiedzieć, że potem, kiedy musiał odejść z akademii, nie miał łatwo. Domy koncertowe, wielcy zleceniodawcy... był jeszcze młody, ale oni trzymali się od niego z daleka. Tak czasami bywa. Kiedy już coś pójdzie nie tak, nie jest łatwo zatrzymać tę tendencję. – Ledwie za nią nadążałem. – W każdym razie zaczął wtedy komponować muzykę do filmów. Ale nigdy nie udało mu się załapać na duże filmy z Hollywood. Pracuje raczej przy niewielkich produkcjach, jak wiesz, które ukazują się tylko na wideo. Kiedy słucham tej muzyki... – wypuściła powietrze z płuc – czasami rozpoznaję w niej to, co czyniło jego pierwsze kompozycje tak przekonującymi.



– Po czym, mamó? Po czym odesłali go z akademii?  
– Nie byliśmy jeszcze wtedy parą, znaliśmy się tylko z kafeterii i z niektórych wykładów...  
– *Po czym, mamó?* – Objąłem ją.  
– Mówiło się, że... napastował... jedną studentkę.  
Tkwiłem w całkowitej ciszy.  
Ale mama nie mówiła dalej.  
– Jak napastował, mamó?  
Poczułem, jak chwyta mnie za ręce i odsuwa od siebie.  
– Naprawdę, Sammy, ja... porozmawiamy o tym, jak będziesz troszkę starszy.  
– Ale...  
– Zapomnij o tym, dobrze? – Mierzyła mnie zmęczonym wzrokiem. – Zapomnij o tym, co ci powiedziałam.

*Napastował... napastował... napastował...*

– Twój ojciec, Sammy, nosi w sobie cudowną muzykę. Musimy mu wybaczyć niektóre rzeczy.

*Także to, że więził dziewczynkę?*

– On... czasem popada w kryzys, w depresję, z której, wydawałoby się, nie można wyjść. Są w nim siły, które go porywają ze sobą, i którym się poddaje, bo to są te same siły, które w innych momentach podszeptują mu jego muzykę. – Wciąż na mnie patrzyła. – Wiem, że trudno jest ci to wszystko zrozumieć...

– Umarła? – wyszeptalem. – Po tym, ta studentka?

Twarz mamy się spięła.

– Nie! Oczywiście, że nie! Skąd ci to przyszło do głowy?

– Ja... pomyślałem tak, bo nie chciałaś mi powiedzieć.

Ze złością wstała z łóżka.

– Nie, to nonsens. Ale nie pozwolono mu zostać na akademii. Rozniosło się, a domy koncertowe, ludzie, którzy dają zlecenia na koncerty fortepianowe, na muzykę kameralną... – stała obok łóżka i patrzyła na mnie – postawili na nim krzyżyk. Tak po prostu postawili krzyżyk na twoim ojcu, który już na akademii naprawdę był wielce obiecującym kompozytorem.

Usiadłem po turecku na kołdrze, objąwszy dłońmi gołe stopy wyglądające z nogawek piżamy.

– Kochałem go pomimo to. W tym czasie zbliżyliśmy się do siebie, potrzebował mnie, ale nie było łatwo.

– Napastował ją?

Mama skinęła głową.

– Tak twierdziła, owszem.

– Ale to wcale nie była prawda?

Widziałem, jak toczy ze sobą walkę.

– Ja... nie sądzę, Sammy. Ale nie wiem tego.

*Nie wiesz.*

– Naturalnie też zadawałam sobie to pytanie. Czy w tych zarzutach jest odrobina prawdy? Początkowo byłam nieufna, tak naprawdę przecież go nie znałam. Ale im lepiej go poznawałam, im więcej czasu mijało, tym bardziej byłam pewna, że jest dobrym człowiekiem. To prawda, ma w sobie otchłań, przerażającą otchłań, inaczej nie mógłby komponować muzyki, którą tworzy. Ale nigdy mnie nie skrzywdził, jeśli o to ci chodzi. Mnie nigdy nie skrzywdził.

– Ciebie nie, ale ją może tak.

– Ją? Jak mówiłam, nie wiem tego. Nie wiem, czy ją skrzywdził. Ale ciebie, Sammy, ciebie raz skrzywdził. Nie pamiętasz?

– Mnie?

Popatrzyła na mnie z lekkim przestachem.

– Nie pamiętasz już, prawda? – Powoli z powrotem usiadła na łóżku, a ja ponownie się w nią wtuliłem.

– Czego, mamó? Czego nie pamiętam?

– Byłeś wtedy jeszcze całkiem malutki, miałeś zaledwie trzy latka. To było w jedną z tych niedziel, kiedy twój ojciec był wycieńczony po całonocnej pracy. Musiał dokończyć jeden utwór, a nie posuwał się dalej. Przez cały ranek słyszeliśmy, jak chodzi po pokoju, wściekły, jęczący... To było nie do zniesienia. A potem... może po prostu się o niego martwiłeś, pomimo że byłeś jeszcze taki mały. Kiedy na chwilę opuścił pracownię, żeby pójść do łazienki, wszedłeś do środka i zacząłeś grzebać w rozłożonych papierach. – Zatrzymała na mnie spojrzenie, jakby znów widziała we mnie trzylatka, którym wtedy byłem. – Musiałeś pomieszać mu notatki, Sammy, ale to oczywiście nie była twoja wina. Chciałeś mu pomóc. A on i tak tkwił w ślepej uliczce ze swoją kompozycją. Ale kiedy wrócił i zobaczył, że nuty leżą w nieładzie na podłodze... – Zasłoniła dłońmi twarz.

Ukląknęłam na materacu i objąłem ją.

– Nigdy nie zapomnę, jak krzyczałeś. Wpadłam do pokoju, ale było już za późno. Podniósł cię i trzymał przed sobą w powietrzu, potrząsał i... – Oderwała dłonie od twarzy i zobaczyłem jej zapłakane oczy. – Złamał ci przy tym żebro. Krzyczałeś. Musiało cię strasznie boleć. Odłamki... wbiły ci się we wnętrze... –

Było mi zimno. Kochałem ojca, zawsze go kochałem. Nie pamiętałem ani krztyny z tego, co właśnie opowiedziała mi mama.

Skrzyżowała ramiona na kolanach.

– Żałował... tak nieskończenie tego żałował... To go zmieniło, Sammy, możesz mi wierzyć. Jego muzyka... potem stała się jeszcze mroczniejsza. Dopiero potem naprawdę chcieli, by tworzył muzykę do ich filmów. Jakby to wydarzenie, to cierpienie, przez które przeszedł z winy swego ogromnego wstydu, że ci to uczynił, trzyletniemu malcowi, jakby dopiero ten wstyd pozwolił mu odnaleźć dźwięki, które chcieli mieć w swoich filmach.

*Złamał mi żebro.*

– Ale potem nigdy więcej nie tknął cię palcem.

To była prawda. W każdym razie nie pamiętałem, by kiedykolwiek mnie skrzywdził.

Ale...

– Niedawno tata uderzył Linusa...

– Jak to uderzył? – Drgnęła i popatrzyła na mnie.

– Parę dni temu. – *Przez Hannah*, pomyślałem, ale nie odważyłem się powiedzieć o tym mamie. Nie chciałem, żeby tego wieczoru przeze mnie rozpadła się cała nasza rodzina.

– Linus mi o tym nie mówił. – W jej spojrzenie wkradło się coś w rodzaju powątpiewania. Rozwścieczyło mnie to. Rozwścieczyło i dotknęło.

– Nie wierzysz mi? – Odwzajemniłem jej spojrzenie, z przekorą i rozczarowaniem.

– Powiedziałaś tylko, że Linus mi o tym...

– Już w ogóle mi nie wierzysz, prawda? Mogę sobie mówić, co chcę.

– Sammy, to nie tak...

– A właśnie że tak! – Zerwałem się, urażony, podbiegłem do drzwi i wypadłem na korytarz. I nagle wydało mi się, że znów go czuję, ten ból, który musiał mnie przeszywać, gdy odłamki złamanego żebra wbiły się w moje wnętrze.

Marina oczywiście chciała ją zobaczyć. Celę, w której znalazłem dziewczynkę. Pomieszczenie w schronie pod komórką w ogrodzie. Policjanci zostawili szybę i włącz tak jak były, więc bez trudu zeszliśmy do tuneli. Marina instynktownie wzięła mnie za rękę, kiedy szliśmy korytarzem prowadzącym do celi. W drugiej dłoni trzymałem dyktafon. Pod drzwiami Marina mnie puściła i weszła do środka. To się stało tak jakby samo. Udałem, że muszę ustawić coś na dyktafonie, i zostałem na korytarzu, podczas gdy ona oglądała celę. Nic nie wskazywało na to, że mieszkała tu jakaś dziewczyna. Jednak na drzwiach, które teraz były otwarte, z zewnątrz znajdował się żelazny rygiel.

I nagle poczułem to w koniuszkach palców. Jednym ruchem mogłem zamknąć Marinę tu na dole, w więzieniu. Ostrożnie domknąłem drzwi i nacisnąłem na rygiel.

– Sammy? – Jej głos, stłumiony i słaby.

Otworzyłem drzwi. Stała na środku pomieszczenia. Zwisająca z sufitu goła żarówka była zapalona. Popatrzyliśmy na siebie.

Czy to było to? Czy to tego chciałem? Zamknąć ją tutaj? Czy marzyłem o tym już od dawna – i dlatego wydawało mi się, że widziałem Yoki?

– Chcesz mnie uwięzić? – zapytała tak, jakby chciała wiedzieć, czy mam ochotę pójść popływać.

Tak, chcę – i nie, nie chcę, oczywiście, że nie. Myśli wędrowały w mojej głowie tak bezpiecznie, że nie byłem w stanie odpowiedzieć.

Łagodnie pchnęła drzwi od środka.

– Nie, Sammy. Proszę. – Popatrzyła na mnie z dołu. Zauważyła, że trzymam w ręku dyktafon. Spokojnie sięgnęła po urządzenie i wetknęła je z powrotem do kieszeni moich spodni, skąd je wyjąłem, kiedy szliśmy korytarzem. Poruszony, przytuliłem ją do siebie. Nigdy przedtem tego nie robiłem. Przez chwilę tak staliśmy, ona oparta o mnie, ja obejmując ją ramionami. W końcu odsunęła mnie i ruszyła tunelem.

– Teraz mi wierzysz?

Pobiegłem za nią.

– Zawsze ci wierzyłam.

To był pomysł Mariny, żebyśmy przemierzeli korytarze. Skoro zabrano stąd dziewczynę, to dokąd? Dokąd prowadził tunel? Czy było jeszcze inne wyjście?

Sztolnia sięgała niecałe dwieście metrów w głąb, jej koniec zagradzała kratka, której nie mogliśmy otworzyć. W sklepieniu było coś w rodzaju studzienki, a pod nią tunel trafiał na pionowy mur. Przez kratkę studzienki zdołaliśmy rozpoznać, że byliśmy na posesji, która znajdowała się zaledwie parę kroków od naszych domów. Działka od lat była niezabudowana i pleniły się na niej dzikie trawy i cierniste krzewy.

Zawróciliśmy i poszliśmy z powrotem, mijając drzwi, które prowadziły do piwnicy z wizjerem. Chwilę potem zrównaliśmy się ze świetlówką migoczącą na suficie.

– Chcesz zobaczyć kręgielnię?

Marina popatrzyła na mnie, jakby nie miała nastroju do zabawy.

– To właśnie pod nią spotkałem Devila – naciskałem, bo naprawdę miałem ochotę pokazać jej halę.

Głośno wypuściła powietrze z płuc.

– No dobra.

Wszystko wyglądało tak, jak ostatnim razem. Tory do bowlingu. Kule. Bar. I Elvis.

„Something in the way she moves”

...mu-uuu-huves...

Ledwie weszliśmy do środka, stanąłem za barem i włączyłem gramofon. Rozległy się dźwięki piosenki Elvise. Widziałem, że Marinie się podoba, ale też trochę się stracha. Nie chciała zagrać w bowling. Kiedy rzuciłem pierwszą kulę, a ta z łoskotem potoczyła się po gładko wypolerowanych deskach i z hukiem zbiła kręgle, Marina położyła mi rękę na ramieniu i poprosiła, żebym przestał. Może miała rację. Trochę tu było niesamowicie. Wysłuchaliśmy piosenki do końca, a potem wyłączyłem muzykę i wyszliśmy.

Kiedy dotarliśmy do żelaznych stopni i szybu prowadzącego do góry, rzuciło mi się w oczy, że po drugiej stronie tunel ciągnie się dalej. Przypomniałem sobie, że kiedy przyszedłem tu za ojcem, patrzyłem już w tamtym kierunku, do tej pory jednak nie zagłębiłem się dalej.

– Myślisz, że Devil przyszedł tą drogą? – Zerknąłem na Marinę. – Kiedy się przed nim cofałem, zniknął gdzieś tam.

– Zobaczmy. – Minęła mnie i ruszyła korytarzem. Już po paru krokach jej jasna sukienka stała się popielatym cieniem w ciemności.

– Zaczekaj!

Dogoniłem ją. Po chwili dotarliśmy do niskiej sztolni, która odchodziła od korytarza. Marina przykucnęła i zaświeciła latarką, którą mieliśmy ze sobą.

– Ta odnoga powinna prowadzić do naszej posesji. – Popatrzyła na mnie.

– W takim razie prawdopodobnie to jest droga Devila.

– Może. Ale dla nas jest tu za nisko. Chyba że masz ochotę czołgać się na kolanach?

Uśmiechnąłem się szeroko.

– Lepiej pójdźmy dalej tunelem.

Przytaknęła. Po paru krokach doszliśmy do prowadzących w górę schodów o gładkich stopniach.

– Wiesz, gdzie wyjdziemy? – Marina wskazała głową na drzwi na końcu schodów, które odbijały światło latarki.

– Nie mam pojęcia...

Weszła na górę i nacisnęła klamkę. Drzwi dały się otworzyć. Zajrzałem w szparę nad ramieniem Mariny. Moim oczom ukazał się kuchenny kredens, w którym piętrzyły się ściereczki do naczyń i bawełniane serwety. Znałem ten kredens.

Tunel zaprowadził nas do willi moich rodziców!

– To musi być na tyłach domu – wyszeptalem. – W skrzydle, w którym jest nasza kuchnia. – Podczas moich wędrówek po domu drzwi nigdy przedtem nie rzuciły mi się w oczy.

– Wracamy? – Marina popatrzyła na mnie niepewnie.

– Czekaj chwilę. – Prześliznąłem się obok niej i stanąłem w miejscu, gdzie kończyły się schody. Kiedy obejrzałem się za siebie, zauważyłem, że po tej stronie drzwi oklejone były tą samą tapetą, co ściana. To dlatego łatwo je było przeoczyć.

Powiodłem wzrokiem w głąb korytarza. Po prawej znajdował się hol wejściowy z kamienną posadzką, a naprzeciwko sypialnie, które teraz mogły być wykorzystywane jako pokoje gościnne, dawniej jednak, jak wiedziałem, zamieszkiwała je służba. Na końcu korytarza mieścił się też pokój Hannah. Jego drzwi były uchylone.

Czy to prawda, co mówił Linus? O Hannah i ojcu? W mojej głowie zakiełkowała natrętna myśl. Nie spodziewałem się, że tunel wyjdzie tutaj, na korytarz, przy którym mieścił się jej pokój.

– Zajrzyjmy na chwilę do Hannah. – Wiedziałem, że nie ma jej w domu, zaraz po obiedzie pojechała z Linusem i mamą na zakupy.

Marina, która dołączyła do mnie, ściągnęła brwi.

– Po co?

– Tylko na chwilę. – Nie czekałem na jej odpowiedź. Jeśli nie chcieliśmy, żeby Hannah nas nakryła, musieliśmy się pośpieszyć. Lada moment mogła wrócić z zakupów.

Trochę bojaźliwie i z wyraźnym poczuciem, że robię coś złego, wszedłem do pokoju Hannah. Pierwsze, co rzuciło mi się w oczy, to stare wysokie łóżko, na którym piętrzyły się białe kołdry. Właściwie była to skrzynia na pościel, a nie typowe współczesne łóżko, w dodatku stała na podeście, na który wchodziło się po dwóch stopniach. Cały pokój miał w sobie coś przyjemnie staroświeckiego. Jasnobrązowe meble, biurko na cienkich nóżkach, wąski regalik, na którym stały w rzędach kieszonkowe wydania książek Hannah, krzesło, na które rzuciła parę swoich ubrań. Przez wąskie drzwi tuż obok wysokich okien widać było wyłożoną biało-niebieskimi kafelkami łazienkę, tak ciasną, że zamiast normalnej wanny zmieściła się w niej tylko jej krótka wersja, w której można było jedynie siedzieć. Przebiegłem spojrzeniem po nielicznych tubach i flakonikach, które ustawiła na szkle pod lustrem, po szczoteczce do zębów i obłej gąbce.

– To płatki róży – szepnąłem. – To, co tak pachnie. Lubi ten zapach, wkłada płatki do szuflad. – Tak samo robiła w swoim pokoju w Londynie. Podszedłem do biurka i pociągnąłem za jedyną szufladę. Była zamknięta. Ale w zamku tkwił klucz.

– Nie, Sammy, nie wolno. – Marina przytrzymała mnie za rękę.

Nawet jeśli pokój Hannah był całkiem inny, to jednak odrobinę przypominał pokój zamieszkiwany przez Marinę.

Pokój dziewczyny. Porządek. Wszystko urządzone i zestawione ze starannością i miłością.

Przekręciłem klucz i wysunąłem szufladę. Uderzył we mnie ciężki zapach róż.

Większość płatków już zwiędła, ale niektóre z nich połyskiwały jeszcze białą lub bladą różową. Niewiele myśląc, sięgnąłem po czarną książeczkę przysypaną płatkami i otworzyłem ją.

Zdjęcia. Nie więcej niż trzy, cztery. Włożone luzem między kartki. Zdjęcia, które nie były przeznaczone dla nas. Zdjęcia, na których widać było Hannah. Obnażoną. W skotłowanej pościeli. Z poduszką pod lędźwiami, z biodrami wypiętymi ku patrzącemu, głową zagubioną w tle, ciężkimi piersiami. Jej nagie stopy opierały się o brzeg łóżka.

Słyszałem oddech Mariny. Spiętej. Wystraszonej. Skołowanej.

Lecz ja nie mogłem oderwać oczu od Hannah. Hannah na zdjęciach, które niewątpliwie zrobiono w tym pokoju.

Na ostatnim widać było autora fotografii, z rękami wyciągniętymi ku kamerze, rozebranego. Ale to nie był mój ojciec. To był mój brat Linus.

Przyszli, kiedy jedliśmy śniadanie. I tym razem wszystko potoczyło się inaczej.

Linus nakrył do stołu na zewnątrz, lecz nie na tarasie, gdzie rano panował cień, tylko w ogrodzie, na trawniku. Wprawdzie świeciło słońce, ale było chłodniej i dało się wyczuć, że lato powoli dobiega końca. Może dlatego chcieliśmy zjeść na świeżym powietrzu, by raz jeszcze poczuć ciepło, zanim będzie za późno.

Dziwne, ale kiedy dziś wracam myślami do tamtego poranka, odnoszę wrażenie, że powietrze było lekko rozedrgane. Pełne nieuchwytnego napięcia.

Może to wina zdjęć Linusa i Hannah, które znalazłem dzień wcześniej, w każdym razie nie mogłem przestać wodzić wzrokiem między bratem, Hannah i ojcem.

To niepokojące napięcie rozładowało się niespodziewanie z głośnym hukiem. Hukiem i błyskiem. Dało się słyszeć trzaskanie samochodowych drzwi, do ogrodu przez żywopłot wdarło się migotanie niebieskich świateł, rozległ się tupot butów po chodniku i trzeszczenie radiotelefonów.

W mojej głowie zatlił się wysoki, przenikliwy gwizd, a potem zobaczyłem przed sobą twarz mamy. Chwyciła mnie za ręce, widziałem, jak coś do mnie mówi. *Widziałem*, ale nic nie słyszałem. Tylko ten gwizd, kiedy nad ramionami mamy zobaczyłem zbliżające się przez trawnik czarne kamizelki ochronne.

Ojciec, wyprostowany, stał przy stole. W rękę trzymał jeszcze białą serwetkę. I wtedy nadeszły panika i strach. Coś było nie tak, coś właśnie się dokonywało, coś zaczynało nas zalewać i pogrążyć. Jakby ktoś wyssał z powietrza cały tlen. Tym razem mieli na sobie mundury i nie było wątpliwości, że chodziło im o mojego ojca.

– Tato, nie! – wyrwało się z moich ust. Odepchnąłem mamę i pobiegłem do ojca. Zadarłem głowę i zobaczyłem, jak spogląda na mnie w dół, tak blady i spięty, jakim nigdy go nie widziałem. I już byli przy mnie, uczepliłem się go, usłyszałem głos mężczyzny, który dowodził, czułem, jak ojciec przyciska mnie do siebie.

– Tato, nie! – krzyknąłem ponownie.

*Nie, nie, nie to, co właśnie się dzieje, nie chcę tego, to nie może się wydarzyć, to nie jest słuszne, to się nie dzieje!*

Przywarłem do jego nóg, ale oderwali mnie jednym szarpnięciem. Upadłem na trawę, w ostatniej chwili podpierając się ręką. Nade mną mundur, twarz policjanta. Wskoczyłem między nich.

– Nie możecie! – Łomotałem pięściami, zabrakło mi oddechu i klatka piersiowa ścisnęła mi serce. Rozległ się brzęk, ktoś został pchnięty na stół. Ugryzłem rękę, która mnie trzymała, i zobaczyłem, jak ojca rzucają na ziemię. Czyjeś kolano wbiło się między jego łopatki, jakaś ręka ze świstem zacisnęła plastikowy zacisk, który unieruchomił ręce taty za jego plecami. Widziałem, jak na jego skroni pulsuje żyła. Obrócił głowę, jego wzrok powędrował do mnie.

Kocham cię, Sammy, uważaj na siebie, zdawał się mówić. Dam sobie radę, to nic strasznego.

Ale to było straszne. Wiedziałem, co widzę, wiedziałem, że widzę koniec wszystkiego. Walczyłem, płakałem, próbowałem stawić czoła przeciwnościom, które niemal rozerwały mnie na kawałki. A teraz było po wszystkim, wszystko się posypało, całe moje życie na moich oczach zostało rozdarte na strzępy.

Mama stała nieopodal stołu, obejmując ramionami tułów, z zapłakaną twarzą, włosami zsuniętymi na czoło. Linus podbiegł do niej i objął ją ramieniem, Hannah wycofała się w stronę

domu.

Jeden z funkcjonariuszy podszedł do mamy i powiedział coś do niej, ale zdawała się go nie słyszeć. Potrzeba było dwóch mężczyzn, by dźwignąć mojego ojca, który najwyraźniej zwichnął bark, kiedy pchnęli go na ziemię. Stał zgięty, z odchyloną głową, świdrując ciemnymi oczami policjantów, którzy go unieruchomili.

– Tato! – Uderzyłem w twarz trzymającego mnie mężczyznę, a kiedy przycisnął mnie do siebie, z mojej piersi wyrwał się głośny jęk: – Nie możecie go zabrać, on nic nie zrobił!

*On nic nie zrobił!*

Wiedziałem to, byłem tego pewien, w końcu to ja wywołałem tę lawinę.

– Sammy, cicho bądź! – Linus krzyknął na mnie przez stół. – Tylko pogarszasz sprawę.

*Nie chciałem tego! Nie chciałem tego wszystkiego.* Kochałem przecież swojego ojca, ufałem mu. Dlaczego to zaszło tak daleko?

Widziałem jego plecy między tymi dwoma, którzy go odprowadzali, szedł zgięty, powłóczył nogami po trawie. Od ulicy nadeszły głosy innych policjantów, niebieskie koguty radiowozów były już wyłączone.

Przyjechali nie tylko po ojca. Wyroili się. Weszli na posesję, ośmiu, może dziesięciu. Mieli na sobie białe ochronne kombinezony zakrywające całe ciało, dwóch z nich widziałem przez okno we wnętrzu willi. Dwóch innych maszerowało skrajem trawnika w kierunku komórki. Wszyscy mieli w rękach aluminiowe walizeczki.

To Marina nie wytrzymała. Powiedziała o wszystkim swojemu ojcu. A on skontaktował się z policją. Już nas tam znali, wszystko zostało zaprotokołowane. Kiedy parę dni temu rozgorączkowany wybiegłem na ulicę i zatrzymałem taksówkę, policja rutynowo sprawdziła nasz dom i piwnicę. Przepytali nas, rodziców, Linusa, Hannah i mnie, ale wszystko, co usłyszeli podczas wstępnego dochodzenia, utwierdziło ich w pierwotnej opinii: że w tym przypadku to *ja* byłem problemem, to *ja* potrzebowałem profesjonalnego terapeuty. Policja od samego początku skłaniała się ku temu, by powierzyć sprawę Urzędowi do spraw Młodzieży.

To nie pasowało jednak do tego, co Marina opowiedziała o nas w domu. Podczas tych wszystkich rozmów, przepytań, które wówczas przeprowadzono, nigdy nie wyszło na jaw, że mój ojciec miał romans z Hannah. I że Hannah utrzymywała seksualne relacje z moim niepełnoletnim bratem Linusem.

Po tym, jak Marina opowiedziała ojcu o zdjęciach, które znaleźliśmy w pokoju naszej opiekunki, funkcjonariusze najpierw przeprowadzili poufną rozmowę z Hannah. To było już drugie przesłuchanie, któremu musiała się poddać – pierwszą rozmowę z policją odbyła, gdy wybiegłem na ulicę. I podczas tego drugiego przesłuchania nie wytrzymała presji. Przyznała, że ma romans z moim ojcem. I że sypia z moim bratem. To na wszystkim zaważyło.

Nagle sytuacja zaczęła wyglądać inaczej. Zeznanie Hannah rzuciło nowe światło na dotychczasowe ustalenia. Co było prawdą, a co nie? Co mój ojciec im powiedział, co przemilczał? W końcu chodziło o dużo więcej niż o zdradę małżeńską albo niejasne stosunki pomiędzy au-pair i najstarszym w rodzinie synem. Chodziło o to, że ten drugi, młodszy syn, Sammy Grossman, czyli ja, twierdził, że jego ojciec, Nathan Grossman, więzi w piwnicy małąletnią dziewczynę.

Być może po krótkim przesłuchaniu wszystkich zainteresowanych dochodzenie i tym razem zostałyby umorzone, lecz tym razem było inaczej. Tym razem to nie jedenastoletni syn oskarżonego wysuwał te twierdzenia. Tym razem na policję zgłosił się ojciec Mariny. A ojciec Mariny to nie byle kto. Ojciec Mariny był prokuratorem.

Naturalnie zaniepokoiło go, kiedy się dowiedział, że w domu sąsiadów, który odwiedza jego córka, najstarszy syn sypia z au-pair. Najbardziej zaalarmowało go jednak to, że – jak twierdziłem – znalazłem w piwnicach dziewczynkę. Tak przynajmniej zrelacjonowała mi to Marina. Kiedy zaczęła mówić mu o zdjęciach Hannah, nie mogła już przestać i opowiedziała również o dziewczynie w piwnicy. O tym, że nikt mi nie wierzy. Że policja tak naprawdę nie zajęła się sprawą. Na co jej ojciec zadbał o to, by dochodzenie zostało wznowione. Lecz tym razem nie chodziło o zachowanie maksymalnej dyskrecji. Tym razem można było odnieść wrażenie, że chodzi o to, by wykończyć mojego ojca.

– Hannah?

Była u siebie w pokoju i pakowała rzeczy. Zakradłem się do niej po cichu i stanąłem w drzwiach. Minął dzień, odkąd zabrali mojego ojca. Kompletnie straciłem rozeznanie w tym, co się stało. Mama spotykała się na mieście z adwokatami. Ojca nie widziałem od chwili aresztowania.

Pierwszą rzeczą, którą pojąłem po godzinach chaosu, po przepełnionej lękiem nocy i bladym poranku, było to, że Hannah wyjedzie. Nikt ze mną o tym nie rozmawiał. Mama i tak nie była w stanie mówić, a Linus nie zwracał na mnie uwagi, dręczony rozmyślaniami i lękami, które malowały się na jego wąskiej twarzy.

Ja jednak wiedziałem, że tego ranka Hannah nas opuści, byłem bowiem świadkiem, jak



zamówiła taksówkę, na tyle dużą, by móc przewieźć parę kartonów.

– Hannah, chciałem się pożegnać – wyjąkałem, patrząc na jej plecy. Nie miała już na sobie tej letniej sukienki, tylko spodnie i kurtkę, włosy zaplotła w ścisły warkocz, który opadał jej na plecy. Wokół leżały dwie walizki i dwa kartony, do których wkładała rzeczy, które zgromadziła podczas pobytu u nas.

Obejrzała się, a ja zobaczyłem, że płakała.

– Tak, Sammy. – Podeszła do mnie. Wciągnąłem w nozdrza jej zapach.

Przez chwilę obejmowała mnie i przytulała. Potem puściła.

– Wszystko się ułoży, Sammy, nie martw się. – Uśmiechnęła się. – Zobaczysz. Kiedy zaczniesz się szkolić, na pewno znajdziesz przyjaciół i spodoba ci się w Berlinie.

*Kiedy już zaczniesz się szkolić...* Nie wierzyłem w to. Nie wierzyłem, że wszystko będzie jak dawniej. Wiedziałem przecież, że w moją rodzinę coś uderzyło i że już się po tym nie pozbiera.

– Hannah... fajnie z tobą było. – Usłyszałem, jak mówię. – Naprawdę. Chciałbym, żebyś została.

Zwiesiła ręce po bokach. Zobaczyłem, jak jej ramionami wstrząsa dreszcz.

– Dziękuję, Sammy – wyszeptła. – Ale przecież od początku było wiadomo, że w końcu nadejdzie ten dzień.

Przez chwilę nie wiedziałem, co jeszcze mógłbym powiedzieć. Nie potrafiłem się z nią rozstać.

– Hannah... – zacząłem na nowo, bo było jeszcze coś, co mogła mi powiedzieć tylko ona. Coś, co dręczyło mnie, odkąd zobaczyłem zdjęcia w jej pokoju. – Wiem, że pewnie nie chcesz ze mną o tym mówić, ale... Teraz, kiedy i tak wszystko się zmieni, ja... chciałbym cię o coś zapytać.

– Tak? – Przysiadła na brzegu łóżka, wciąż trzymając w ręku bluzkę, którą pakowała, kiedy wszedłem do pokoju. – Co takiego? – W jej spojrzeniu mignął cień troski.

– To z tatą...

– Sammy, proszę. – Jej twarz jakby się zapadła. Było wyraźnie widać, że naprawdę nie chce ze mną o tym rozmawiać.

– Ja... – Podeszedłem do niej i położyłem rękę na jej ramieniu. Mogłem do niej mówić bez konieczności patrzenia jej w twarz. – Wiesz, ty i tata, to... to chyba mogę jeszcze zrozumieć – przemogłem się. – Ale czemu Linus, Hannah? – Położyłem głowę na jej ramieniu. – Tata go uderzył z tego powodu, wiesz?

Na chwilę zastygliśmy w milczeniu.

– Bardzo lubię twojego tatę, Sammy – znajomy głos wtargnął w końcu w ciemność, którą widziałem, kryjąc twarz na ramieniu Hannah. – To, co robiliśmy, twój tata i ja, na pewno nie było słuszne. Nie powinniśmy robić tego twojej mamie, ale... nic na to nie mogliśmy poradzić.

*Ale Linus? Czemu Linus?*

– Twój brat jakoś się o tym dowiedział. I... groził mi. Nie bezpośrednio, ale było jasne, że chciał o wszystkim powiedzieć twojej mamie. Że chciał wszystko zniszczyć. – Poczulem, jak otacza mnie ramieniem. – Ale ja nie chciałam stracić twojego taty. Dlatego, Sammy, dlatego... To był jedyny sposób, by odwieść twojego brata od tego, by go uspokoić... Wiem, nigdy nie powinnam była tego robić.

*Ty... robiłaś to z nim, żeby go... uspokoić?*

– Wstydzę się, Sammy, naprawdę, ale czasami człowiek robi rzeczy, których nie chce. – Kątem oka widziałem, jak jej ręka, wraz z bluzką, osuwa się na kolana. – Byłam u was zbyt długo, może to dlatego. Zapomniałam, że nie jesteście moją rodziną.

Wyswobodziłem się i zobaczyłem, jak grzbietem dłoni ociera oczy. Wiedziałem, że z trudem porządkuje myśli.

– Wtedy w kuchni, pamiętasz? – podjąłem cicho, bo coś jeszcze nie dawało mi spokoju. – Dopiero co wstałem, wszyscy byli już po śniadaniu, tylko my dwoje siedzieliśmy w kuchni. Zrobiłaś mi jajecznicę. Ostatni raz, kiedy zrobiłaś mi jajecznicę.

Jej wzrok był zagubiony. Kosmyk włosów wysunął się z jej warkocza, założyła go na ucho.

– Zrobiłam to z chęcią, Sammy. Zawsze lubiłam jeść z wami śniadanie.

– Tak... tak, ja też, ale chciałem powiedzieć... Wtedy przy śniadaniu – dostrzegłem, że lekko ściągnęła brwi, jakby dopiero teraz zdała sobie sprawę, że zmierzam do czegoś konkretnego – powiedziałaś coś, co nie może wyjść mi z głowy.

– Tak? Co takiego?

– Powiedziałaś, że możemy pójść do mojego pokoju i robić to, na co będę miał ochotę.

Miałem wrażenie, że temperatura obniżyła się o dwadzieścia stopni. Hannah nadal siedziała przede mną, ale jej ręce nie spoczywały już na kolanach. Odłożyła bluzkę i skrzyżowała ramiona w taki sposób, że zsunęły się poły kurtki, którą miała na sobie.

– Nie mogłem przestać o tym myśleć, Hannah. *Na co tylko będę miał ochotę...* Co chciałaś przez to powiedzieć? – Jeszcze nie skończyłem mówić, a już poczułem się źle, podle i podstępnie. Bo nie byłem wobec niej szczery. Udawałem, że tylko chcę z nią o tym porozmawiać, bez żadnych podtekstów, podczas gdy w rzeczywistości chciałem się dowiedzieć, czy to, co podejrzewałem, to prawda. Że to mój ojciec nakłonił ją, by tamtego ranka zachowała się w ten sposób. Bo zauważył, że odkryłem włącz w komórce.

– Sammy, co... Nie wiem... Nic nie rozumiem. Jakie śniadanie?

– Nie pamiętasz? Byliśmy sami, a ty powiedziałaś: *co tylko zechcę*. Dokładnie pamiętam. Że możemy robić u mnie w pokoju, *co tylko zechcę*. Co mielibyśmy robić?

*Moglibyśmy się rozebrać, ty mogłabyś mi pozwolić się dotykać, mogłabyś przycisnąć mnie do siebie, jak przed chwilą, dokładnie tak samo, tylko między nami nie byłoby ubrań, dotykałybyśmy się skórą. I dotknąłbym cię wtedy, dokładnie tak, jak robił to Linus.*

– Tak? – Potrząsnęła głową. Naprawdę nie mogła sobie przypomnieć? Więc czemu przestała na mnie patrzeć?

– Chciałbym, żebyśmy wtedy poszli do mojego pokoju – wydusiłem. – Chciałbym, żebyśmy zrobili to, na co miałem ochotę.

– Sammy, myślę... myślę, że muszę cię teraz prosić, żebyś poszedł. Muszę się jeszcze spakować... i... Przykro mi, jeśli coś zrobiłam nie tak. – Uwolniła ręce i ponownie przejechała nimi po policzkach, jakby chciała wygładzić twarz. – Sądziłam, że zawsze próbowałam być dla ciebie miła i się z tobą bawić. Nic więcej. To wszystko. Naprawdę nie wiem, o co ci chodzi.

*Bawić się ze mną.*

– To było... Chciałaś się ze mną bawić?

– Oczywiście! A co ty myślisz?! – Jej głos nagle nabrał ostrości. I weszła oburzeniem. – Co się z tobą dzieje, Sammy? Co się stało? Co za myśli chodzą ci po głowie? Czy ja ci coś zrobiłam? Nie byłam dla ciebie miła?

– Byłaś...

– No właśnie! Więc czemu przychodzisz do mnie z takimi pytaniami? Przy śniadaniu! Nie mam pojęcia, o co ci chodzi. To było parę dni po rozpoczęciu wakacji, zgadza się? Twój rodzic powiedział mi, że będziesz się nudził. Że może mogłabym coś z tobą przedsięwziąć. Zapytałam cię więc, co sprawiłoby ci radość. Po to tu przecież byłam. Zapytałam, czy miałbyś ochotę coś ze mną zrobić. Co w tym złego? – Teraz była naprawdę wściekła. – Zakradasz się tu,

mówisz, że chcesz się pożegnać, i zaczynasz zadawać dziwne pytania. Rety, Sammy, myślałam, że cię znam, myślałam, że wiem, jakim jesteś chłopcem. Ale chyba się pomyliłam!

Ekipa od zabezpieczania śladów przez trzy dni przeszukiwała celę z wizjerem i inne rejony willi. Przez trzy dni nie śmiałem głębiej odetchnąć, otępiały od tabletek, które wciąż musiałem zażywać, obolały od wyrzutów, które sobie robiłem, i które na pewno chodziły po głowie mamie. Trzy dni, które spędziłem bardziej martwy niż żywy. Trzy dni, w ciągu których miałem na karku panikę, strach przed tym, że już nigdy więcej nie zobaczę ojca, strach, że tak bardzo zraniłem człowieka, którego kocham. Przez te dni czas jakby zatrzymał się w miejscu i nikt w całym domu nie śmiał mówić normalnym głosem. Trzy dni, w ciągu których niewiele jadłem i ledwie spałem.

Trzy dni – i wrócił. Widziałem, jak wchodzi schodami od strony ulicy. Funkcjonariusze, którzy go przywieźli, zostali w samochodzie. Wszedł po schodach, ale nie był sobą. Był złamanym człowiekiem.

– Zapomnij na chwilę o policjantach, Sammy. Wiem, że napędzili ci potężnego stracha, ale uwierz mi, to dobrzy ludzie. To ci dobrzy, jeśli wiesz, co mam na myśli. Możesz na nich polegać. Jeśli będziesz miał problemy, jeśli ktoś będzie ci groził, jeśli będziesz w niebezpieczeństwie, możesz się do nich zwrócić.

Siedzący przede mną mężczyzna był okrągły, miał wyrazistą twarz z tak niebieskimi oczami, że miałem wrażenie, jakbym zanurzał się w lodowatej wodzie; wypielęgnowany kilkudniowy zarost i włosy ostrzyżone krótko, pewnie żeby zamaskować ich wypadanie.

Znałem go, widziałem go już parę razy. Był to Robert Kaplan, ojciec Mariny, który pracował w prokuraturze i postarał się, by nasz dom ponownie został przeszukany.

– Koledzy, którzy byli u was za pierwszym razem, to nie byli ludzie z ekipy zabezpieczającej ślady, Sammy, a tamta pani była z Urzędu do spraw Młodzieży. Rutynowa sprawa. Wszystko to wyjaśniłem już twojej mamie. – Zerknął w bok, gdzie mama zajęta była wyjmowaniem z szafy w salonie przedmiotów osobistych i pakowaniem ich do torby podróży. Najwyraźniej nie chciała zostawić mnie samego z Kaplanem.

– Wprawdzie obejrzelibyście pomieszczenie w podziemiach – mężczyzna ponownie spojrzał na mnie – ale to nie było gruntowne zabezpieczenie śladów. – Oparł ramię o stół, przy którym siedzieliśmy. – Nie mam o to pretensji do kolegów. Chcę tylko powiedzieć – przejechał dwoma palcami po zaroście, co wydało mi się nieprzyjemne – że tym razem gruntownie zbadaliśmy waszą posiadłość, a przede wszystkim pomieszczenie w piwnicy. Zaś nasza analiza... to są mikroskopijne procedury... wykazała, że możemy to wykluczyć. Twój ojciec nie mógł więzić w tym pomieszczeniu żadnej dziewczynki.

Usłyszałem, jak mama stuka czymś z tyłu. Wsunąłem dłonie pod uda i spuściłem wzrok. Miałem trudności ze skupieniem się na tym, co mówił mężczyzna.

– Popatrz, przyniosłem ci parę fotografii. – Ze stojącej między jego stopami aktówki wyjął duży skoroszyt i położył go na stole. – Twoja mama nie chciała, żebyś jeździł do prezydium, więc zrobimy to tu, nie ma najmniejszego problemu. – Otworzył skoroszyt.

W środku znajdowały się zdjęcia kobiet i dziewcząt, zdjęcia o rozmaitych formatach i odcieniach.

– To są kobiety i dziewczynki, które zgłoszono jako zaginione. Jak wyglądała tamta dziewczynka w piwnicy?

*Czarne włosy, skośne oczy, młoda, nie starsza niż piętnaście lat.*

Już tyle razy przywoływałem z pamięci jej twarz, że zdawała się rozpląwać, kiedy znów próbowałem ją sobie przypomnieć.

– Czarnowłosa, około piętnastu lat, azjatycka twarz, tak? – przyszedł mi z pomocą, kiedy nie odpowiedziałem. *Możemy wykluczyć*, powiedział, *możemy wykluczyć*.

– Tutaj... czy to ta?

Migdałowe oczy, tylko odrobinę starsza ode mnie. Czarne włosy, słodka twarz, ale to nie była Yoki. Pokręciłem głową.

– Sam możesz przewracać kartki. Obejrzyj zdjęcia w spokoju.

Przewróciłem. Kolejne zdjęcie, kolejna Azjatka, tym razem z małą blizną za uchem, widoczną na dodatkowej fotografii.

– Twoja mama zapewniła mnie wprawdzie, że nie trzeba ci tego wszystkiego tłumaczyć, ale...

Czekałem, aż skończy, a kiedy tego nie zrobił, podniosłem wzrok. Ojciec Mariny oparł się na krzesło i złożył ręce na udach. Mama przed chwilą wzięła torbę podróżną i opuściła pokój.

– Nazywamy to handlem ludźmi – powiedział Kaplan, kiedy zauważył moje zainteresowanie. – Słyszałeś kiedyś o tym?

Handel ludźmi? Wpatrywałem się w niego. Czy o tym słyszałem? Jego słowa obudziły we mnie jakieś mroczne wyobrażenie, ale nie potrafiłbym powiedzieć, co tak naprawdę oznaczały.

– Są kobiety i dziewczynki, które nielegalnie przywozi się do Niemiec, gdzie zmusza się je do sprzedawania siebie i swego ciała. Pieniądze za to inkasują ci, którzy je przewieźli przez granicę. Kiedy znika któraś z tych kobiet, nikt nie zgłasza jej zaginięcia. Dlatego jest jak najbardziej możliwe, że Azjatki, którą widziałeś, nie ma w tym skoroszytcie...

– Ale – przerwałem mu – myślałem, że to i tak wykluczone.

Popatrzył na mnie.

– Wykluczone, że ktoś żył w tym pomieszczeniu? Zasadniczo tak. Chyba że – Kaplan wypuścił powietrze z płuc – działali tu profesjonaliści, którzy wiedzą, jak pozbyć się śladów.

– Więc rezultaty waszych badań nie są pewne?

– Teoretycznie jest możliwe, że ktoś zna się na rzeczy i dobrze wie, w jaki sposób oczyścić takie pomieszczenie. Ale w przypadku twojego ojca to mało prawdopodobne. Tak mało, że praktycznie możemy to wykluczyć.

Poczułem coś w rodzaju ulgi, a jednocześnie na nowo wezbrała we mnie dezorientacja. *To nie mógł być tata. Więc jednak się myliłem?*

Kaplan dalej przewracał strony skoroszytu. Przewijały się w nim zdjęcia kobiet w różnym wieku, z dalekich krajów, ze śladami maltretowania, ale widać było też fotografie dzieci. Miałem wrażenie, jakby świat w tym segregatorze zrzucił powłokę, że zamiast żywego, pięknego przebrania spoglądałem na surowe mięso. To było trujące. Niebezpieczne. Byłem na to za młody, czułem to. Nie chciałem tego oglądać. Rozkołatany opadłem na oparcie sofy.

Ojciec Mariny popatrzył na mnie.

– Była wśród nich? Rozpoznałeś ją? Czy to była jedna z dziewczynek na zdjęciach?

Pokręciłem głową. Nie. Nie było wśród nich Yoki.

Zamknął skoroszyt i schował go do teczki. Ale jeszcze nie skończył.

– Sammy... słyszałem, że... – zaczął i zajął mi w oczy. – Znaczący, twoja mama powiedziała mi, że przechodzisz terapię.

Skinąłem głową.

– I? Jak to jest?

– W porządku. – Co niby miałem mu powiedzieć? Wyjaśnić, co robiła ze mną Gabriella? I tak by nie zrozumiał.

– Co dokładnie widziałeś? Rozmawialiśmy już o tym. Widziałeś, jak twój tata poszedł do

komórki w ogrodzie. Podążyłeś za nim. Znalazłeś dziewczynkę w celi z wizjerem. A w nocy słyszałeś dźwięki dochodzące z pracowni ojca. Zobaczyłeś u niego misia, którego miała przy sobie dziewczynka. – Znow poglobił brodę. – Ale twój ojciec powiedział, że znalazł go w podziemiach, w korytarzu, który prowadzi koło kręgielni.

– W korytarzu? Przy mamie powiedział, że znalazł misia w ogrodzie.

– Tak, wiem. – Kapłan zdjął okulary, z kieszeni spodni wyjął białą chusteczkę i przetarł nią szkła. – Oczywiście nie chciał się przyznać przed twoją mamą, że był w korytarzu. – Założył okulary i popatrzył na mnie. – Tym korytarzem chodził do waszej au-pair.

– Do Hannah.

Skinął głową.

– Do Hannah. Nie chciał, żebyście widzieli, jak do niej chodzi. – W szklach okularów na chwilę odbiły się okna i jego oczy stały się niewidoczne. – Pewnie nie jest łatwo pojąć, że własny ojciec... zdradza matkę. Ale... to nie jest zabronione, rozumiesz?

To tatę i *Hannah* słyszałem w pracowni. Tamtej nocy, kiedy odkryłem w piwnicy dziewczynkę. Albo wydawało mi się, że odkryłem.

*Możemy to wykluczyć.*

Poczułem, jak Kapłan kładzie mi rękę na ramieniu. W tym samym momencie do pokoju wróciła mama. Podniosłem wzrok, ciężar jego ręki na moim ramieniu zdawał się wciskać mnie w poduchę kanapy, utrudniał wzięcie oddechu.

– Skończyliśmy, pani Grossman. – Usłyszałem. Poczułem ulgę, kiedy mnie puścił i wstał. – Zajrzę jutro, żeby...

– Jutro już mnie tu nie będzie – weszła mu w słowo. – Ale wie pan, jak się ze mną skontaktować.

Mój brat już pojechał do naszych dziadków. Mama jeszcze dziś chciała do niego dojechać ze mną i paroma bagażami. Powiedziała, że nie wytrzyma w tym domu ani jednej nocy dłużej, a ja wiedziałem, że chce wyruszyć jak najprędzej.

– W porządku. – Kapłan wziął aktówkę. – Do widzenia. – Skinął mi głową, podał rękę mamie i wyszedł do holu, gdzie czekał na niego inny funkcjonariusz.

Wkrótce usłyszałem ciche trzaśnięcie drzwi. Mężczyźni opuścili willę. Słysząc było jeszcze tylko szeleszczenie papierów, które porządkowała mama. Upiorna cisza zdawała się otulać cały dom.

– Muszę od razu jechać, mamó? – Było jeszcze coś, co chciałem, musiałem załatwić przed wyjazdem.

– Sammy, proszę – mruknęła ledwie słyszalnie, jakby mówienie stanowiło dla niej zbyt wielki wysiłek.

Ale ja nie chciałem wyjeżdżać. Nie chciałem zostawiać tak ojca, nie po tym, jak zawiniłem wszystkiemu, co się wydarzyło.

*To przechodzi jego oczekiwania. To pomieszczenie, cały ten plastik. Jest jak w jaskini stalaktytowej. Jak w kanale rodnym.*

*Dźwięki i tony splotły się w jeden sznur przenikający do szpiku. Sznur wnika w usta, które musi trzymać otwarte, by nie zabrakło mu powietrza, przechodzi przez brzuch, jelita, wychodzi odbytem, niczym długi powróż, który nawija się na gwint wypełniający całe pomieszczenie. Rabuje przestrzeń. A przecież i bez tego są ze sobą ciasno połączeni.*

*Słyszy tępe, głuche dźwięki. Nie uszami – brzuchem. Nie ma w nich nic jasnego, nic świeżego, wszystko jest nasycone. Jak zaczopowane. Nie jest pięknie. Już nie. Ale jest w środku. Nie może już się wycofać. Zatkan jej usta. To tłumi dźwięki. Coś się tli w głębi jego czaszki, niczym ogień pod warstwami gumy. Wszystko jest przykryte, zamknięte, zdławione. Oparł kolano o jej brzuch.*

*Zna ją. Wie, kiedy próbuje przeciągnąć go na swoją stronę. Ale już jest po wszystkim. Nadzieja się ulotniła, opuściła pomieszczenie. Już nie chodzi o nadzieję. Chodzi o to, by skończyć. Nie ma już czasu na myślenie. Na możliwości i przyszłość. On jest zwierzęciem, a ona jego łupem. Jest drapieżnikiem, który dopada swej antylopy.*

*Zaczął od noża elektrycznego. Ciche brzęczenie. Opierała się już wtedy, gdy wyciągnął taśmę.*

*Kiedy zobaczyła maszynę do mielenia mięsa i pozostałe rzeczy, które znajdowały się w pomieszczeniu, jeszcze miała nadzieję. Jak mogła? Co myślała? Że co on zrobi? Teraz już nie miała nadziei. Zaczął od kciuka. Ona nic na sobie nie ma; on naciągnął na swe ciało plastikowy kombinezon, pod spodem jednak jest nagi. Przytrzymał jej rękę. I zaczął od kciuka.*

*Jak długo wytrzyma? Jak długo będzie przytomna? Nie może oddychać ustami z powodu taśmy. Tylko przez nos. A on słyszy, jak pompuje w siebie powietrze. Widzi, jak pracują jej nozdrza. I wibrujące ostrze wnika w ciało. W tej sekundzie wszystkie tony zniżują. Aż coś topnieje w jego mózgu, a w jej oczach coś pęka. Aż gaśnie światło, może to był błysk światła w jej oczach. Oboje wpatrują się w jej rękę i krew wypływającą z rany. Słyszą uderzenie o gumową podłogę. Soczysty, głuchy dźwięk. Głuchy jak wszystko inne. Głuchy jak wibrowanie noża elektrycznego, kiedy nasiąka krwią. Głuchy jak szum w uszach, w żyłach, w jelitach. Wcześniej zastanawiał się, czy ją znieczulić. Najpierw miejscowo, tam, gdzie zamierzał zacząć. Ale nie zna się na tym. To trzeba zrobić jednym ciągiem, na raz. Nie ma już sił. Dzisiaj. Teraz. Tutaj. To jest finalny moment. Od samego początku wiedział, że to się tak skończy. Drążki, guma, worek na śmieci, w którym oboje się wiją. A jednak kiedy to się dzieje, odnosi wrażenie, że nie spodziewał się tego.*

*Trzyma go przed sobą. Jej kciuk. Jaki mały. Waży tyle co nic, a jednak czuje ciężar niewielkiego kawałka mięsa w swojej dłoni. Dziewczyna leży na wyścielanej gumą podłodze, w kałuży, z umorusaną skórą. Z twarzą jak wymazaną. Z włosami sklejonymi krwią. Leży u jego stóp – widzi obok niej swoje buty, które hermetycznie owinął za pomocą plastikowych woreczków i dużej ilości taśmy. Odwraca się, trzymając mocno jej kciuk. Odgłos wilka do mięsa. Czy poradzi sobie z kością? Silniczek, mocny, mały elektryczny silnik. Włącza go, pociągnął prąd zwykłym przewodem z kręgielni. Maszyna chrzęści, łomocze i tryska górnym otworem. Przez moment ma wrażenie, że głuchość ustępuje nieco, ale po chwili na wszystko znów spada ciemność. Filc, beton, wypełniająca go wata zdają się napierać od wewnątrz na jego bębenki.*

*Wychodzi przez tarczę z otworkami. Mięso.*

*Jej mięso.*

*Jak mięso na kotlety. Z drobinkami kości. Niezauważalnie przekręca pokrętko i widzi, jak ona patrzy na otwór, przez który wydobywa się jej kciuk. Jej powieki trzepoczą, twarz szarzeje, jest o krok od utraty przytomności. A on wie, że za to zapłaci.*

*Jestem gotów za to zapłacić.*

*Tępe, tępe opary, ciągnące się przez jego głowę. Widzi swoją dłoń zbierającą gumowymi palcami mięso z wylotu maszyny. Pięćdziesiąt gramów, nie więcej. Strzepuje mięso do plastikowej miski.*

*Pies. Do gumowego wora wpuścił psa. Zwierzę podchodzi do miski, jakby nie ufało temu wszystkiemu. Ostrożnie przesuwając nosem po czerwonych grudkach. Potem wysuwa język i zlizuje część krwistych bryłek. Widzi, jak pysk psa się porusza, słyszy dźwięki, jakie wydaje. Szorstki język wyciera ścianki miski do czysta. Żółta pusta micha. Kciuka nie ma.*

*Pies patrzy na niego. Czy w jego matowym spojrzeniu widać poczucie winy? Mięśnie nad ślepiami ściągają się, jakby prosiły o wybaczenie. Jakby zwierzę wiedziało, co właśnie zrobiło.*

*Czuje, jak jego spojrzenie przesuwają się z psa na dziewczynę. Straciła przytomność. Okaleczoną prawą rękę docisnęła do lewego ramienia. Klęka i przysuwa ucho do jej twarzy. Na głowie ma kaptur kombinezonu, mocno ściągnięty gumką; ledwie słyszy na schowane pod kapturem ucho, ale ona jeszcze oddycha. Cicho, cichutko. Zbyt cicho? Czy powinien ją ocucić? Wędruje spojrzeniem ku jej dłoni z odciętym kciukiem. Nie będzie jej cuczył. Dość już usłyszał.*

*Prostuje się powoli. Na myśl o tym, co go czeka, kręci mu się w głowie. Utonie w morzu krwi, w resztkach mięsa, jelit i ekskrementów. Będzie stał po kolana w bagnie i nie ustawał.*

*Będzie karmił wilka. I młynek do kości.*

*Upłynni ją, a potem zdemontuje gumę, wszystko wyniesie i zakopie.*

*Jeśli wystarczy mu sił.*



– Tato?

– Nie teraz, Sammy.

Ojciec na chwilę wyszedł z pracowni, żeby przynieść sobie coś z kuchni, i właśnie wracał. Czekałem w korytarzu, pod drzwiami jego pokoju.

– Tato, proszę! – Podbiegłem bliżej i położyłem ręce na odrzwiach. Ale on po prostu mnie odsunął, przestąpił próg i pociągnął za sobą drzwi. Zanim się zamknęły, znieruchomiał jednak. Zobaczyłem w szparze jego oko spoglądające na mnie ze środka.

Naparłem na drzwi.

– Tylko na chwilę!

Ustąpił. Drzwi się uchyliły. Wśliznąłem się do środka przez szczelinę pod jego ramieniem. Okno było otwarte i do pokoju wpadało ciepłe, letnie powietrze, zapach ziemi zmiękczony nocnym deszczem. Monitor na biurku pokazywał kolorowe diagramy, coś na nim było odtwarzane, ale bez dźwięku.

Ojciec wsunął ręce w kieszenie spodni.

– Nie musisz pomagać mamie? – zapytał. Uderzyło mnie, jak bardzo wychudł na twarzy przez ostatnie dni.

Nie odpowiedziałem, tylko obiegłem biurko i wczołgałem się pod blat między szafkami na kółkach. Kiedy byłem mały, często się tam chowałem. Wiedziałem, że mu przeszkadzam, i obawiałem się, że zaraz zażąda, żebym opuścił pracownię. Ale nie chciałem. Jeśli wyjedziemy, być może już nigdy więcej go nie zobaczę.

– Sammy?

Tkwiałem nieruchomo w ciemnej niszy pod biurkiem. Rozległo się ciche trzaśnięcie domykanych drzwi. Zza okna dobiegało świergotanie ptaków. Obok krzesła przy biurku pojawiły się jego nogi. Usiadł. W prostokącie, przez który spoglądałem na zewnątrz, ukazała się jego twarz.

– Co się dzieje, Sammy?

Objąłem ramionami swoje nogi, moje stopy, obute w sandały, stały płasko na podłodze, skierowane w jego stronę.

– Hau – szczeknąłem jak pies. Dawniej często tak robiłem. Rozmawiałem z nim językiem zwierząt. Tak było prościej. W ten sposób dało się wyrazić właściwie wszystko, co było do powiedzenia.

Lecz tym razem nie odpowiedział jak pies. Do schowka pod biurkiem wsunęła się jego ręka i pociągnęła mnie za ramię.

– Chodź, Sam. No już, ja... muszę załatwić tysiąc spraw.

Nieśpiesznie, ale zdecydowanie wyciągnął mnie spod biurka.

Kiedy poczułem, że nie zdołam mu się oprzeć, rzuciłem się naprzód, objąłem go za szyję i przywarłem do niego.

– Przepraszam, tato.

Jego ręce przez chwilę unosiły się nade mną, w końcu lekko spoczęły na moich plecach.

– W porządku, Sammy.

– Nie wiedziałem... nie chciałem tego, tato. Przykro mi.

Pociągnął za moje dłonie, by uwolnić od nich szyję.

– Tato, proszę! – Puściłem szyję, ale niemal natychmiast mocno chwyciłem go za rękę. – Już się nie gniewasz?

Siedział na biurku i patrzył na mnie. Ale nie tym właściwym mu, nieobecnym spojrzeniem, które miał zawsze, gdy był myślami gdzie indziej. Wiedziałem, że teraz patrzy na mnie naprawdę.

– Nie martw się, Sammy...

– Ale ja się martwię!

Westchnął głośno.

– To nie twoja wina. Nic nie mogłeś na to poradzić.

*Bo muszę brać tabletki. Oni myślą, że jestem chory. Chory na głowę.*

– Tato, przepraszam, ja naprawdę ją widziałem, ja... Próbowałem rozmawiać o tym z Linusem i mamą, ale... nie wyszło. Widziałem tę dziewczynkę i... tak, martwiłem się, a ona...

– Naparłem na niego. – Proszę, nie gniewaj się, tato! Ona krzyczała „DADDY, NOOOOO!”.

Strasznie głośno. Tak mi jej było szkoda, za jej plecami była taka gumowa zasłona... – *I ona ją zasunęła.*

– Dlaczego nie przyszedłeś z tym do mnie, Sam? – Popatrzył na mnie.

*Bo się bałem.*

– Hm?

– Bałem się, tato. Widziałem przecież, jak szedłeś do...

– Już dobrze – przerwał mi. Widać było, że mówienie o tym jest dla niego nieprzyjemnie.

– Minał mnie spojrzeniem.

– Czy to naprawdę takie złe? Nie możemy zostać razem pomimo to?

– Nie, obawiam się, że teraz to już niemożliwe.

– Ale co w tym takiego złego? Ja... Pan Kapłan właśnie rozmawiał ze mną, przecież nic się nie stało...

– Nic się nie stało? Sammy, chłopcze, obudź się! – Głos ojca był ostry i twardy. –

Straciłem zlecenie. Twoja mama prawdopodobnie zrezygnuje z angażu w operze. Jak myślisz, co mówią sąsiedzi...

– Hannah też odeszła – mruknąłem, ale nie odpowiedział:

– A najgorsze jest to, że nie wiem, co zrobisz następnym razem. – Skierował swą uwagę na mnie. – Sammy, ja nawet nie wiem, czy ty naprawdę nie masz na to wpływu, czy... czy zrobiłeś to umyślnie. Żeby nam wszystkim zaszkodzić.

Popatrzyłem na niego z przestraszaniem.

– Jeszcze nigdy nie słyszałem, żeby jakiś chłopiec uczynił swojej rodzinie coś takiego.

Rozmawialiśmy z tobą, prawda? Powiedzieliśmy, że musisz uważać. A ty co? Wszystko zaczynasz od nowa. Trzy dni mnie przesłuchiwali, odgrzebywali stare historie.

Chwylił mnie. Jego słowa wbijały się we mnie i przesywały na wylot jak oszczepy.

– Chcieli wszystko wiedzieć: o mnie, o twoim bracie, o Hannah i mamie... – Słyszałem po jego głosie, jak bardzo musiał się hamować. – Wiem, to, do czego dopuściłem z Linusem i Hannah, nie było słuszne... Ale to są nasze sprawy, które nie powinny obchodzić nikogo więcej. A ty postarałeś się o to, żeby policja wtargnęła w nasze życie i je rozbiła. Dlaczego? Miałeś dosyć? Nudziłeś się? Powiedzieliś sobie: no i co z tego, po co mamy być razem?

– Nie, tato, to nie było tak...

– To było zbyt wiele, to z Hannah, z twoim bratem, masz rację! – Jego oczy płonęły, ale tym razem nie był oderwany od rzeczywistości, nie tak jak wtedy z motyką, nie bałem się go, czułem, że był tu, ze mną. – A teraz koniec. Prawdopodobnie rzeczywiście to najlepsze, co mogło was spotkać. – Puścił mnie.

– Ale ja nie chcę, tato, nie chcę, żeby to był koniec!

Zapadł się w siebie. Zwrócił twarz w stronę ekranu komputera.

– Nie komponujesz dalej? – zapytałem cicho.

Nie odpowiedział.

– Tato?

– Hm?

– Muzyka, co z nią będzie? Nie dokończysz filmu?

Pokręcił głową. Odwróciłem się i oparłem o niego plecami, również patrząc na ekran.

– Mogę zostać z tobą, tato?

Jego ręce leżały na podpórkach po obu stronach.

– Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł.

– Proszę, tato, proszę! – Odchyliłem głowę i popatrzyłem w górę. Zobaczyłem nad sobą jego twarz. – Ja... chcę to wynagrodzić. Zobaczysz, będziesz mógł na mnie polegać.

Spotkaliśmy się wzrokiem.

– Kocham cię, tato.

– Tak.

– Ty mnie też?

– Tak, tak, pewnie, Sam, muszę tylko... To nie jest takie proste. Jesteś... można powiedzieć, że przeszedłeś przez moje życie i po prostu wszystko zdeptałeś.

– Przykro mi, tato.

– Zostaw mnie teraz, dobrze? Muszę... Wiesz, w tej chwili wszystko jest w pewnym nieładzie.

Wstał nagle, wziął mnie za rękę i podszedł ze mną do drzwi.

Zanim je otworzył, przykucnął, zniżając się do mojej wysokości, i przejechał dłonią po moim policzku.

– Powodzenia, Sammy.

Znalazłem się za drzwiami i poczułem, jak je za mną zamyka. Usłyszałem, że wraca do biurka.

Cisza.

Z jego pokoju nie dobiegał już żaden dźwięk. Odwróciłem się, przyłożyłem czoło do drzwi, a moje ramiona zaczęły dygotać. Wstrząsał mną płacz, ale nie wydawałem przy tym żadnych dźwięków. Byłem tak rozdygotany, że brakowało mi powietrza.

– Uroiłem to sobie... Tak samo jak tamtego chłopca z grobu. – Wyszczrzyłem się do Mariny, ale zabołały mnie przy tym mięśnie twarzy. – U-ro-i-łem.

– Tak, Sammy, wiem.

– A potem wybiegłem na ulicę i zatrzymałem taksówkę.

– Wiem.

– Naprawdę w to wierzyłem, Marino, ale...

– Tylko to sobie uroiłeś.

Skinąłem głową. Siedzieliśmy na brzegu sadzawki pod altanką, pod powierzchnią wody widziałem pomarańczowe cienie ryb. Dog znów był z nami. Leżał w trawie jak sfinks, mrużąc ślepia od słońca.

– Wiesz co, Sammy?

Popatrzyłem na Marinę. Przyszła z Devilem. Zadzwoiła do furtki, ale nikt jej nie otwierał, aż w końcu usłyszałem dzwonek i do niej wyszedłem.

– Co?

– Ja ci wierzyłam.

– Hm.

– Myślałam, że naprawdę ją widziałeś.

*Tak.*

– Ale nie widziałeś.

– Nie. Uroiłem ją sobie.

– Wiem, Sammy. Nie powinnam była mówić o tym tacie, ale...

*W milczeniu zbyłem ją gestem. Tak, tak byłoby lepiej.*

Zdjąłem sandały i zanurzyłem w wodzie gołe stopy. W miejscu, w którym przecinały powierzchnię wody, zdawały się wyginać pod śmiesznym kątem. W rękę trzymałem dyktafon. Do tej pory nie pokazałem ojcu żadnych nagrań, jednak w ciągu minionych dni często nagrywałem Marinę.

Lubiłem słuchać jej głosu i czasem wieczorami, kiedy już poszła do domu, odtwarzałem to, co powiedziała. Zwykle nie miała nic przeciwko temu, że ją nagrywam, lecz dziś była nerwowa i przeszkadzało jej, że się bawię urządzeniem.

– Wyłącz to, Sammy, nie dziś.

Spojrzałem na nią.

– Schowaj to, dobra?

– No dobrze. – Wcisnąłem guzik stopu i aparat przestał nagrywać. Wsunąłem go z powrotem do przedniej kieszeni spodni.

– Rozmawiali już z tobą? – Marina nie zdjęła sandałów. Miała na sobie białą przewiewną sukienkę, spod której wystawały gołe nogi. – Ci z policji?

Skinąłem głową.

– Był tu twój ojciec. Rozmawiał ze mną.

– I co?

– I nic.

– Mnie powiedział, że nic nie znaleźli.

– Tak, mnie również. – Z pewnym wysiłkiem przeniosłem na nią wzrok. – Mówię przecież. Wszystko wydarzyło się tylko w mojej głowie. Dlatego. Dlatego te tabletki i terapia. Ale się staram. Wyprostują mnie.

Wbiła we mnie wzrok.

– Przykro mi, Sammy, naprawdę.

– Może... – zacząłem – ...było w tym też coś dobrego.

Nie poruszyła się.

– Przecież tak się poznaliśmy.

– Jesteśmy sąsiadami, Sammy! I tak byśmy się poznali. A poza tym... mój ojciec...  
znaczy, nie powiedziałam mu, że tu jestem.

Poruszyłem w wodzie palcami u nóg.

– Prawdopodobnie by mi nie pozwolił. Znaczy... na pewno nie.

– Bo...

– Dziwi cię to?

– No... boisz się mnie czy coś w tym rodzaju?

– Sammy... nikt nie wie, co zrobisz następnym razem. Nikt nie umie cię rozszyfrować.

– Tak. Nawet ja sam.

– Więc nie dziw się, że mój ojciec nie chce, żebym do ciebie przychodziła.

– Hm.

– Powiedział, że mam się trzymać od ciebie z dala.

– *Trzymać z dala*, tak?

– Tak.

Pomyślałem chwilę.

– Nigdy nie robisz tego, co każe ci ojciec?

– Dlaczego?

– No bo jesteś tutaj.

Spoważniała.

– Owszem, właściwie zawsze robię, co mi każe, chciałam tylko... się z tobą pożegnać.

To zabolalo. Jakby coś mnie ugryzło.

– Nie zobaczymy się więcej?

– I tak przecież wyjeżdżacie z mamą, prawda?

– Tak... tak, prawdopodobnie tak, chociaż... powiedziałem ojcu, że chcę zostać z nim.

– Po tym, co się stało?

– Tak... Właśnie... Chcę mu pokazać, że żałuję. Nie chcę tak go zostawiać. – Zerknąłem  
na nią. – Naprawdę myślisz... no wiesz, tak *naprawdę*, że sobie to uroiłem?

– A ty nie?

– No tak, jasne, znaczy, twój ojciec i jego ludzie przecież wszystko sprawdzili. Tym  
razem naprawdę *wszystko* zbadali, mikroskopami i tak dalej.

– Tak, Sammy, o tym też mi mówił.

– Więc nie mogli niczego przeoczyć. – *Chyba że ktoś gruntownie wszystko wyczyścił.*

Poczułem, jak wkrada się we mnie niepokój. Nagle w mojej głowie pojawił się pewien  
pomysł. Nie potrafiłem jeszcze go zwerbalizować, ale już widziałem jego niewyraźne zarysy.

– No bo... – zacząłem – twój ojciec w końcu jest prokuratorem?

Skinęła głową.

– Inaczej nie rozmawiałby z tobą. Pokazał ci fotografie kobiet, prawda?

– Tak.

– Nikt inny nie mógłby tego zrobić. Ale to on prowadził to postępowanie, znaczy  
dochodzenie...

– Dochodzenie... postępowanie? Wow, naprawdę się znasz.

Uśmiechnęła się.

– Po prostu czasem słyszę, jak opowiada o swojej pracy.

*Tak jak mój ojciec o muzyce.*

– To on przejął postępowanie dochodzeniowe, tak to się nazywa. Bo się martwił. Także o mnie. Bo mieszkacie tuż obok nas. Więc chciał się upewnić, że wszystko jest w porządku.

– Tak, dokładnie, a jeśli chce, to może też się postarać o to, by w tym postępowaniu dochodzeniowym, jak mówisz, wyszło dokładnie to, co chce, żeby wyszło! – wyrwało mi się tak szybko, że zanim dobrze się zastanowiłem, było już za późno.

Popatrzyła na mnie skołowana.

– Wszystko sobie uroiłem, tak? Yoki... wyśniłem ją sobie, w biały dzień? A co jeśli jest jakiś *powód*, dla którego policjanci nic nie znaleźli? – Moje dłonie i stopy ogarnęło ciepło.

– Jaki znów powód, Sammy? O co ci chodzi? Przestań!

– Twój ojciec... Sama powiedziałaś, że przejął dochodzenie... postępowanie. A co jeśli zrobił to, bo obaj, twój ojciec i mój, są ze sobą w zмовie? I dlatego nic nie znaleźli! – Uczucie ciepła przerodziło się w gorąco, gorąco, które przenikało mnie falami. – Co on takiego robi jako prokurator, kiedy, jak mówisz, przejmuje postępowanie?

– No... mówi policjantom, co mają robić.

– Widzisz? – Płasnąłem dłonią o gołe kolano. – Dlatego nic nie znaleźli! Twój ojciec mówi policjantom, co mają robić. Postarał się, żeby nic nie znaleźli.

Odchyliłem się mocno do tyłu, by móc dokładnie obserwować jej twarz.

– Marino, wiem, że to brzmi jak jakieś wariactwo, ale... znaczy, że naprawdę uroiłem sobie Yoki... – Coś zapiekło mnie w oczy i musiałem szybko zamrużyć.

– SAM, PRZESTAŃ! – Zasłoniła uszy.

– Nie, posłuchaj mnie! – Już raz mi uwierzyła, *musiała* uwierzyć mi jeszcze raz. – To po prostu niemożliwe, żebym sobie tę dziewczynę, Yoki...

– NIE MA ŻADNEJ YOKI, SAM!

– ...wymyślił. To niemożliwe. Nic nie znaleźli, to prawda, ale tylko dlatego że nie mieli znaleźć! – Nic mnie już nie powstrzymywało. Nagle wszystko nabrało sensu, wszystko ułożyło się w całość. – Przecież powiedział, że równie dobrze ktoś mógł wyczyścić piwnicę...

– On wezwał policję, Sam!

– Żeby mieć wszystko pod kontrolą! Sterował nimi na odległość. A że nikt nie zgłosił zaginięcia dziewczynki? Ona... Jak on to powiedział? Dokładnie! Wjechała do kraju nielegalnie i dlatego nikt nie zgłosił jej zaginięcia. Ale to nie znaczy... – Chwyliłem ją za ręce i oboje poderwaliśmy się do góry. – To nie znaczy, że ona nie istnieje. Istnieje, musi gdzieś być!

Jej krzyk był tak przenikliwy, że drgnąłem.

– PUŚĆ MNIE, SAMMY! Mój ojciec... Oni mają rację! Ty naprawdę kompletnie zwariowałaś!

Moje ręce opadły. Pies też podskoczył i teraz uważnie śledził mnie wzrokiem. Jego ślepie, które zazwyczaj wyglądały jak zamglone, teraz jakby jarzyły się od środka.

*Devil – dokładnie!*

– Nie dostrzegasz tego? Sama powiedziałaś mi parę dni temu, że twój ojciec nie lubi, kiedy Devil włóczy się tunelami.

– Tak, to prawda, i dlatego dba o to, by wejścia do podziemi były zamknięte.

– Wejścia do podziemi.

– Tak.

– A sam nigdy nie schodzi do podziemi.

– Owszem, o ile wiem... Nie mam pojęcia, raz chyba zszedł, bo obawiał się, że Devil mógł tam zabłądzić.

– Widzisz! – Moje serce przyśpieszyło. – Jest, jak mówię. On też tam był. Twój ojciec i mój... obaj...

Marina odsunęła się ode mnie z przerażeniem.

– Co ty myślisz, że kim jest mój ojciec? Twój może i tak, ale mój... Skąd ci to w ogóle przyszło do głowy! NIE RUSZAJ SIĘ!

Zamarłem na brzegu sadzawki, podczas gdy ona, zwrócona do mnie przodem, cofała się, potykając. Dog nie odstępował jej na krok.

Już... już więcej się nie zobaczymy?

Odwróciła się i pobiegła. Pędziła żwirową ścieżką obok stawu, aż jej biała sukienka zniknęła za liśćmi żywopłotu. Devil, niczym czarny cień, przemknął obok niej przez oświetlony słońcem ogród.

– Idiota! – Z całej siły uderzyłem się pięścią w skroń. – Kompletny idiota! – Stałem w miejscu, gdzie krzyżowały się ścieżki ogrodu różanego. Słońce prażyło mi czoło. – Jesteś nienormalnym sukinsynem, Sammy! – Nie szeptałem, nie myślałem tego, po prostu wyrzucałem z siebie słowa przez zęby, aż syczało. – Ona nie chce cię widzieć! I ma rację!

Jej ojciec... Co takiego powiedziałem? Oskarżyłem nie tylko swojego ojca, ale i ojca Mariny.

– Jesteś sukinsynem, Sam! Twój łeb nie pracuje, jak należy, bo w twoim mózgu siedzą robaki, bo twoimi oczami żywią się węże, dlatego tak się miotasz. To nie ich wina. To ty jesteś nienormalny. Ty wymyśliłeś sobie Yoki. Ty *chcesz* ją mieć tam, na dole, to dlatego zacząłeś o niej roić. – Czułem, jak uginają się pode mną kolana.

– SUKINSYN! – krzychałem. Odchyliłem głowę i popatrzyłem na korony drzew nad sobą. Z najwyższych gałęzi poderwały się z trzepotem dwa gołębice. Uderzyłem się w twarz.

– Trzymała twoją stronę, wierzyła ci, była dla ciebie miła, lubiłeś spędzać z nią czas. A potem ją przepędziłeś. – Uderzyłem się w brzuch i ugiąłem pod twardym ciosem. – Przegnałeś. Ona kocha swojego ojca. Ale ty jej mówisz, że jej ojciec więzi dziewczynę, która jest niewiele starsza od niej samej. – Wcisnąłem pięści w oczodoły, aż zobaczyłem zielone i żółte plamy.

– Mój i jej ojciec! Nawet się nie znają! Najlepiej od razu urwij sobie łeb, Sammy! – *Albo nogę. Idź do szopy na narzędzia, weź z haka sierp i utnij sobie nogę, może to wróci ci rozum.*

Szedłem ścieżką, ślaniając się na nogach. Linus, mama, wszyscy próbowali przywrócić mnie do porządku. Starali się, jak mogli. Rozmawiali ze mną, zadawali sobie trud. Nie, Sammy potrzebuje jeszcze trochę czasu. Musi się zaaklimatyzować w mieście. Jasne, jest czasami trochę dziwny, ale... Nie, jest w porządku, trzeba tylko wiedzieć, jak do niego podejść. Jest uparty, ale nie jest... Zły. Zły nie jest. To nie jego wina. Bierze lekarstwo. Niedługo na pewno będzie lepiej. Trzeba tylko na niego uważać i w końcu będzie lepiej. Może nigdy nie będzie taki jak inne dzieci, ale... należy do nas. Moja pięść trafiła w czoło, poczułem ból i głowa odskoczyła mi w bok. Zawsze trzymali moją stronę. Także mój ojciec. On nawet bardziej niż inni. „Hau!”. Mówił „hau”, kiedy zagadywałem go jak pies. I patrzył na mnie z miłością.

– MÓJ OJCIEC – usłyszałem swój przenikliwy, zniekształcony głos – **WIĘZI DZIEWCZYNKĘ!**

Pięści załomotały w uda, czułem, jak tworzą się na nich sińce.

– **DO NICZEGO SIĘ NIE NADAJESZ, NIENAWIDZĘ CIĘ, SAM!**

*Nienawidzę siebie. Gardzę sobą. Nie chcę być sobą.*

Wycelowałem pięści w dół, wyprostowałem ręce – mały chłopiec, spięty jak jeden wielki mięsień. Choć obsypywałem siebie ciosami i obelgami, nie zmieniało to sytuacji. Marina nie wróci. Przepędziłem ją.

Jak ślepiec szedłem na sztywnych nogach przez ogród, aż nagle poczułem, że dotykam czegoś palcami stóp. Miałem wrażenie, że przejrzałem na oczy, jakby moje spojrzenie, które wlepiąłem jak zahipnotyzowany w swój wewnętrzny świat, zostało wypchnięte na zewnątrz.

Dotykałem mogiły psa. Mogiły pod sosnami, do której bezwiednie poszedłem. Grób Nemo.

Opadłem na miękką, usłaną igłami ściółkę, ukląknąłem przed nagrobną płytą i wryłem paznokcie w suchą ziemię. Poczułem, jak porowata nawierzchnia kamienia ściera mi naskórek.

– Wyłaż stamtąd, ty przeklęty kundlu! Jesteś tam? A może jest tam chłopiec i zaraz skoczy mi do gardła?



Klapnąłem na tyłek i zaparłem się stopami o nagrobek, napierałem nań, wbijając dłonie w ziemię za sobą.

Przepędziłem Marinę, ale to ten przeklęty dom ponosił za to winę. Nie ja! Czyżbym już zapomniał?

– To dom z czarował psa, a teraz mnie. Nie mojego ojca. To nie on. To ja jestem potworem!

Coś zachrząściło, a potem zobaczyłem, jak płyta drgnęła pod naciskiem moich nóg. Milimetr po milimetrze dała się przesunąć po cokole, na którym spoczywała. Rzuciłem się naprzód, wsunąłem gołe palce w powstałą lukę, napiąłem plecy i mięśnie karku. A potem, wyętzając wszystkie siły, jednym szarpnięciem poderwałem kamień. Uniósł się ledwie na centymetr i niemal od razu musiałem go puścić, bo naciągnąłem sobie coś w barku. Ciężar upadł głucho. Ale zdążyłem zobaczyć, co jest pod spodem. Tylko piach. Zwyczajny berliński piach. Sypki jak cukier i suchy, wciskający się w każdą rysę. Podskoczyłem, ponownie nachyliłem się nad płytą i z jękiem dźwignąłem ją na bok.

*Piach. Tylko piach!*

Poczułem się tak, jakby obmyła mnie rozżarzona do czerwoności fala. Stałem pod sosnami z uniesionymi pięściami, z twarzą gorącą z wysiłku.

– NIE DAM CI SIĘ!

Wykrzyczałem to w kierunku domu, który wznosił się po przeciwnej stronie trawnika, ze swoimi czerwonymi dachami i fasadą w kolorze błota. Pot spływał mi po szyi i plecach.

*Poszczuleś Philippa psem, który go rozszarpał. Mnie nie uśmiercisz, ty przeklęta budo!*

Okrągłe okno – mogłem je teraz widzieć. Okrągłe okno i dwa świetliki. Układały się w gębę, która szczyrzyła się do mnie przez gałęzie sosen.

Kiedy po południu mama weszła do mojego pokoju, żeby zobaczyć, czy już spakowałem torby, leżałem na łóżku. Wciąż jeszcze nie doszedłem do siebie.

– Mamo, ja nie chcę wyjeżdżać. Chcę... chcę zostać z tatą.

Popatrzyła na mnie i uświadomiłem sobie, że musiała dostrzec w mojej twarzy coś, czego jeszcze nie знаła.

– Jesteś pewien?

– Tak.

– Dobrze, Sammy, w porządku. Jak chcesz. Zostań dziś, a jutro porozmawiamy przez telefon. Uzgodniłam to z ojcem. Początkowo się nie zgadzał, ale skoro chcesz... I tak musimy zobaczyć, jak to będzie w najbliższych tygodniach. Jadę, Linus już czeka. Zadzwoń do ciebie rano.

Wkrótce zobaczyłem z okna pokoju, jak powoli wyjeżdża z posesji samochodem z wypożyczalni. „Ty weź taksówkę”, powiedziała do ojca. Sama potrzebowała samochodu ze względu na bagaże. I nie mieliśmy już auta. Pomachałem jej z okna; widziałem za kierownicą jej bark i rękę. Nie zauważyła mnie. Otumaniony, na ślaniających się nogach, wróciłem do łóżka i padłem na materac. Schowałem głowę pod poduszkę. Nie spałem pół nocy, ale teraz bez problemu zapadłem w sen.

– Sammy. Obudź się. – Głos był przytłumiony, cichy, a jednak alarmujący.

Zamrugąłem. Moje powieki były sklezione, włosy skołtunionie. Zasnąłem w ubraniu i przepociłem je. Zrobiło się już ciemno, okno w moim pokoju było otwarte, ale wciąż było ciepło. Wręcz parno. Jakby zanosilo się na burzę, która nie może się wyładować.

– Co... co się dzieje? – Przetoczyłem się na plecy i zobaczyłem stojącego przy łóżku ojca. – Cześć, tato. Chcesz posłuchać moich nagrań? – Podniosłem na niego wzrok i skinąłem głową w stronę nocnej szafki, na której położyłem dyktafon. Mglisto przypominałem sobie, że

włączyłem go, kiedy otumaniony i przepełniony nienawiścią do siebie biegałem po posesji. Nagrałem stukanie okiennicy, pisk obluzowanej rynny na wietrze...

Weź, zobaczysz, brzmią naprawdę.

– Sammy... Odsłucham twoje nagrania później, ale teraz... Przykro mi, ale coś się stało.

– Tak? Co? – Wychyliłem się do przodu, otworzyłem dyktafon, wyjąłem małą kasetę i dałem mu ją.

– Zaraz powinni tu być.

Twarz ojca oświetlało tylko skąpe światło sączące się z przedpokoju. W zamyśleniu schował kasetę do kieszeni.

– Powinni tu być? Kto?

– Funkcjonariusze. – Usłyszałem. – Są u Kaplanów, lada moment powinni być u nas.

– Tak? – Nie rozumiałem, co do mnie mówi. – Ale czemu?

– Sammy, coś się stało z córką Kaplana... z Mariną. Nie wróciła do domu od południa.

Wysłali ekipy poszukiwawcze. Zniknęła bez śladu.

– Zrozumiałeś, Sammy? *Musisz* im powiedzieć, że po południu byliśmy razem – ojciec, schodzący po schodach, rzucił do mnie przez ramię.

Musiałem przeskakiwać po dwa stopnie na raz, żeby dotrzymać mu kroku.

– Przez całe popołudnie! Jasne?

Zatrzymaliśmy się. Patrzył na mnie, a ja miałem wrażenie, że w jego wzroku migocze silny niepokój.

– Ale... tato, ja spałem. Byłem w swoim pokoju.

– Wiem, Sammy, wiem. – Postąpił jeden stopień w moją stronę, ale dalej stał niżej niż ja.

– To ważne, żebyś to dla mnie zrobił. Po tym wszystkim, co się stało... Rozumiesz w ogóle, o co chodzi?

Milczałem skołowany. Ojciec skrzywił się lekko.

– Nikt nie widział Mariny od południa. Przedtem jej matka zadzwoniła do nas i spytała, czy jest tu jej córka. Była dość... wzburzona. A potem... przed chwilą... słyszałem nadjeżdżające radiowozy. U Kaplanów panuje wielkie poruszenie.

– Ona...

– Nikt nie wie, co się z nią dzieje, Sammy, ale...

Poczułem ukłucie. „Ty naprawdę kompletnie zwariowałeś!” – to były ostatnie słowa, które cisnęła w moją stronę.

– Przecież nie mogła tak po prostu zniknąć. – Kołowało mi się w głowie.

– Prawdopodobnie zjawi się jeszcze dziś wieczorem.

– Ale gdzie ona jest? Marina jeszcze nigdy nie uciekła, to jest...

Jego ciemne oczy były teraz tuż przed moimi.

– Sammy, ona wróci, na pewno wróci. Ale policja, po tym wszystkim, co zaszło, przyjdzie do nas, pewnie są już w drodze.

Był rozgorączkowany, wyraźnie to czułem. Nie miał już czasu.

Wszystko się we mnie kotłowało. Wiedziałem jednak, że muszę się wziąć w garść.

– Tak.

– Będą chcieli wiedzieć, gdzie byłem.

Skinąłem głową.

– *Musisz* im powiedzieć, że popołudnie spędziliśmy razem.

– Ale tak nie było.

– Wiem, Sammy.

– Mimo to mam tak powiedzieć.

– Oni nie odpuszczą. Jesteś moim synem, dlatego twoje zeznania i tak nie będą... przed sądem... Nie jestem pewien, ale myślę, że jako syn nie możesz zeznawać przeciwko mnie.

– Ale dlaczego przeciwko tobie, tato?

Trzymał ręce przed sobą, jakby chciał uchwycić niewidzialną piłkę.

– Sammy, nie mogę ci teraz wszystkiego wyjaśniać. *Musisz* im tylko powiedzieć, że byliśmy razem.

Kręciło mi się w głowie.

– Ale co robiliśmy?

Jego wzrok przeskoczył na jakiś niewidzialny punkt w oddali.

– Byłeś w mojej pracowni i... leżałeś na podłodze, podczas gdy ja komponowałem.

Okay? – Popatrzył znów na mnie.

– Okay.  
– Byłeś rozstrojony, twoja matka dziś wyjechała.  
Skinąłem głową.  
– Nie chciałeś być sam, leżałeś obok mnie na podłodze i czytałeś książkę.  
– Jaką książkę?  
– A co teraz czytasz?  
– Zaczekaj, przyniosę.  
– Tak, zrób to! Przynieś ją do pracowni. Pośpiesz się!  
Wbiegłem na górę do swojego pokoju, chwyciłem książkę leżącą na nocnej szafce i pognałem z powrotem ku schodom. *To nieprawda. Nie byłem razem z nim.*  
– Sammy? – Usłyszałem, jak woła z dołu.  
– Tak, tato, już idę.  
Zbiegłem po schodach i zaniósłem książkę do pracowni.  
– Zobacz, rozłożyłem na podłodze koc. Tutaj czytałeś książkę, kiedy pracowałem. Położyłem książkę, otwartą grzbietem do góry, na podłodze obok koca.  
– Okay.  
– Okay – powtórzyłem.  
*To nieprawda.*  
– Tato?  
– Tak?  
– Boję się.  
– Niepotrzebnie. Marina... Wkrótce ją znajdą. Lubisz ją, tak?  
– Jest miła.  
*To nieprawda.*  
– Tato?  
– Tak?  
– Ja... wszystko poplączę.  
Popatrzył na mnie uważnie.  
– Dasz radę.  
– Ale to nieprawda, że byłem tu z tobą i czytałem.  
Przejechał dłonią po czole.  
– Sammy, ja... jestem twoim ojcem. Kiedy sam będziesz miał dzieci, zrozumiesz.  
Kocham cię. Jesteś moim synem. Zrobiłbym dla ciebie wszystko.  
– Ja też chcę zrobić dla ciebie wszystko, ale...  
– Dobrze, posłuchaj. – Usiadł na niskim krześle.  
– W porządku. Nie musisz... To nie ma sensu. Twoje zeznanie, tak jak powiedziałem, oni i tak je... Może nawet cię nie zapytają. Ale w porządku. Po prostu powiedz, jak było. Byłeś na górze, spałeś. W porządku.  
Ale przecież ja chciałem mu pomóc. Już i tak wyrządziłem tyle szkód. Mama odeszła, Linus też. Nawet nie wiedziałem, gdzie teraz są. Chciałem zostać z nim. Ze swoim ojcem.  
– Chcę ci pomóc, tato.  
– Nie powinienem był o to prosić. Przepraszam, Sammy. Chodź tutaj.  
Podszedłem do niego.  
– Masz. – Przetarł mi twarz chustką. – Jesteś strasznie spocony.  
– Chcę ci pomóc, tato.  
– Nie ma problemu, synku, nie przejmuj się.  
– To nie takie trudne.

Wstał bez słowa i poszedł do holu. Przez uchylone drzwi widziałem, jak wygląda przez okno do ciemnego ogrodu.

– I jak? Idą? – zapytałem, gdy wracał.

Pokręcił głową.

– Nie widać ich jeszcze.

– Więc leżałem tu, na podłodze.

Znowu dotknął czoła.

– Tato...

Nagle ukucnął przede mną, chwycił mnie za ręce, a ja wiedziałem, że to ten moment. Moment, od którego wszystko zależy.

– Sammy, posłuchaj mnie uważnie! Wiem, że jesteś jeszcze dzieckiem. Ale to nie jest zabawa. Rozumiesz? Więc jak, co robimy?

W tym momencie przez hol poniósł się dźwięk dzwonka u drzwi. Dźwięk, który przeciął mnie jak brzytwa.

Zobaczyłem, jak jego oczy otwierają się jeszcze szerzej.

– *Co robimy, Sammy?* – wyszeptał ponownie z takim napięciem, że miałem wrażenie, jakby zastygło powietrze.

Dygotałem, czułem lodowate zimno.

– Panie Grossman? – Głos wpłynął do wnętrza domu. Jednocześnie coś mocno uderzyło o drzwi wejściowe. Musieli minąć już furtkę i frontowy ogródek.

– Byłem u ciebie w pracowni, tato – wyszeptałem pośpiesznie.

– Posłuchaj, chłopcze, to nie jest oficjalne przesłuchanie, chciałbym tylko wyrobić sobie ogólny ogląd.

Mężczyzna był wysoki, co najmniej o głowę wyższy od mojego ojca, szeroki i ciężki. Miał łysinę i był ubrany w brzydką wiatrówkę, sportowe buty i jeansy.

Patrzyłem na niego z szalejącym sercem.

– Gdzie jest pan Kaplan, z którym rozmawiałem ostatnim razem?

– Został przewieziony wraz z rodziną w bezpieczne miejsce. Wyobrażasz sobie chyba, jak bardzo poruszeni są rodzice Mariny.

Nie lubiłem go. Przyszli we dwóch. Wziął mnie na stronę i poszedł ze mną do kuchni.

Usiadł przy stole naprzeciwko mnie.

– Twój ojciec wyraził zgodę, żebyśmy my dwaj, ty i ja, porozmawiali w cztery oczy. Dla mnie to ważne, Sammy. Dla mnie i dla Mariny.

Popatrzyłem na swoje dłonie. *Marina.*

– Pan Kaplan ci ufa, Sammy. Uważa, że nie zawahałeś się, by zwrócić na siebie uwagę, kiedy sprawy wydały ci się dziwne.

– Bo zatrzymałem taksówkę?

Skinął głową.

– Jak mówiłem, chcę tylko wyrobić sobie ogląd sytuacji, Sammy. A czas ucieka.

Marina... znasz ją, prawda?

– Tak.

– My na policji wiemy, jak ważne są pierwsze godziny. Dlatego muszę z tobą porozmawiać.

*Byłem w pracowni taty i czytałem.*

Nie poruszyłem się.

– Bardzo lubisz swojego tatę, prawda, Sammy?

– Tak.

– Ale widziałeś u was w piwnicy dziewczynkę.

– Ja... nie jestem pewien. – Podniosłem jednak wzrok. – Dużo rozmawiam o tym z Gabriellą... z panią z Urzędu do spraw Młodzieży, znaczy tą, którą przysłał do nas urząd. Ona uważa, że mogłem to sobie uroić. I od jakiegoś czasu biorę lekarstwo. Niekiedy kręci mi się od niego w głowie. – *A niekiedy mam drgawki.* – Ale Gabriella mówi, że to normalne.

Jego oczy były szare jak lód. Dłonie wydały mi się wielkie jak łopaty. Siedział przede mną spokojnie, jak kot, który za chwilę rzuci się na ptaka.

– Posłuchaj, Sammy, nie chcę dziś rozmawiać z tobą o tamtej dziewczynce, chcę porozmawiać o twoim tacie.

Nie poruszyłem się.

– Twoja mama wyjechała?

– Tak.

– Ale ty chciałeś zostać z tatą?

– Tak.

– Dlaczego?

Moje spojrzenie powędrowało do góry.

– Nie chcę zostawiać taty samego.

– Nie boisz się go? Kiedy zatrzymałeś taksówkę... ludzie mówili, że byłeś bardzo

roztrzęsiony.

Popatrzyłem na niego, ale nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Czy bałem się ojca? Czasami, ale... Jak to wytłumaczyć? A poza tym on i tak zrozumiąłby to opacznie.

– Byłeś tu dziś przez cały dzień?

– Tak.

– Gdzie?

– Tutaj.

– W domu?

Skinąłem głową.

– Cały dzień?

– Nie... Najpierw w ogrodzie, potem w domu. – To była prawda.

– A gdzie byłeś dziś po południu?

*Spałem w swoim pokoju.* Byłem taki zmęczony, było duszno, tamta kłótnia. Pokłóciłem się z Mariną... Poczulem, jak koszulka przykleja się do moich pleców.

– Sammy?

– Tak?

– Dzisiaj po południu, gdzie wtedy byłeś?

– W domu.

– A gdzie był twój tata?

– Też w domu, też w pracowni, w swojej pracowni.

Popatrzył na mnie uważnie.

– *Też?*

– Tak.

– *Co też?*

– On też był w domu, też w pracowni. Obaj byliśmy w jego pracowni.

– Naprawdę?

– Mhm.

Jego lodowato szare oczy wpatrywały się we mnie.

*Nie. Nie, to nieprawda. Nie byłem tam.* Czy mógłbym, czy powinienem wykrzyczeć to wreszcie, cisnąć mu w twarz, żeby ten okropny ciężar na piersi wreszcie ustał?

– Jak długo byłeś w pracowni twojego taty?

– Eee... Nie patrzyłem na zegarek.

– A co tam robiłeś?

Zerwałem się z miejsca.

– Hej! – krzyknął za mną, ale nie zatrzymałem się. Pobiegłem przez przedpokój do pracowni po książkę, którą tam zostawiłem.

– Czytałem. To! – Wróciłem do kuchni z książką w ręku.

Wziął ją i przekartkował. Nie czytał, wiedziałem, że tylko ją przegląda.

– Często tak robisz? Leżysz w pokoju ojca i czytasz?

– Mhm. – *Nie. Nigdy.*

– Czy przez cały czas, podczas gdy ty czytałeś, on również był w pracowni?

– Tak.

– Nie przeszkadza mu, że tam jesteś?

Wzruszyłem ramionami.

Wstał raptownie. Domyśliłem się, że mi nie wierzy. Lecz co miał zrobić? Bez słowa wyszedł z pomieszczenia. Książkę, którą mu pokazałem, zostawił na stole.

Osunąłem się na krzesło, próbując sobie wmówić, że jestem z siebie dumny, że dobrze

sobie poradziłem. A jednak czułem niepokój. To, co zrobiłem, nie było słuszne. Ale nie stanąć po stronie ojca też nie byłoby słuszne. Bo go kochałem, a słuszne jest trzymać stronę tego, kogo się kocha. Prawda?



Nie pamiętam już, co mnie obudziło w środku nocy. Wiem tylko, że stałem przy oknie w swoim pokoju i wyglądałem na zewnątrz. Na trawnik, który rozciągał się aż po żywopłot. Światło księżycy było białe i zimne, topole rzucały cień na murawę. Wszystko było skąpane w poświacie, jakby ktoś otworzył drzwi gigantycznej lodówki. Ale części ogrodu pogrążone w cieniu były czarne. Pamiętam, jak spoglądałem w dół, na nieruchome rośliny. Upał jeszcze się wzmógł, gdzieś daleko widać było migotanie błyskawic, ale burza jeszcze do nas nie dotarła.

To przypominało ogromnego owada, wielkiego jak człowiek. Czarny cień, odrobinę połyskujący. Połyskujący wilgocią. Jakby powleczony warstewką śliny. Jakimś ochronnym smarem. Owad z czułkami. Owad, który poruszał się w urywany, gwałtowny sposób. Ruch głową na lewo, macająca noga na prawo. Owad, który wyszedł z cienia.

Postać w dole na trawniku była zupełnie bezgłośna. Tak bezgłośna jak blade światło księżycy. A jednak coś musiało mnie zbudzić. Nie pamiętam, z jakiego snu zostałem wyrwany. Ale się obudziłem. I zobaczyłem w cieniu na skraju murawy tamto stworzenie. Schylone, przyczapione. Druga postać odwróciła się, dając znak. Dołączyły do nich dwie kolejne. Czarne, połyskujące, z głowami jak gigantyczne owady.

Czwórka.

Puściłem się pędem. Po korytarzach i dywanach. Na bosaka. Słyszałem wydawane przez siebie odgłosy. Odgłosy strachu, który zaciskał się na mej piersi jak stalowa obręcz.

Całe piętro, na którym znajdowały się nasze sypialnie, było ciemne. Pokój Linusa był pusty. Stałem w drzwiach sypialni rodziców. Duże małżeńskie łóżko również było nietknięte.

Gdzie był mój ojciec?

Serce zatrzepotało mi w krtani. Skoczyłem do schodów, usłyszałem tupot swoich gołych stóp na stopniach.

W salonie też go nie było. Jego pracownia – ciemna.

*Jestem sam. Zostawił mnie tutaj. Przyszli po mnie. Wyciągną po mnie swoje czułki, obślinią mnie i wbiją we mnie swoje żądła, które sparaliżują mnie i sprawią, że powoli się uduszę.*

Krew buzowała w moich żyłach, miałem wrażenie, że zaraz pęknie mi czaszka. Zrelacjonowałem ojcu, co powiedziałem temu facetowi z policji. Tylko pogłaskał mnie po głowie, kiedy kładł mnie spać.

*Potem wyszedł z domu. Może zostawił drzwi otwarte? Nie śmiałem sprawdzić. Są tam, na zewnątrz. Tylko czekają, aż im otworzę.*

Stałem w holu i obracałem się wokół własnej osi.

– Mama. – Powinienem być pojechać z mamą.

*Sam. Zostawił mnie samego.*

– Nie możecie... nie możecie zostawić mnie samego. – Słowa przemknęły po moich ustach jak spłoszone zwierzątka. Szurałem stopami po kamiennej posadzce, moje serce było nierówno.

I nagle zawisłem w powietrzu. Zarzuciłem mu ręce na szyję i przytuliłem twarz do jego ramienia.

Ojciec zjawił się za mną nie wiadomo skąd, upuścił coś i zasłonił mi na chwilę usta, by zdławić krzyk, który wyrывał mi się z gardła.

– Są na zewnątrz, Sammy.

*Wiem.*

– Są niebezpieczni.

Czułem, jak drzę na całym ciele.

– Spokojnie, Sammy.

– Kto to jest, tato?

– Na mundurach mają napisy „policja”. Ale ja im nie ufam.

*Policja...* Widziałem białe litery na ich kombinezonach, ale w ciemności nie mogłem ich rozszyfrować.

– Nie możemy im ufać.

*Nie.* Jego czarna głowa górowała nade mną w holu.

– Gdzie byłeś, tato? Szukałem cię...

– Widziałem przez okno, jak przyszli, i zgasilem światło w pracowni... Szukałem cię, ale nie było cię w łóżku.

Postawił mnie na podłodze i przykucnął przede mną. Dopiero teraz zobaczyłem, co upuścił, zanim zasłonił mi usta. To była siekiera – o trzonku niemal tak długim jak moje nogi i ostrzu wielkim jak moja głowa.

– Dlaczego nie możemy im ufać, tato? Przecież to policjanci.

– Bo nie możemy ufać Kaplanowi, Sam.

Popatrzyłem mu w oczy.

– To moja wina, Sammy... – Przycisnął do skroni palce obu rąk. – To moja wina, powinienem być cię posłuchać, ale... zbyt późno to zrozumiałem. Miałaś rację, ta dziewczynka w piwnicy, którą widziałeś...

„*DADDY, NOOOOO!*”. Krzyczała: „*DADDY, NOOOOO!*”.

– Ona naprawdę tam była, tylko... to Kaplan ją tam trzymał. Naturalnie nie wierzyłem, że to możliwe. Aż pojąłem, że miałaś rację. Tam, na dole, była dziewczynka, dokładnie tak, jak powiedziałaś.

Przebiegł mnie dreszcz. Mrowienie we wszystkich kończynach, tak przemożne, że obawiałem się, iż zemdleję.

– Kaplan pracuje w prokuraturze. Do sądu bez przerwy trafiają sprawy o handel ludźmi. On... musiał jakoś nawiązać kontakt z tymi osobami. – Ojciec zerknął na schody prowadzące na wyższe piętra, a potem pośpiesznie przeniósł wzrok na mnie. – Dzisiaj po południu wszystko sobie obejrzałem. Szyb w komórce, kręgielnię, rzuciłem nawet parę kul. I ustaliłem, dokąd prowadzą tunele. Jeden z nich kończy się na niezabudowanej działce.

*Pokrywa studzienki.* Byłem tam z Mariną.

– Prawdopodobnie tamtędy ją wyprowadził. – Usłyszałem szept ojca. – To wtedy musiała zgubić misia, którego niedawno znalazłem w korytarzu.

*Miś.* Zacisnąłem dłonie z przodu klatki piersiowej. Kaplan. Ojciec Mariny. Miałem rację.

– Mogę tylko sobie wyobrazić, jak to się musiało odbyć. Miał kontakt z osobami, które sprowadzają do kraju te dziewczynki. I uwięził jedną z nich w schronie na dole. Na długo, zanim się tu wprowadzili. On jeden wie, ile czasu spędziła w tym lochu. Przez niezabudowaną posesję mógł wchodzić do celi niezauważony przez nikogo.

Mówiłem Marinie. Przyznała nawet, że jej ojciec chodził po tunelach. Ze względu na Devila...

– Ale ona krzyczała: „Daddy, no!”...

– Nie wiedziała, kim jesteś, Sam. Wzięła cię za syna Kaplana. – Odgarnął mi włosy z czoła. – Marina, jego córka...

– To byłem ja, to *ja* jej powiedziałem, że jej ojciec ma z tym coś wspólnego – szepnąłem. Czy to znaczy, że Marina przeze mnie...? – Nie... nie chciałem tego, tato!

– Psst.

Zastygliśmy w bezruchu. Ale nic nie było słyhać.

– Kaplan ma nad nami przewagę – powiedział ojciec. – Zrobi wszystko, by uciszyć ostatniego świadka. I ma w garści policję. Dlatego nic do tej pory nie znaleźli. Tylko Marina... Wiedziała od ciebie, a teraz najwyraźniej zlikwidował i ją. Ale ja nie dopuszczę, żeby cię skrzywdził.

Instynktownie popatrzyliśmy przez okno, za którym widniał tylko mur dzielący nas od posesji Kaplanów. Dalej majaczył błądy i czarny fragment kwadratowego domu.

– Zadbał o to, by jego rodzina opuściła dom, żeby jego ludzie mieli wolną rękę – szeptał dalej ojciec. – Prawdopodobnie chce mnie zrobić w całą tę sprawę. Po tym, jak już dwukrotnie podpadłem policji. Musimy się bronić, Sam, zanim będzie za późno.

Uwolnił swoją rękę z uchwytu, w którym mocno ją trzymałem, i objął trzonek leżącej u jego stóp siekiery.

Dotknąłem swojej głowy.

– Co oni mają na głowach?

– Noktowizory. Mogą nas widzieć w ciemności.

Przełknąłem ślinę.

*Mogą nas widzieć w ciemności.*

– A mama wzięła samochód i nie możemy się stąd ruszyć.

– Musimy wezwać policję – powiedziałem ledwie słyszalnie. – Prawdziwą policję, która nie słucha Kaplana.

Rozległ się delikatny chrzęst szkła. Cichusieńki, lecz obaj wiedzieliśmy, że był. Że miał miejsce. Rozległ się tylko z jednego powodu. Zbliźali się.

Weszli do środka.

Weszli do domu.

– Do szafki, Sammy. Jest taka mała, że nie będą się tam ciebie spodziewać – syknął ojciec.

Zakradliśmy się schodami na górę, do łazienki. Miał na myśli szafkę pod umywalką. Zwinąłem się w kulkę i wcisnąłem do środka. Ojciec ostrożnie domknął drzwi. Nie zamykały się do końca, ale prawie. Smuga światła wpadała przez wąską szczelinę do czarnego jak smoła wnętrza.

– Nie ruszaj się. – Usłyszałem jeszcze.

W środku ledwie miałem miejsce, żeby odetchnąć. Głowę miałem zakleszczoną, jedna noga zaczęła mi cierpnąć.

*Pewnie dzwoni po pomoc. Z telefonu w pokoju Linusa.*

Ale nie słyszałem, by telefonował. Czyżby był tak cicho, że w szafce nie było go słyhać?

Zamiast tego dobiegł mnie inny odgłos.

Kroki.

Kroki na schodach.

Przyłożyłem oko do szczeliny. W bladej poświacie rozpoznawałem powoli kafelki, muszlę klozetową, prysznic.

Kroki zatrzymały się przed drzwiami łazienki. Wstrzymałem oddech. Chwilę później cień zasłonił szczelinę, przez którą patrzyłem. Ktoś wszedł do środka. Postać powoli przesunęła się w stronę prysznica, zobaczyłem, jak czyjaś ręka odsuwa zasłonę. Nie widziałem głowy intruza, tylko jego nogi i część pleców.

*Znajdzie mnie.*

Myśli w mojej głowie galopowały. Patrzyłem, jak postać obraca się przed moją szafką. Zamrugalem, cień schylił się powoli. Widziałem, jak w szparze ciasnej szafki pomału, milimetr po milimetrze, pojawia się wylot lufy. Lufy, nad którą nagle zabłysło przenikliwe światło, paląc mnie w oczy.

*W usta! On naciśnie spust i kula trafi mnie w usta, w gardło, w szyję, w pierś!*

Słowa eksplodowały w mojej czaszce:

– Nie! Ja nic nie widziałem!

Poczułem, jak spinają mi się mięśnie karku i całe ciało zamienia się w sprężynę.

Wypadłem na zewnątrz. Mężczyzna odbił się ode mnie, ale jego dłonie w rękawiczkach zaciskały się na broni jak obcęgi.

Jednocześnie między ciasnymi ścianami łazienki rozprysnął się chrapliwy krzyk, krzyk, którego nie wydał z siebie ani ten mężczyzna, ani ja. Krzyk, który dobiegł od drzwi. Czarna postać poderwała broń do góry – i w tym samym momencie rozrywający huk wysłał resztki powietrza z wyłożonego kafelkami pomieszczenia. Obraz przed moimi oczami jakby popękał, w uszach dzwonił mi nieznośny gwizd. Na poły tkwiąc jeszcze w szafce, na poły leżąc na kafelkach, zobaczyłem, jak czarna postać szarpie głową w tył, a noktowizor zsuwa się w dół. Uderzenie, ostre wciągnięcie powietrza, łup. Soczyste, głuche, tępe.

Ostrze siekiery uderzyło mężczyznę prosto w twarz. Między oczy. W nos. Krew bryzgała długimi strugami na kafelki. Poczułem, jak warstewka lodu pokrywa moje ciało, patrzyłem na człowieka stojącego na środku zbryzganej łazienki, z wklęsłą twarzą i sterczącym krzywo gładkim ostrzem siekiery. Ojciec musiał z całej siły wbić stal w jego głowę.

Nie było słyhać krzyku, wzywania pomocy, ostrzeżenia. Tylko tryskała krew.

A potem rozległo się głuche tąpnięcie, kiedy ciężkie ciało mężczyzny osunęło się na

podłogę, między prysznicem a muszlą klozetową.

Sekundę później ojciec pochwycił mnie i szarpnął. Mój wzrok potoczył się po bezwolnej masie. Mężczyzna leżał twarzą do góry, trzonek sterczał pionowo, ostrze tkwiło stabilnie w czaszce. Kołatanie serca, wizg urywanego oddechu. Łomot ciężkich butów wbiegających po schodach.

Dalej schodami w górę.

Mój oddech się rwał, kiedy wbiegaliśmy na poddasze. Ojciec był tuż za mną. Prześliznąłem się przez właz, którym kończyły się schody, i zobaczyłem ślad pozostawiony przez tatę na stopniach.

Z dziwną ociężałością przecisnął się za mną przez luk, przytrzymał się na chwilę mojej ręki, a ja poczułem, że jego dłoń jest śliska od krwi. Sekundę później zatrzasnąłem klapę na strych. To i tak była kwestia sekund, zanim tamci zorientują się, gdzie jesteśmy.

– Zabij luk deskami! Masz! – Ojciec ściągnął z regału starą skrzynkę na narzędzia. Huknęła o podłogę z brzękiem śrubokrętów, pilników i starych gwoździ. Przycisnął dłoń do boku.

*Huk! Wystrzał w łazience! Został trafiony!*

Klnąc, stargał z regału dwie deski i umieścił je na włazie, podczas gdy ja drżącymi rękami wbijałem w nie pierwsze gwoździe. Słyszałem, jak jeden z mężczyzn mocno napiera od dołu na klapę. Ale nasz prześladowca miał na schodach niekorzystną pozycję, musiał zadawać ciosy w górę, nad głowę. Wbiłem w grube dechy kolejne dwa gwoździe, stary młotek ze skrzynki zdawał się niemal krzesać iskry z ich główek.

Ojciec chwiejnie osunął się na materac, który rozłożyłem w swojej kryjówce, i przyglądał mi się palającym wzrokiem. Nagle przyłożył palec do ust. Zamarłem. I zaraz domyśliłem się dlaczego.

Łomot z dołu ustał. Mężczyzna chyba na chwilę odpuścił.

Przemknąłem do materaca i popatrzyłem na twarz ojca, zlaną potem.

– Boli?

Zaczerpnął powietrza, wypuścił je ze świstem.

– Trochę.

Widziałem czarne bańki, krew, wypływającą z niego i wsiąkającą w koszulę.

– Poszedł sobie. Nic nie słyszę. Znaleźli tamtego w łazience i muszą się najpierw naradzić!

Popatrzyłem na skulony cień na materacu.

– Tak, Sammy, pewnie masz rację. – W głosie ojca było coś, co zmroziło mnie jak zimny powiew.

– Tato?

Oparłem się rękami po obu stronach jego tułowia. Ciemna plama na tkaninie materaca powiększała się.

Ojciec zamknął oczy, pod nosem błyszczały mu kropelki potu.

– Muszę kogoś wezwać! Wykrwawisz się!

Włosy lepiły mu się do czoła.

– Jesteś dobrym chłopcem, Sammy – wyszeptał. Jego wargi były suche i popękane.

– Tato, nie!

*On umiera!* Poczułem, jak mgła rozpierzcha się nagle, i zobaczyłem przed sobą zimną i jasną prawdę.

– Tato. TATO! – Trzymałem go za rękę, kleiła się do mojej dłoni. – Wezwę karetkę...

*Muszę oderwać deski. Niech nas dopadną, nie mogę pozwolić, żeby tata się wykrwawił.*

Leżałem z głową na jego piersi, łzy napływały mi do oczu. Moje ręce lepiły się, jakbym umoczył je w syropie. Cuchnęły żelazem, krwią.

Zebrało mi się na mdłości, żółć podeszła mi do gardła, ale nie mogłem teraz wymiotować.  
– Tato, to tylko zły sen, prawda? Jak z tym chłopcem, którego rozszarpał pies. To tylko sen. – Nie potrafiłem złapać oddechu, a mimo to mówiłem dalej: – Przysięgam, będę łykał tabletki, zapomniałem o nich tylko raz albo dwa... To zły sen, ty nie jesteś ranny, ty...

– Już dobrze, Sammy. – Położył rękę na moim barku. – Nie jest tak źle, ja... zdrzemnę się teraz chwilę i poczuję się lepiej.

– Nie! – Nie wiedziałem, co robić. Podparłem się, ostrożnie przycisnąłem kciuki do jego powiek. Prawie się przykleiły. Miał zamglone, szkliste spojrzenie. Wydało mi się, że staję się klarowniejsze, że przez moment ojciec mnie widzi.

– Nie śpij, tato, musisz mi powiedzieć, co mam robić ... Nie możemy teraz niczego zepsuć...

– To ja wszystko zepsułem, Sammy. Wszystko...

– Nie, nie, nie, tato, niczego nie zepsułeś... Przecież cię kocham, ciebie i twoją muzykę, kocham też twoją muzykę, jest taka piękna...

– Piękna jak śmierć.

– Nie, tato, nie jak śmierć, nie mów o śmierci...

– Przecież tu jest, z nami, nie czujesz jej?

– Nie, tato, nie czuję.

Zamilkł.

*Wszystko zepsuł.*

– Czemu zepsułeś, tato? Nic nie zepsułeś.

– O, tak.

– Ale czemu? – Nie rozumiałem. – Dlaczego tak mówisz?

– Bo... – Próbował skupić na mnie wzrok, ale jego źrenice się rozjeżdżały, umykały pod powieki. A mimo to usiłował na mnie patrzeć. – Bo kazałem ci płakać, Sammy, umyślnie. Kiedy byłeś mały... Czy słyszałeś kiedyś płaczące dziecko?

Oczywiście, że słyszałem płaczące dziecko.

– To dźwięk, odgłos, który przenika cię na wskroś. Żadna muzyka, żadna kompozycja nie może ugodzić cię boleśniej, wywołać większego niepokoju niż płacz dziecka. Potrzebowałem tego do swej muzyki, Sammy, twojego płaczu, twojej rozpacz. I kazałem ci płakać, by odtworzyć te tony.

*Ale... ale... ale...*

– Twoje żebro, raz dręczyłem cię tak bardzo, że złamałem ci żebro.

Moje żebro, odłamki kości. Znowu czułem, jak wbijają mi się w ciało.

– Powiedziałem, że to nie było umyślnie, że się wściekłem, bo narobiłeś bałaganu w moich rzeczach, Sammy. Twoja mama mi uwierzyła. Ale to nie była prawda. Umyślnie złamałem ci żebro, bo chciałem usłyszeć, jak krzyczysz. Chciałem słyszeć te dźwięki, bo tkwiłem w impasie twórczym i miałem nadzieję, że twój krzyk wskaże mi kierunek. To był pierwszy raz, kiedy umyślnie wywołałem twój płacz. Kiedy płaczesz, to brzmi jak... jak życie – wyszeptał. – Tego właśnie potrzebowałem do swej muzyki, tych tonów. Tego płaczu. Słyszałem, jak oddychasz i przełykasz, i szlochasz, a twoje dłonie przecierały buzię. Drżałeś, ciekło ci z nosa. To jest dźwięk, składający się z tysiąca kawałków, Sammy. To świat, to życie płacze. To jest to, co słyszysz, kiedy słuchasz mojej muzyki.

Objąłem go i poczułem, jak jego pierś unosi się i opada w ciężkim oddechu.

*A YOKI?*

Ta myśl zapłonęła w mojej głowie żywym ogniem. *A Yoki? Czy to naprawdę zrobił Kaplan? A może jednak ty, tato? Czy jej też potrzebowałeś do swej muzyki, ją też dręczyłeś tam,*

*na dole, by uzyskać tony, których potrzebowałaś?*

W tym momencie poddasze rozświetliła błyskawica. Na ułamek sekundy skąpała czarną sylwetkę ojca w zimnym, oślepiającym blasku. Ciszę rozerwał potężny grzmot i niemal jednocześnie z nieba puścił się ciężki, rześisty deszcz, bębniąc w dach, siekąc w szybę ukośnego okna, znajdującego się nad materacem. Rozpętała się nawałnica, która od paru godzin wisiała nad nami w nieruchomym powietrzu.

Obróciłem głowę i zobaczyłem krople spływające strumykami po szkle; czułem, jak powietrze w okamgnieniu schładza się o parę stopni. Tułów mojego ojca, jeszcze przed chwilą rozpalony gorączką, też ochłódł, stężał. Kleista ciecz, która przesiąkała wszystko wokół, zgęstniała.

Kolejne uderzenie wstrząsnęło poddaszem, smagnęło mnie, jakbym włożył mokre palce do gniazdka elektrycznego. Ale tym razem nie był to piorun, tylko uderzenie jakimś narzędziem. Klinem. Młotem kowalskim. Łopatą albo motyką. Cios, którym mężczyźni pod włazem w podłodze oznajmili swój powrót.

Wyprężyłem się jak struna. Twarz ojca się zapadła, ledwie ją rozpoznawałem pod czarno-czerwoną powłoką.

Łoskot, z którym pękły obie deski przybite do kłapy, zabrzmiał w moich uszach jak odgłos łamanych kości. Odwróciłem się i zobaczyłem czubek tarana wysuwający się z włazu. A potem spojrzałem prosto w twarz mężczyzny, który wszedł przez luk.

Sekundę później trzymałem w ręku młotek, ten sam, którym wbiłem gwoździe w deski. Cisnąłem go w stronę głowy intruza. Uchylił się i narzędzie uderzyło o szyb kominowy ciągnący się za klapą w podłodze.

Wstałem, tocząc wzrokiem po pogrążonym w mroku strychu. Ciało ojca niczym nie różniło się już od czarnej kałuży, w której leżał. Za nim, po skosie, dostrzegłem maleńkie okno w krzywiźnie stropu.

Niewiele myśląc, przewróciłem regał wznoszący się między materacem a włazem. Stojące na nim książki runęły z hukiem na podłogę. Wskoczyłem na mebel, wyciągnąłem ręce do góry, chwyciłem za framugę okienka i wypchnąłem je.

Pośpiesznie zerknąłem za siebie.

Mężczyzna miał już kolana nad włazem, właśnie windował się do góry. Za nim do luku wsuwał się następny.

Wziąłem wdech, odbiłem się nogami i podciągnąłem. Blacha framugi wpiła się głęboko w mój bark, udało mi się zaczepić o nią nogą i kopniakiem wypchnąłem się naprzód. Rozległ się brzęk. Szyba pękła, a odłamki pocięły moją skórę niczym ciernie.

Nadal lało. W ciągu sekundy moje barki kompletnie przemokły. Było zimno, kolejna potężna błyskawica zabarwiła ogród na białe. Piorun uderzył tak mocno, że widziałem iskry sypiące się z linii elektrycznej w sąsiednim ogrodzie.

Znowu zrobiło się ciemno, ale niebo nie było już całkiem czarne, na wschodzie majaczyła granatowa poświata. Dach opadał zastraszająco stromo. Widziałem lustrzane czarne tafle basenu i sadzawki. Przcisnąłem biodra przez okno; przez sekundę myślałem, że stracę równowagę i spadnę, ale przerzuciłem ciało na zewnątrz i uchwyciłem się mocno framugi, przywierając płasko do dachówek.

Przez okno widziałem wewnątrz strychu. Pierwszy z mężczyzn rzucił się w moją stronę. Chwilę później zobaczyłem jego twarz tuż przede mną, dokładnie w otworze okna. Wyprostowałem się i cofnąłem głowę. Jego ręka wysunęła się przez okno i sięgnęła po mnie.

Słyszałem, że coś krzyczy, nie rozumiałem jednak co. Jego barki, co dostrzegłem od razu, były za szerokie, nie zmieściłby się w oknie. Z całej siły domknąłem sterczącą do góry ramę



z popękaną szybą, przypatrując się, jak tkwiące we framudze odłamki mijają jego ucho i przecinają policzek. Krew wypłynęła z rany i pociekła czarnym strumieniem ku podbródkowi, połała się strużkami i skapywała w dół. Jednym potężnym ruchem wypchnął framugę z powrotem na zewnątrz, blacha rąbnęła mnie w brodę i poczułem, że lecę do tyłu.

Upadłem na dach, przytrzymałem się dachówek, ześliznąłem w dół, uchwyciłem na nowo, a wszędzie, gdzie spojrzałem, widziałem tylko dach. Dachówki luzowały się pod moimi stopami, zsuwały się, leciały w dół i rozbijały na kamiennych płytach, którymi wyłożona była ta strona ogrodu aż pod ścianę domu.

– Na pomoc! – Mój krzyk zabrzmiał jak słaby śpiew ptaszka. – Pomocy, mój... mój tata krwawi!

Po drugiej stronie muru stał czarny, milczący dom Kaplanów. Po obu stronach naszej posesji znajdowały się martwe wille sąsiadów, których mieszkańcy wyjechali na początku wakacji.

– POMOCY!

I wtedy zobaczyłem je przed sobą. Obie. Czarnowłosą Yoki i Marinę – w letniej sukience, którą miała na sobie, gdy widziałem ją ostatni raz. Jednocześnie na ten obraz nałożyła się muzyka mojego ojca. Drapiąca do żywego, wyniszczająca zgroza, przepelniająca na wskroś niepokojem, znalazła swoje odbicie na wystraszonych obliczach obu dziewczynek.

„DADDY, NOOOO!”

Zachwiałem się. Poczulem, że spadam. Przez moment szybowałem w powietrzu, nie miałem się czego chwycić. Dach, ulica, niebo powoli przełamywane brzaskiem. Spadałem.

Kiedy się ocknąłem, byłem przemoczony do szpiku kości, a chłód tkwił we mnie jak bryła lodu. Niebo wciąż było prawie czarne.

Moje omdlenie mogło trwać zaledwie parę sekund. Lewa ręka piekła i zeszywniała. Przyjrzałem się jej i stwierdziłem, że jest kompletnie obtarta. Gałęzie wielkiego krzewu bzu rosnącego na rogu domu zamortyzowały mój upadek. Zamiast na kamienie spadłem na miękką ziemię, która rozciągała się wokół bżów.

*Mężczyźni!*

Przypomniałem sobie krew na podbródku jednego z nich, skapującą długą strużką i poderwałem się na nogi.

W tym samym momencie usłyszałem trzaśnięcie. Drzwi willi otwarły się gwałtownie. Zatoczyłem się, schowałem w cieniu bzu, obejrzałem przez ramię. Czarna postać stała w drzwiach i nasłuchiwała.

*POLICJA.* Teraz mogłem wyraźnie odczytać napis na kamizelce kuloodpornej. Promień światła minął mnie, zagubił się w kroplach deszczu.

*Latarka, on ma latarkę.*

Nie mogłem wyjść na ulicę, zobaczyłby mnie. Przez płot do sąsiadów? Był zwieńczony drutem kolczastym, zaplątałbym się w nim. Mur od strony Kaplanów? Potrzebowałbym drabiny, a przyniesienie jej potrwałoby zbyt długo. W głowie zaświtał mi inny pomysł. I zanim zdążyłem zdecydować inaczej, ruszyłem przed siebie, kulejąc.

Moje gołe stopy ślizgały się po mokrej trawie, lało jak z cebra, lewa ręka kołysała się u mego boku jak martwa. W końcu wyrosła przede mną komórka, a jednocześnie na brudnym okienku wylądowała świetlna plama latarki. Policjant musiał być tuż za mną. Wydawało mi się, że słyszę jego sapanie. Odsunąłem na bok szybę, która roztrzaskała się z brzękiem na ziemi. Jednym susem znalazłem się w szopie, dźwignąłem do góry klapę i bardziej spadłem, niż zszedłem, ledwie przytrzymując się szczebli. Wylądowałem w kałuży, która utworzyła się na dole.

Usłyszałem, jak odłamki szkła pękają na górze pod ciężkimi buciarami. Dźwignąłem się

na nogi i ruszyłem przed siebie tunelem. Nagle ogarnęła mnie całkowita pewność, że nie jestem w nim sam.

Zbity z tropu, przystanąłem. Wyteżyłem zmysły. Nikogo nie było widać. A jednak... Czuję wyraźnie. Byli tutaj. Byli tu, na dole. Mężczyźni, przed którymi uciekałem. Albo ich koledzy. W głębi korytarza widziałem światło jarzeniówki.

*Schować się? Przecież mnie znajdą. Wrócić korytarzem do domu, gdzie wyszedłbym niedaleko pokoju Hannah? I co potem?*

Myśli kotłowały się w mojej głowie, a żadna z nich nie mogła wskoczyć na swoje miejsce.

Po chwili znalazłem się przy wizjerze w ścianie, zaledwie parę kroków za jarzeniówką. Płytką wciąż była wygięta. Niewiele myśląc, zajrzałem do środka.

*Są w celi Yoki. Wreszcie coś znaleźli. Teraz wiedzą, że mam rację. Że zawsze ją miałem. A tata... albo Kaplan... albo tata...*

W pomieszczeniu z wizjerem poruszało się trzech, może czterech mężczyzn. Nie mieli na sobie kamizelek kuloodpornych, tylko białe kombinezony. Takie same, w jakie ubrani byli technicy od zabezpieczania śladów.

Ustawili reflektor, ale jeden z nich stał tak blisko wizjera, że zasłaniał mi plecami widok.

Usłyszałem zbliżające się kroki mojego prześladowcy.

*Wreszcie ją macie, leży tam, u waszych stóp. Yoki, dziewczynka o czarnych, matowych włosach i szeroko otwartych oczach. Zamęczył ją na śmierć, żeby wydusić z niej muzykę, której potrzebował.*

Białe plecy po drugiej stronie wizjera poruszyły się i odsłoniły widok na celę.

Między butami postaci w bieli na podłodze leżało ciało dziewczyny, dziewczyny z roztrzaskaną czaszką i połową twarzy zmieloną na miazgę.

Zacząłem krzyczeć, nie zdając sobie z tego sprawy. Krzyczałem aż do szumu w uszach, krzyczałem, bo to nie była Yoki, bo to nie oko Azjatki wpatrywało się we mnie, to nie czarne włosy pokrywały podłogę. To były włosy, ciemne blond. Na ziemi leżała Marina.

Rozciągnięta, zamordowana, z roztrzaskaną czaszką. Tak martwa, tak zastygła, tak zlepiąca, że sprawiała wrażenie lalki. A jednak ją rozpoznałem. Moją przyjaciółkę, Marinę, nie starszą ode mnie.

*Zatłukł ją na śmierć!*

Kulą do bowlingu. Widziałem ją na podłodze obok niej. A obok kuli, tuż przy drobnej dłoni Mariny – miś.

*Położył przy niej...*

– Położył przy niej misia! – krzyknąłem. I wtedy poczułem, jak chwytają mnie silne ręce, czułem mundur, kamizelkę kuloodporną mężczyzny, który mnie do siebie przyciskał, podczas gdy ja wierzgałem, miotałem się, czułem, jak moje oko zostaje oderwane od wizjera, a mimo to wciąż widziałem ją przed sobą. Popielaty kolor jej skóry i zmatowiały błysk jej spojrzenia.

– Miś, położył przy niej misia, misia Yoki, położył przy niej misia Yoki!

*Gorąco. Woda jest tak gorąca, że jego skóra nie tylko czerwienieje, lecz piecze jak oparzona. A mimo to nie przykręca jej. Odchyła głowę twarzą do góry, w powietrzu widzi krople, które rozpryskują się na jego policzkach i czole. Jest tak gorąco, że chce mu się krzyczeć. A jednak zostawia, jak jest. Pozwala niemal wrzącej wodzie spływać po włosach, obmywać ciało, by splukała, wyżarła, wydrapała warstwa po warstwie pot, kał, krew i soki, które przesiąkły przez ochronną gumę, przez taśmę, przez kombinezon. W głowie przeblyskują mu obrazy kawalków, kikutów, fragmentów mięsa. I wydawane przez urządzenia odgłosy mielenia, terkot i warkot. Widzi odwracającego się psa, całego umazanego, choć tak ostrożnie się poruszał. Rozbryzgi i fontanny. Plaskały o plastikowe ściany. Zwymiotował w maź pokrywającą podłogę. Wymiotował i pracował dalej. Ciągnął to, co zaczął.*

*Upłynnienie.*

*Koncert śmierci.*

*Stoi ze schyloną głową pod wrzącym strumieniem i pozwala wodzie spływać po karku. Obrazy wsiąkły w niego, nigdy nie zdoła ich wymazać. Obrazy i dźwięki. Będzie ich potrzebował, każdego z nich. Będzie tworzył z nich partytury, już wie, co to jest, od czego włosy stają dęba, od czego oczy wkręcają się w kark, już wie, jak to musi brzmieć. Ma chwile, których chciał. Nie wie, czy chciałby ich nadal, gdyby wiedział, jak będzie się po nich czuł. Zupełnie jakby ukrop, przez który przeszedł, stopił jego duszę. Osmalił świadomość. Jakby w zbyt silnym żarze jego osobowość przerodziła się w bezkształtną grudę. Grudę przypominającą tę, którą położył przed sobą na podłodze. Którą musiał jeszcze podzielić na części. I jeszcze raz, i znowu.*

*Upychanie w gardzieli wilka, aż czerwona masa tryskała bocznym otworem. Ubijanie ugniataczem, będącym na wyposażeniu maszyny, i zbieranie mięsa z tarczy otworu, którym wychodziło. Zbieranie i wrzucanie do żółtej miski, która przepelniła się już dawno, a masa skapywała z brzegów miski. Mimo to musiał kontynuować.*

*Koniuszkami palców ostrożnie dotyka skóry na karku. Ma wrażenie, że wrzątek sparzył już wierzchnią warstwę naskórka. Zakręca kurek z gorącą wodą i puszcza na poparzone miejsce lodowaty strumień. Chłodzi je. Odczekuje chwilę i zakręca wodę.*

*Przez całą noc pracował tam, na dole. O świcie zdjął gumową zasłonę, zdemontował i złożył drążki. Potem popakował wszystko w worki na śmieci, wyniósł na górę, a resztki zakopał w lesie na skraju miasta.*

*Becky spędziła noc na mieście, Sammy, Linus i Hannah nie zauważyli jego nocnej działalności. Pracował przez całą noc, ale teraz jest resztką człowieka, poparzoną resztką człowieka, mającego w głowie nieustający brzęk. A mimo to musi udawać, że wszystko jest po staremu.*

*Z ręcznikiem na ramieniu stoi przed umywalką i patrzy na swoje odbicie w lustrze. Powieki mu opadają, policzki są obwisłe, twarz poszarzała, a do skóry nadal lepi mu się warstwa mięsnej mżawki, krwi i jelit. Wciąż ma w nozdrzach ten zapach, w uszach brzmi warkot.*

*Owinąwszy ręcznik na biodrach, opuszcza łazienkę, by ubrać się w sypialni.*

*W przedpokoju widzi otwarte drzwi do pokoju młodszego syna. Czyżby mały czegoś chciał?*

*Robi krok w stronę pokoju i widzi, jak Sammy, nadal w łóżku, podrywa głowę i wpatruje się w niego. Wyraźnie czuje strach chłopca.*

*Sammy, nie musisz się mnie bać, brzmi mu w głowie, podczas gdy rozmawia z synem o czymś zupełnie innym. Pyta go, co zamierza dziś robić.*

*Sammy, nie musisz się mnie bać, słyszy swą myśl i widzi siebie w źrenicach chłopca,*

*widzi, że on mu nie ufa.*

*Nagle Sammy odwraca się do ściany i widać już tylko tył jego głowy i ucho. Czule poprawia koldrę po obu bokach smukłego chłopca. Jest pewien, że odzyska zaufanie Sammy'ego. Chłopiec go kocha, są ojcem i synem, nic nie może ich rozdzielić.*

## Epilog

*Zima 2016*

Nigdy nie otrząsnąłem się po tamtej nocy. Minęło prawie dwadzieścia lat, a te wydarzenia wżarty się w moje życie i nie dają się już z niego wyciąć. Opuściłem Berlin dawno temu. Kiedy dziś wracam myślami do tego miasta, widzę czarny, wilgotny świat, w którego mroku czyhają jakieś postacie. A w podziemiach, pod miastem, panuje nieustanny ruch, sprawiający, że cały ten twór – ulice, domy, budynki – niezauważalnie faluje w górę i w dół.

Siedzę na zalanym słońcem balkonie swego mieszkania i spoglądam w dół na Hudson. Jest południe, niebo przypomina ogromny niebieski namiot.

W mojej głowie wciąż jednak panuje tamta noc, kiedy spadłem z dachu, kiedy pochwycił mnie mężczyzna, któremu szyba rozcięła policzek, na materacu wciąż leży rozplywająca się masa mojego ojca, a ja słyszę jego głos: „Kiedy płaczesz, to brzmi jak... jak życie. Tego właśnie potrzebowałem do swej muzyki, tych tonów. Tego płaczu”. A potem widzę przed sobą czaszkę Mariny. Roztrzaskaną czaszkę, którą zobaczyłem przez wizjer.

Przyznał się.

Przyznał się do zamordowania Mariny.

Mój ojciec przyznał się do tego jeszcze tamtej nocy.

Być może nie powinienem był spisywać swojej historii. Teraz jednak, kiedy przeżyłem ją jeszcze raz, czuję, że wydarzenia tamtego lata nigdy nie przestały zatruwać moich myśli, mojego ciała.

Ojciec nie umarł na strychu tamtej nocy. Przeżył. Ja zostałem obezwładniony przez policję, a potem przez wiele tygodni poddawano mnie terapii. Ojciec trafił do aresztu, przyznał się do wszystkiego. Do zabicia Mariny.

Dlaczego? Bo chciał usłyszeć, jak brzmia pękające kości?

Funkcjonariusz SEK, mężczyzna, który wyciągnął mnie z szafki w łazience. Mój ojciec rozplątał mu głowę siekierą. Dlaczego? Bo chciał usłyszeć odgłos uderzenia?

Powiem wam dlaczego.

Bo jest *szalony*.

To szaleństwo kazało mu złamać mi żebro i słuchać, jak płaczę. Szaleństwo kazało mu uwięzić Yoki w piwnicy. Szaleństwo kazało mu zabić Marinę. Mój ojciec jest szalony, a wszystko zaczęło się od tego, że chciał usłyszeć, jak to jest, kiedy uderza. Kiedy puszcza ją tamy i jego obłąd się przelewa.

Przyznał się do zabicia Mariny. To, że zamordował policjanta, i tak nie ulegało wątpliwości. Tylko Yoki... tylko do uwięzienia Yoki nigdy się nie przyznał. A jej śladów nigdy nie znaleziono. Nawet wtedy, gdy odkryli ciało Mariny.

To dlatego tamtej nocy policja weszła do naszego domu. Bo znaleźli zwłoki Mariny. Wiedzieli, że ojciec jest ze mną w domu sam. Znaleźli zwłoki i obawiali się, że może coś mi zrobić. Dlatego próbowali dostać się do środka po cichu, z zaskoczenia. I stracili przy tym swojego człowieka.

Ale Yoki... Nigdy się nie przyznał. Skąd ją wziął? Tego nie wiem do dzisiaj. Z jakiegoś nielegalnego burdelu? Dziewczynki są przemycane do kraju i nikt nie zgłasza ich zaginięcia. A może zorganizował ją sobie, tak jak organizuje się broń albo zabronione fotki? Istniał już wtedy internet, słyszałem też, że są sposoby, by za pośrednictwem sieci załatwić sobie nawet

ludzi – żywych ludzi, którzy nigdzie nie są zarejestrowani.

Drażki, guma, worek na śmieci – to tylko kilka z wielu możliwości.

Nigdy się nie przyznał. Że trzymał ją tam, na dole. A jednak to musiało być tak lub podobnie. Nie znaleziono bowiem żadnego jej śladu. A przecież ją widziałem. Musiał usunąć ślady. To nie jest niemożliwe, Kaplan dopuszczał to od samego początku. Wiem, wiem, że Yoki tam była. Dlatego opisałem, jak mógł to zrobić. Z użyciem gumy, wilka do mięsa, psa. Mój płacz, jej płacz – to tego chciał, tych dźwięków, które wydawała z siebie, kiedy ogarniała ją rozpacz. Trzask pękającego kręgosłupa Mariny. Czy to był następny dźwięk, jakiego potrzebował? Widzę go, jak stoi przede mną, z motyką w ręce, ze szklistym wzrokiem, i ogarnia mnie mroczne przeświadczenie. Czy właśnie to chciał usłyszeć następnym razem? Jaki dźwięk towarzyszy mordowaniu własnego syna? Z jakim brzmieniem motyka wbija się w czaszkę? Jak zabrzmiałoby to w nim, gdyby przyglądał się, jak szlachtuje własnego syna?

Jego muzyka. Nigdy więcej jej nie słuchałem. Już samo wspomnienie tonów, które dobiegały moich uszu, kiedy przechodziłem obok jego pracowni, sprawia, że moje serce przyspiesza, a pierś ścina ból.

Nigdy więcej nie słyszałem jego muzyki. Po tamtej nocy opuściłem Berlin. Kaplan osobiście wstawił się za tym, żebym mógł wyjechać z miasta. Żebym wyjechał do Ameryki. Matki i brata też nigdy więcej nie widziałem. To, co się wydarzyło, zaszło zbyt daleko, zraniło zbyt mocno. Może... może nigdy nie przestali mi wyrzucać, że wybiegłem wtedy na ulicę, żeby zatrzymać taksówkę. Tak jak ja nigdy nie przestałem wyrzucać sobie, że wciągnąłem w to Marinę.

Po drugiej stronie Atlantyku znalazłem schronienie w rodzinie zastępczej, później przeprowadziłem się do Nowego Jorku. Ale kiedy zamykam oczy, ciągle widzę przed sobą ciemny, czarny Berlin. Kałużę, w której leży mój ojciec. Marinę, która wpatruje się we mnie martwym okiem. I Yoki, która płacze i odsuwa zasłonę.

Od tamtej pory minęło prawie dwadzieścia lat. Ilekroć moje myśli, jakby naginane ukrytą siłą, powracają do tamtych wakacji, zmuszam je do pójścia w inną stronę. Przez wszystkie te lata nigdy nie odwiedziłem Berlina. Dłużej nie mogę już jednak trzymać wspomnień na uwięzi. Bo nadszedł ten moment. On wychodzi na wolność. Minęło prawie dwadzieścia lat. Dlatego spisałem, co się wtedy wydarzyło, i raz jeszcze przeżyłem tamto lato.

Mężczyzna, którego czarne spojrzenie prześladuje mnie o każdej porze dnia i nocy, mężczyzna, o którym sama myśl wstrząsa mną tak, jakbym wkraczał do królestwa zmarłych, mężczyzna, którego kochałem, jak długo byłem dzieckiem, i który zmiażdżył twarz Mariny, jakby była orzechem.

Wychodzi na wolność. Za trzy dni.

Dlatego spisałem swoją historię, jego historię. I wiem już, co mi to dało. Wiem, co muszę zrobić.

To nie dom skłonił do tego mojego ojca. To nie była żadna zewnętrzna siła. To wyszło ze środka, z niego. Użył wilka do mięsa, by Yoki zniknęła, ale to on jest wilkiem, który zmełł mnie i poszatkował.

To on jest wilkiem, a ja jestem jego synem. Mam go w sobie. Po nim. Ale nie dopuszczę, by się uwolnił. Wrócę do czarnego miasta.

Będę czekał na niego przy wyjściu. I go zabiję.

Zabiję *to*.

Wilka do mięsa, który w nim tkwi.

## Protokół

### skierowania na przymusową hospitalizację

#### Sama Grossmana

8 stycznia 2016

Sam Grossman (l. 31) w dniu 7 stycznia 2016 przyjechał z USA do Berlina. Jego ojciec, Nathan Grossman (l. 63) w dniu 8 stycznia miał zostać zwolniony z zakładu karnego Tegel.

Dwadzieścia lat wcześniej Nathan Grossman został skazany za zabójstwo, po tym jak przyznał się do zamordowania jedenastoletniej Mariny Kaplan w piwnicy swego domu przy Rotkehlchensteig w Berlinie-Grunewaldzie. Nathan Grossman podczas zatrzymania stawiał silny opór i śmiertelnie zranił funkcjonariusza jednostek specjalnych policji.

Narzędziem zbrodni dokonanej na Marinie Kaplan była kula bowlingowa. Stwierdzono na niej ślady DNA Nathana Grossmana, które jednak nie były jednoznaczne, jako że na kuli znaleziono również ślady DNA jego syna. W dniu zatrzymania Nathan Grossman jednak przyznał się do zamordowania Mariny Kaplan. Zeznanie jego syna, jakoby ojciec przetrzymywał w pomieszczeniu piwnicznym, w którym znaleziono zwłoki Mariny Kaplan, nieletnią dziewczynkę, nie znalazło potwierdzenia.

Sam Grossman odebrał swego ojca w dniu jego zwolnienia przy bramie JVA Tegel. Po południu tego dnia pomiędzy synem i ojcem doszło do sporu połączonego z rękoczynami. Przechodnie, którzy obserwowali obu mężczyzn na brzegu Tegeler See, zawiadomili policję. Na miejscu funkcjonariusze stwierdzili, że Sam Grossman ciężko zranił ojca nożem. Funkcjonariuszom udało się obezwładnić syna.

Obecnie Nathan Grossman poddawany jest leczeniu na oddziale intensywnej terapii kliniki Humboldta. Jego syn, Sam Grossman, wieczorem 8 stycznia został przewieziony przez funkcjonariuszy policji do kliniki Berlin-Buch na leczenie psychiatryczne, a po uzyskaniu decyzji sądu skierowany przymusowo na hospitalizację.

Protokół rozmowy podczas przyjęcia:

**Sam Grossman:** „Twierdził, że ja – rozumie pan? Ja. Że to ja zabrałem... Nie rozumie pan? Że to ja go... wtedy... że to ja zabrałem misia! To... musi pan to sobie... Ach! Proszę przestać! Proszę mnie puścić!” [Pacjentowi zostaje zaaplikowany 1 mg clonidinu]

**Lekarz prowadzący:** „To środek uspokajający, panie Grossman. Pana ciśnienie jest bardzo wysokie, nie możemy dopuścić, żeby doznał pan udaru. Proszę się odprężyć...”

**Sam Grossman:** „Twierdził, że to ja wziąłem tego misia... tego przekłętego misia! Już samo to słowo, miś. Śmieszne jak cholera. Użył go, żeby ją... Yoki, próbował stworzyć jej iluzję bezpieczeństwa, bawił się nią, nią i jej misiem... już na samą myśl o tym robi mi się niedobrze... a potem... teraz... dziś po południu, mówi... dobrze, nie widzieliśmy się przez te wszystkie lata... ale dziś po południu mówi mi, że już wtedy, kiedy dowiedział się, że przy zwłokach Mariny znaleziono misia... a że wcześniej widział, jak zabrałem tego misia, wszystko stało się dla niego jasne. Rozumie pan? Pojmuje pan, co próbował mi powiedzieć? Tak, kupiłem ten nóż zaraz po przybyciu do Berlina. Tak, wziąłem go ze sobą, kiedy po niego pojechałem. Tak, wiem. Ale tego się nie spodziewałem. Mój ojciec uśmiercił Marinę, zrobił to kulą bowlingową, mówił mi przecież, że kiedy zwiedzał tunele, odkrył w schronie halę do bowlingu. Zatłukł Marinę kulą do bowlingu, torturował Yoki... a mnie... złamał mi żebro, miałem wtedy może ze trzy latka,



niech pan zapyta moją matkę! Ależ oczywiście, potwierdzi to panu. On chciał... chciał słyszeć mnie, swego trzyletniego syna, jak płaczę, bo sam... sam mi powiedział... czasami nie słyszał jasno swojej muzyki... znaczy, tej, którą chciał komponować. Czasami wystarczało, że notował to, co słyszał, w taki właśnie sposób komponował. Ale niekiedy nie słyszał wyraźnie tego, co chciał komponować. Prowokował mnie do płaczu – bo wtedy słyszał tony, których potrzebował, rozumie pan? Pojmuje pan, co to był za potwór? A wiedział, dobrze wiedział, że jest potworem, sam mi to powiedział. *Wszystko zepsułem, Sammy*, to właśnie powiedział mi na poddaszu naszego ostatniego wspólnego dnia. Dręczył Yoki, zamordował Marinę. I dlatego przyjechałem do Berlina, żeby go zabić, zabić wilka. Bo on jest wilkiem do mięsa, który wziął mnie, swego własnego syna, i przepuścił przez ostrza ze stali, aż wyszedłem drugą stroną jako rozdrobnione mięso. Tak jak Yoki... no bo gdzie ona jest? Jej zwłok nigdy nie odnaleziono. Ale ja widziałem ją wyraźnie. A Marina mi wierzyła. Co się stało z Yoki? Przekręcił ją przez maszynkę i nakarmił nią doga, jej zmielonym mięsem. Dokładnie tak, jak opisałem. Marina zawsze mi wierzyła, musiała go spotkać, musiała mu powiedzieć, że o wszystkim wie. Więc zwabił ją na dół, do kręgielni, wziął jedną z tych ciężkich kul i roztrzaskał jej czaszkę. Policja ustaliła to w sposób jednoznaczny. Że Marina została zabita w hali, a jej ciało zostało przeniesione do innego pomieszczenia, do celi Yoki. Jasne, policja mówiła też, że dog Kaplanów włóczył się po tunelach i pozacierał ślady. Ale po co ślady? Przecież się przyznał... że zabił Marinę. Naturalnie! Szaleństwo, czyste szaleństwo. I to szaleństwo, które kazało mu zabić Marinę... to szaleństwo nadal w nim jest. Bo... wie pan? Mówiłem już to panu? Może pan to sobie wyobrazić? Powiedział... wtedy nad jeziorem... powiedział, że to JA zabrałem misia, że mnie widział... A przecież już miał tego misia w pracowni, kiedy był z tą dziewczyną... Hannah? Tak, może to była Hannah. W tym punkcie nie mam całkowitej pewności. To mogła być Hannah, ale w sumie w to nie wierzę. Myślę, że to była Yoki, nawet jeśli... nie, wcale nie mówię, że nie widziałem jej tamtej nocy, nie twarz. Widziałem tylko brzuch, brzuch dziewczyny, którą mój ojciec w swoim pokoju... dziewczyny, albo młodej kobiety, tak, to była ona, z pewnością. Yoki. Tamtej nocy nie było jej w celi w piwnicy, była na górze, w jego pracowni, on miał misia... Nie Hannah, nie, nie sądzę, to nie była Hannah, choć to mogła być ona, ale na pewno nie była. To była Yoki, on miał misia, wziął ją i... na kanapie... Nie chcę o tym myśleć... A potem, później, parę dni później, roztrzaskał Marinie czaszkę i położył misia przy niej... To on. Wsadziliście go do normalnego więzienia, ale nie powinniście tego robić, bo on jest szalony... Myślę, że to jest najlepszy, najdobitniejszy, najbardziej jednoznaczny dowód: siedzi dwadzieścia lat za zabójstwo, a potem wychodzi, ja go odbieram, a co on mówi? Co mówi? Mówi, że to ja, znaczy, ja, Sammy, zabiłem Marinę. Mówi, że wymyśliłem sobie Yoki, mówi, że czuł się winien, bo miał wrażenie, że to on ponosi odpowiedzialność za psychozę, która rozwinęła się u mnie w wieku dziecięcym, która kazała mi uroić sobie Yoki. Że miałem koszmarne sny, że widziałem chłopca, którego zagryzł pies poprzednich właścicieli, że nie widziałem tego chłopca we śnie, tylko w biały dzień, i że tak samo widziałem Yoki, chociaż Yoki nigdy nie istniała. TO mi powiedział. I jeszcze że czuł się winien, bo to on mnie zepsuł, bo już jako niemowlę prowokował mnie do płaczu i DLATEGO został skazany za to morderstwo na Marinie... Widzi pan, jak on przekręca fakty? Co za chory... chory umysł? Pojmuje pan, jak on moim kosztem rozgrywa to swoje szaleństwo? Dwadzieścia lat za kratkami, a potem: *To byłeś ty, Sammy, TY zabiłeś Marinę, a Yoki nigdy nie istniała. Zgruchotałeś głowę Mariny kulą do bowlingu, znaleźli moje DNA na kuli, bo tego popołudnia odkryłem kręgielnię, rzuciłem kulę, a potem zaniósłem ją z powrotem na stojak. Ale TY, Sam, ty roztrzaskałeś jej głowę tą kulą, prawdopodobnie dlatego, bo powiedziała, że jesteś szalony. Ty jej roztrzaskałeś głowę, znaleźli na kuli moje i twoje DNA, ty wziąłeś misia, sam cię widziałem.* Rozumie pan? Takie rzeczy do mnie mówił. Jakby mu było mało tego, co mi uczynił, wciąż mu

mało. On i tak jest wilkiem do mięsa, mówię panu, wilkiem, który wciąga człowieka w swoją gardziel. *Daleś mi tę małą kasetę z nagraniem*, to mi powiedział nad jeziorem. *Tę kasetę, kiedy cię obudziłem, żeby ci powiedzieć, że szukają Mariny. Daleś mi wtedy tę kasetę, chciałeś coś dla mnie nagrać. Szum drzew, chlupotanie sadzawki... A tego wieczoru daleś mi kasetę, ale ja nie miałem czasu jej odsłuchać, wiedziałem, że szukają Mariny, że zaraz u nas będą, że będą zadawać pytania i nie odpuszczą. Schowałem tę kasetę, a później położyłem na stole w pracowni. Strasznie mnie wystraszyłeś, powiedział... Niech pan to sobie wyobrazi. Wystraszyłeś mnie tymi słowami o dziewczynce w naszej piwnicy, Sammy, ale tamtego wieczoru, kiedy zaginęła Marina, wtedy po raz pierwszy pomyślałem, że może miałaś rację. I naturalnie robiłem sobie wyrzuty. Jak mogłem nie wierzyć temu chłopcu? Naturalnie, to prawda, co powiedział Sammy, on naprawdę widział na dole dziewczynkę. To ten prokurator z sąsiedztwa ją tam przetrzymywał! Prokurator miał kontakty z osobami zajmującymi się handlem ludźmi, tak trafiła w jego ręce – a teraz zamordował swoją córkę i nasyła na nas policję. Zwala winę na nas. Tak myślałem, wtedy, tego ostatniego dnia w willi. Pojmuje pan? To mi powiedział nad jeziorem”.*

**Lekarz prowadzący:** „Tamtego ostatniego wspólnego dnia, wieczorem, kiedy do domu wtargnęli funkcjonariusze, ojciec panu wierzył? Wierzył panu, że naprawdę widział pan w podziemiach dziewczynkę?”

**Sam Grossman:** „Tak powiedział, owszem. Że mi wierzył. Że Kaplan naprawdę więził Yoki w piwnicach, do których były wejścia zarówno z niezabudowanej posesji zaraz obok Kaplanów, jak i z naszej działki. Dlatego uderzył siekierą tego policjanta z SEK, kiedy zobaczył, jak wyciąga mnie z szafki. Bo myślał, że musi bronić mojego życia. Dopiero później, dużo później, kiedy się dowiedział, że tam, na dole, leży zabita Marina, a obok niej miś... ten miś, którego miałem, jak widział... Wtedy dopiero pojął, że ja... JA... jego własny syn... że to musiałem być ja. Że to ja musiałem zamordować Marinę. Ale ja nie stałem się taki z własnej winy, o nie. On winił za to siebie, tak mi powiedział. Siebie obarczał winą za to, że taki się stałem. Zarzucał sobie, że stałem się mordercą. W wieku jedenastu lat. To była jego wina i DLATEGO wziął na siebie śmierć Mariny i przyznał się do zbrodni. Nigdy by sobie nie wybaczył, gdybym trafił do więzienia... albo do zakładu poprawczego czy gdzieś... skoro to przecież ON tak bardzo skrzywdził mnie przed laty dla swej przeklętej muzyki. Nigdy by sobie nie wybaczył, gdybym musiał pokutować za śmierć Mariny. Tak odwrócił kota ogonem! Wciąga mnie w to, obrzuca błotem, wplątuje w swoje machlojki, nie zostawia mnie w spokoju... Ale właśnie nim zawsze był: wilkiem, maszynką do mięsa, która wciąga w śmiertelną otchłń. Zawsze nim był i dlatego uniosłem nóż, który schowałem w swoim płaszczu i go... To było słuszne, co zrobiłem. Za Yoki. Za Marinę. I za policjanta. Wbiłem mu go w pierś. Jego oczy zrobiły się ogromne jak spodki, ten cały obłęd, całe to szaleństwo, które już zawsze w nim wrzało, jakby wyszło z niego tymi oczami. Odskoczyłem do tyłu... także ze względu na krew, która z niego trysnęła. Ale odskoczyłem też z powodu szaleństwa, które z niego wychodziło. A on jak ślepiec macał wokół ręką i w końcu osunął się na brzeg jeziora. *Kasetę*, wyszeptał, a jego oczy były tak wielkie, że nie mogłem inaczej, musiałem się nad nim nachylić, *kasetę, którą daleś mi w dniu śmierci Mariny, twoja matka znalazła na moim biurku i odsłuchiwała ją, bo była opatrzona twoim imieniem. TAK, TU JEST*, ta cholerna kasetka. Niech ją pan sobie przesłucha! Dał mi ją nad jeziorem, kazał odsłuchać. Ale wcale nie muszę tego robić. Nie muszę słuchać tej cholernej kasety, wiem przecież, co na niej jest! Szum drzew, ćwierkanie ptaków i chlupot sadzawki. Ale tak, niech pan jej posłucha! Zobaczysz pan, że wszystko, co panu powiedziałem, to najszczerza prawda”.

Fragment nagrania z kasety

**Marina Kaplan:** „Sammy? Gdzie jesteś? Przestań... nie chcę tego... co to jest? Whisky?”

Nie chcę tego”.

[Słuchać muzykę: „...love me tender, love me sweet, never let me go...”]

**Marina Kaplan:** „...lubię Elvisa”.

[Odgłos ciężkiego przedmiotu toczącego się po drewnie.]

**Sam Grossman:** „STRIKE! Widziałaś, Marina?”

**Marina Kaplan:** „Tak, wi...”

**Sam Grossman:** „Cieszę się, że cię dogoniłem. To prawda, co powiedziałaś przedtem przy sadzawce?”

**Marina Kaplan:** „Co takiego?”

**Sam Grossman:** „Że już więcej nie będziemy się spotykać? Tylko dzisiaj?”

**Marina Kaplan:** „Nie wiem jeszcze, Sammy. Ale mój ojciec był naprawdę zaszokowany, kiedy mu powiedziałam o Hannah i twoim bracie”.

[Słuchać muzykę: „...this old heart beating... closing of the door... there goes my reason... there goes the one of my dreams...”]

**Marina Kaplan:** „Był zaszokowany, Sammy, a ja to rozumiem”.

**Sam Grossman:** „To dlaczego zeszłaś tu ze mną? Żeby pograć w bowling? Dlatego? Tak bardzo lubisz bowling?”

**Marina Kaplan:** „Lubię cię, Sammy, przecież wiesz. Naprawdę. Ale... wywołujesz we mnie też strach”.

**Sam Grossman:** „Tak?”

**Marina Kaplan:** „Tak”.

**Sam Grossman:** „I lubisz to?”

**Marina Kaplan:** „Co?”

**Sam Grossman:** „Że wywołuję w tobie strach?”

**Marina Kaplan:** „Nie, tego nie lubię”.

**Sam Grossman:** „Nie?”

**Marina Kaplan:** „Nie. Czasami naprawdę mam wrażenie... Widzisz, kiedy tak na mnie patrzysz, Sammy... Często to mija, ale potem wychodzi z ciebie... Nie wiem, jak to powiedzieć, ale to sprawia, że się boję. O ciebie, ale i o siebie”.

**Sam Grossman:** „Ale Marina...”

**Marina Kaplan:** „Tak, teraz, na przykład. Nie. STÓJ!”

[Słuchać muzykę: „...touching hands, reaching out... touching me...”]

**Marina Kaplan:** „NIE, SAMMY!”

[Słuchać chrapliwe dyszenie, potem sapanie.]

**Marina Kaplan:** „Sammy, co z tobą? NIE! Nie... Ja... Jesteś...”

**Sam Grossman:** „CO JESTEM?”

**Marina Kaplan:** „Szalony. Sammy, spójrz na siebie, twoja twarz, cała wykrzywiona... na litość boską!”

[Szorstkie sapanie zagłusza piosenkę Elvisa w tle. Słuchać ciężkie uderzenie, krzyk dziewczyny. Potem znów sapanie. Brzmi ochryple i szorstko.]

**Marina Kaplan:** „Sammy, jesteś tu jeszcze? Sammy?”

[Jej głos się urywa. Słuchać twarde drapanie. Muzyka milknie.]

**Marina Kaplan:** „Sammy, proszę, proszę, twoje oczy są takie martwe, Sammy, nie zostawiaj mnie samej, proszę, zostań ze mną. Sammy, moja twarz, połowa... ty mnie uderzyłeś kulą... Sammy, nie widzę... Wszystko się rozjeżdża... Co się stało? Cisnąłeś mi kulę prosto w twarz... Zobacz... to miękkie, tu na czole... moja głowa, ty mi chyba... O, Boże, Sammy, boję się... Czuję się dziwnie, ja... płonę... Wszystko się rusza, jakby bujała się podłoga. Pomóż mi

wstać... Twoje ręce są lodowate... To krew... Tu jest pełno krwi... Co...

[Słysząc twarde klaśnięcie i krzyk Sama Grossmana. Dziewczyna milknie. Przez chwilę nic nie słysząc. Potem coś szura po podłodze. Znowu sapanie chłopca. Mamrocze coś pod nosem, ale nie można zrozumieć, co mówi. Odgłos szurania i mamrotanie chłopca oddalają się.]

## O Autorze

**Jonas Winner**, urodzony w 1966 roku w Berlinie, doktor filozofii, po studiach pracował w Berlinie i Paryżu jako dziennikarz, redaktor telewizyjny i autor scenariuszy (dla stacji ARD, ZDF, Sat. 1). Jego wydany w self-publishingu bestseller „Berlin Gothic” zrobił furorę w internecie. W 2012 roku Winner odniósł wielki sukces thrillerem „Der Architekt” („Architekt”). Kolejną książką był „Gedankenexperiment” („Eksperyment myślowy”). Autor mieszka z rodziną w Berlinie.

Sam o sobie pisze tak:

Urodziłem się w 1966 roku w Berlinie, dorastałem w Nikolassee, na przedmieściach zachodniej części miasta. Kiedy miałem jedenaście lat, rodzice przeprowadzili się z nami do Rzymu i to był koniec mojego spokojnego życia. Poszedłem do niemieckiej szkoły i większość czasu spędzałem na dziwieniu się. Po półrocznym pobycie w USA w wieku osiemnastu lat wróciłem do Berlina, podjąłem studia filozoficzne i stwierdziłem, że to mnie naprawdę interesuje. Wyjechałem na rok do Paryża, w dziewięćdziesiątym trzecim uzyskałem tytuł magistra i zacząłem pracę w telewizji. Początkowo pracowałem w redakcji kulturalnej regionalnej stacji ARD, później jako reporter i redaktor w stacji prywatnej. W 1996 zrobiłem doktorat z filozofii, a kiedy stanąłem przed wyborem: filozofia czy telewizja, uznałem, że spróbuję szczęścia jako dziennikarz.

Tworzyłem filmy dokumentalne i reportaże dla ZDF, WDR, ARD, ORB i arte, o tematyce sięgającej od sił powietrznych po berliński teatr rewiowy Friedrichsstadtpalast. Przez rok byłem naczelnym czternastoosobowej redakcji codziennego magazynu telewizyjnego. W tym samym czasie wraz z trzema przyjaciółmi założyłem „plotpower”, firmę zajmującą się pisaniem scenariuszy filmowych i produkcją oprogramowania, która istnieje do dzisiaj. Około roku 2000 zacząłem pisać scenariusze do filmów, głównie do kryminałów i thrillerów, które wyświetlano w ZDF, ARD i Sat. 1. W roku 2006 nadszedł ten moment: usiadłem i napisałem „Davids letzter Film” („Ostatni film Davida”), manuskrypt, który po kilku poprawkach i zmianach w 2009 kupiło wydawnictwo dtv.

Obecnie mieszkam w Berlinie i pracuję nad kolejnymi scenariuszami oraz powieściami.